

MIĘDZY POLITYKAMI A SĄDZIAMI

Ziemkiewicz o polskiej batalii
o sądy i trybunały



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 20/527 15-21 MAJA 2023

CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Kto wygra wojnę Rosji z Ukrainą
- analizuje Dzierżawski



LUKSUSOWY ZAPACH MILIARDÓW
BERNARDA ARNAULTA

- NAJBOGATSZEGO CZŁOWIEKA ŚWIATA

Naczelna zadymiała Polski
- kim jest „Babcia Kasia”

KTO ZA TO ZAPŁACI?

COVID-19: szef Pfizera kpi z polskiego ministra zdrowia

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 1772299 850000 20>
Nakład: 52 000 egzemplarzy

ADAM NIEDZIELSKI,
MINISTER ZDROWIA

ALBERT BOURLA,
SZEF FIRMY
FARMACEUTYCZNEJ
PFIZER



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

STUDIA MBA

Narodowy Bank Polski informuje:

Szkoła Główna Mikołaja Kopernika
i Narodowy Bank Polski rozpoczynają rekrutację
na roczne studia podyplomowe MBA:

Bankowość i system finansowy

Studia Master of Business Administration przybliżą:

- ▶ funkcjonowanie systemu bankowego w gospodarce, w tym zadania banku centralnego,
- ▶ wybrane aspekty działalności banków komercyjnych,
- ▶ funkcjonowanie rynków finansowych, w tym zarządzanie portfelem inwestycyjnym i ryzykiem rynkowym.

Wykłady rozpoczną się już w czerwcu 2023 r.
w Warszawie i będą prowadzone przez
wykładowców z Polski i z zagranicy.

Projekt realizowany przy wsparciu
Akademii NBP oraz Akademii
Kopernikańskiej.

Zgłoś się już dziś!



Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl oraz sgmk.edu.pl



NARODOWY
BANK POLSKI



SZKOŁA GŁÓWNA
MIKOŁAJA KOPERNIKA

Premier się nie zgodził/zgodził



PAWEŁ LISICKI

Najpierw długo przecierałem oczy ze zdumienia, szczyphałem lewy policzek i prawy. A kysz, a kysz – wołał we mnie tajemniczy głos, zniknij, maro, przepadnij. Jednak im bardziej się wpatrywałem w ekran komputera, tym bardziej obraz, który się na nim pojawiał, nie chciał zniknąć. Jak byk stało napisane: „Premier: Polska nigdy nie poparła żadnego pakietu »Fit for 55«”. Pod tym jednoznacznym tytułem jako żywo figurowało zdjęcie Mateusza Morawieckiego. Do licha, to niemożliwe. Czyżby ktoś podmienił zdjęcia? Czyżby ktoś robił sobie żarty? Premier, który w 2020 r. w grudniu podpisał się pod pakietem, teraz twierdzi, że go nie zaakceptował? Poczuję się, jakbym tracił grunt pod nogami. Tylko w „Do Rzeczy” kilka razy w komentarzach skrytykowałem szefa polskiego rządu za tę dramatycznie błędną decyzję, a teraz okazuje się, że on w ogóle takiej decyzji nie podjął.

Co się dzieje? W pośpiechu rzucam okiem na pozostałe portale. Być może pomylił się tylko portal tvp.info. Ale na darmo. Wszędzie to samo. Wszystkie portale informują jednym głosem, że premier Mateusz Morawiecki twierdzi, iż nie podpisał tego, co podpisał, i nie zaakceptował tego, co zaakceptował.

Znają Państwo to uczucie ze snu? Rzeczywistość ucieka nam spod nóg, wydarza się poza nami, jakbyśmy bezwolnie jedynie przyglądali się temu, co bierze nas w swoje posiadanie. Zaraz, zaraz, sięgam do tygodnika. W starych wydaniach „Do Rzeczy” jest napisane, że premier Morawiecki podpisał się pod „Fit for 55”. Czyżbyśmy się mylili? Czyżby ktoś nas wszystkich zaczarował? Zdenerwowany szukam innych źródeł.

Doniesienia prasowe z 2020 r. „Premier Mateusz Morawiecki odwołał drugie polskie weto na szczycie UE, godząc się na zaostreżenie celu redukcyjnego Unii do 55 proc. w 2030 r. W zamian Polska liczy na dodatkowe pieniądze”. Uff, a więc jednak. Jeszcze szukam. Tym razem „Rzeczpospolita”: „Mateusz Morawiecki zrezygnował z drugiego weta. Cel klimatyczny zaakceptowany. UE obniży emisję CO₂ o 55 procent do 2030 roku. Polska po ciężkich negocjacjach zaakceptowała ten ambitny cel”. Czytam jeszcze obecną wypowiedź ministra Zbigniewa Ziobry. W odpowiedzi na słowa premiera, że „Polska nigdy nie poparła żadnego pakietu »Fit for 55«”, minister mówi: „Niestety poparła”. Źródła historyczne i współcześni świadkowie mówią, że premier poparł pakiet. Znaczy, stało się.

Jak wytłumaczyć zatem tę wypowiedź premiera? Możliwości jest kilka, sam nie wiem, która jest dla Polski najlepsza. Po pierwsze, może premier cierpi na amnezję. Jest to przypadek szczególnego rodzaju, bo polega na zapominaniu tego, o czym nie chce się pamiętać. Cóż, takie przypadki całkowitego wyparcia są znane w medycynie. Osoba, która cierpi na podobną dolegliwość, może sobie i innym wyrządzić krzywdę, dlatego, na szczęście, są dostępne odpowiednie terapie.

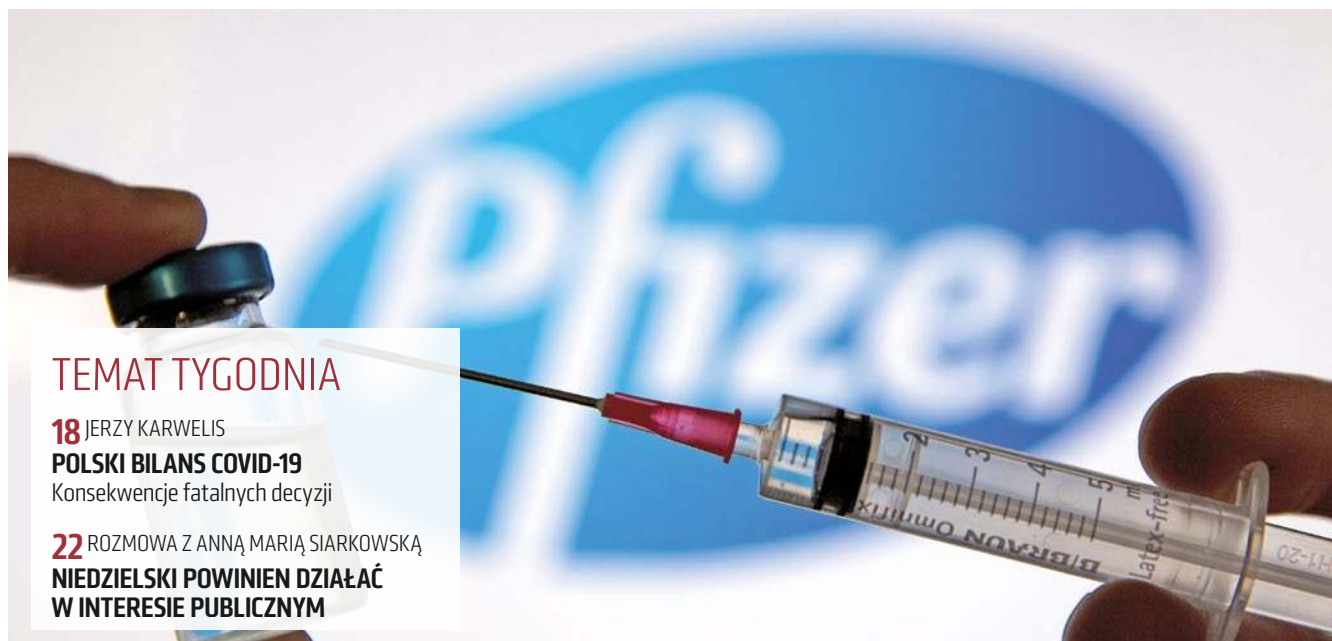
Po drugie, może premier stał się ofiarą wokeyzmu. Tak bardzo zafascynował się naszymi amerykańskimi sojusznikami i panią wiceprezydent Kamalą Harris, którą ostatnio odwiedził w Waszyngtonie, że przejął od niej konstruktywistyczną teorię prawdy. Prawdą jest to, co w danej chwili się stwierdza. Prawda to nie zgodność sądu z rzeczywistością, ale konstrukt, akt woli. Obiektyw-

na rzeczywistość i pamięć o niej nie istnieją. Dlatego w grudniu premier zaakceptował „Fit for 55”, godząc się na drastyczne zaostreżenie pakietu klimatycznego, ale w maju 2023 r. nie zaakceptował tego pakietu. Historia cofa się pod naporem mocy woli. To, co było prawdą w grudniu 2020 r., nie jest nią w maju 2023 r.

Trzecia możliwość: w grudniu 2020 r. na posiedzeniu Rady Europejskiej nie było premiera Mateusza Morawieckiego, tylko jego sobowtór. W tym czasie premier przebywał w nieznanym miejscu, a zastępował go ktoś do złudzenia do niego podobny – i to ten ktoś podpisał się pod pakietem. Nic dziwnego, że uwolniony z potrzasku premier Morawiecki mówi teraz to, co mówi, bo przecież to nie on podpisał to, co zostało podpisane.

Oczywiście jest jeszcze i ta możliwość, że premier przestraszył się dziś konsekwencji własnych czynów, a ściślej mówiąc: własnego podpisu, i zaczął wykręcać kota ogonem. Katastrofalne skutki podpisanego pakietu są coraz bardziej dotkliwe, więc... wicie, rozumiecie. Nieco to wprawdzie – jakby to powiedzieć – dziecinne. Ale kto by się tam przejmował?

Nie wiem – powtarzam – która z tych odpowiedzi jest prawdziwa. Z dużym prawdopodobieństwem można jedynie stwierdzić, że Mateusz Morawiecki jest pierwszym prawdziwie postnowoczesnym i jednocześnie prawicowym, postmodernistycznym i jednocześnie konserwatywnym premierem w dziejach Polski. Do tej pory tak zręczne żonglowanie prawdą, że może się ona wydawać zaprzeczeniem samej siebie, było domeną nowoczesnej lewicy. To, że sztukę tę posiadał Mateusz Morawiecki, musi budzić uznanie. ©



TEMAT TYGODNIA

18 JERZY KARWELIS

POLSKI BILANS COVID-19

Konsekwencje fatalnych decyzji

22 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ

NIEDZIELSKI POWINIEN DZIAŁAĆ W INTERESIE PUBLICZNYM

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SPRAWIEDLIWOŚĆ W BAGNIE

Chaos w sądownictwie

27 PIOTR SEMKA

JAK NIE DENERWOWAĆ WUJKA DONALDA?

30 ZUZANNA DĄBROWSKA

BABCIA ZADYMIARA

KULTURA

32 TOMASZ ROWIŃSKI

ENCYKLOPEDIA ANTYKULTURY CZY ANTYKATECHIZM?

Zjawiska prowadzące do rozpadu świata

36 PIOTR GOCIEK

MUSZKIETEROWIE WRACAJĄ DO KIN

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 MARIUSZ DZIERŻAWSKI

KTO WYGRA WOJNĘ NA UKRAINIE?

Walki i negocjacje

46 MAREK JUREK

SUWERENNA POLSKA I SUWERENNOŚĆ POLSKI

49 SŁAWOMIR SIWEK

WIDMO KOMUNIZMU KRAŻY PO EUROPIE

HISTORIA

52 AGNIESZKA BUGAŁA

JEDENAŚCIE CHYBIEŃ, CZYLI POLEMKA AD PERSONAM

Zapiski kard. Gulbinowicza

ŚWIAT

56 OLIVIER BAULT

TRANS-AMERYKA

Młodzież w szponach ideologii gender

59 MACIEJ PIECZYŃSKI

PISARZ Z KARABINEM

62 IAN BOGATKO

NIEMCY CHCĄ WYGRAĆ WYBORY W POLSCE?

EKONOMIA

64 ŁUKASZ WARZECHA

ZABRONIĆ I ZAKAZAĆ!

Czy dorosły obywatel może decydować, co pije?

66 JACEK PRZYBYLSKI

WYŻSZE PENSJE, PREMIE I BIURA PRZYSZŁOŚCI

STYL

70 JOANNA BOJAŃCZYK

LUKSUSOWY ZAPACH MILIARDÓW

Krezusi w czasach kryzysu

SPORT

74 ŁUKASZ ZBORALSKI

POLSKI FINAŁ

Siatkarski pojedynek na szczycie



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Scholz chce władzy

Tę melodię zza Odry znamy od lat. „Unia traci szansę, by stać się globalnym graczem. Wszyscy zyskamy na zwiększeniu szybkości podejmowania decyzji. Zasada jednomyślności to zawada na drodze do usprawnienia UE”.

Teraz hasło „koniec z wetem” podjął kanclerz Olaf Scholz, przemawiając w Parlamencie Europejskim. – Ci, którzy służą fantazjom o narodowych supermocarstwach, utknęli w przeszłości – powiedział Scholz. – Im Europa bardziej zjednoczona, tym łatwiej zadbać o przyszłość. Potrzebujemy Unii geopolitycznej, zjednoczonej, otwartej na przyszłość – przemawiał. Wskazał, że „Unia Europejska musi usprawnić podejmowanie decyzji w sprawie polityki zagranicznej i podatków. Kolejny raz podkreślił, że będzie dążył do tego, aby decyzje w tych kwestiach były podejmowane większością kwalifikowaną, a nie, jak obecnie, za pomocą zasady jednomyślności.

I wreszcie postawił kropkę nad i. Ogłosił: „Uczciwa polityka rozszerzeniowa oznacza dotrzymywanie złożonych obietnic. Poszerzona

Unia Europejska powinna być zreformowaną Unią. To powinien być cel” – mówił. Czyli stanowisko Berlina jest już jasne – żadnego rozszerzenia Unii bez zniesienia weta.

Znajdą się pewnie tacy, na których pewność siebie czy wręcz tupet Niemców będą robiły wrażenie. Kraj, którego błędna i sprzeczna z unijnymi ideałami polityka „dokarmiania niedźwie-dzia” pośrednio doprowadziła do najstraszniejszej wojny w Europie od ponad 70 lat, wraca do narzucania swoich idei. Politycznego planu, który słabo skrywa chęć dominacji Niemiec i Francji nad Unią. Wyciąga znów jak królika z kapelusza nowe wcielenie idei unifikacji Unii.

Tyle że na pytanie: „Dlaczego Scholz to robi?”, odpowiedź jest gorzka: bo może. Wciąż nie wyklarowała się w Unii solidarna grupa państw, które jasno broniłyby weta.

Węgry zajęte są właśnie aktem kapitulacyjnym wobec Unii w kwestii tamtejszego sądownictwa. Czechy wybrały właśnie nowego prezydenta, który w czasie marcowej wizyty w Berlinie zaapelował do RFN, by „w nowej erze relacji

międzynarodowych przejęła inicjatywę w kwestiach geopolitycznych i niosła odpowiedzialność za Europę”. Italia pod rządami Giorgii Meloni ma własne kłopoty. Włoska szefowa rządu musi tymczasem odpierać ataki Paryża i Madrytu oskarżających ją o nieludzką i niesprawiedliwą politykę wobec migrantów. Przeciwnicy niemieckich planów nie tworzą zwartej grupy liderów państw unijnych, którzy spotykali się i uzgadniali swoją politykę. A Berlin i Paryż – mimo okresowych nieporozumień – mają wypracowany unijny tryb wprowadzania w życie swoich zamierzeń.

Co pozostaje? Na razie cieszyć się musimy wysyłanymi z różnych stolic dyplomatycznymi pomrukami w stylu „o zmianach będzie można rozmawiać, gdy skończy się wojna na Ukrainie”. Lepšie to niż nic. Na krajowym podwórku postanowił zabłysnąć marszałek Senatu Tomasz Grodzki, który porównał obecne unijne weta do polskiego liberum veto. Jak widać, „partia białej flagi” przed jesiennymi wyborami jest już w pełnej gotowości. ©



FOT. PAUL ELLIS/GETTY IMAGES

POLSKI SUKCES NA EUROWIZJI

Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, nie znaliśmy jeszcze zwycięzców sobotniego 67. Konkursu Piosenki Eurowizji. Wiadomo już było, że reprezentująca Polskę 23-letnia Blanka Stajkow z piosenką „Solo” w półfinale zaprezentowała się rewelacyjnie, dzięki czemu znalazła się w gronie 26 finalistów. W ubiegłym roku Eurowizję wygrał ukraiński zespół Kalush Orchestra, ale z uwagi na rosyjską agresję na Ukrainę tegoroczna edycja konkursu odbywała się w Wielkiej Brytanii. (jap)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Brussels),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwielis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Leniewicz, Piotr Litka, Łukasz Majchryk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Kamila Gala, **Zofia Magdziak**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sienkowski**,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadarowski (obrobka zdjęć)

Fotorecja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wemerowska**,

Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

Okładka: **Paweł Jaskółka/PAP**, **Drew Angerer/Getty Images**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,

pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynnie

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem

autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie

artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania

materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziś trzy listy dotyczące jednego tekstu oraz odpowiedź autora. Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Żmudzi, ojczyzna moja”, Piotr Semka, „DR” nr 17-18/2023

Szanowna Redakcjo,
z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Piotra Semki pt. „Żmudzi, ojczyzna moja”. Omówienie wileńskiej wystawy dotyczącej dzieł sztuki zgromadzonych przez polską arystokrację na Żmudzi stało się sposobnością do ciekawego przedstawienia wielu rodów niezwykle dla Polski i jej kultury zasłużonych. Do artykułu tego wkradła się usterka, która w żadnej mierze jednak nie umniejsza wysokiej jego wartości. Usterka zresztą na pewno jest oczywista dla Autora. Utwór „Pożegnanie Ojczyzny”, którego kompozytorem jest Michał Kleofas Ogiński, to polonez, a nie mazurek.

Przy tej okazji chciałbym podzielić się jedną refleksją i apelem. Wspomniany polonez Ogińskiego ostatnio ulega gwałtownemu procesowi zapomnienia, niezasłużenie nie wytrzymując konkurencji ze skądinąd niezłym polonezem Wojciecha Kilara z filmu Andrzeja Wajdy „Pan Tadeusz”. Należy zauważyć, że polonez „Pożegnanie Ojczyzny” to perła muzyki przedchopinowskiej. Jest on również melodią narodową, a dla wielu ma charakter nawet świętości narodowej. Jeszcze niedawno, do czasu pojawienia się filmu Wajdy, polonez Ogińskiego praktycznie zawsze był wykorzystywany na studniówkach jako uroczysty taniec otwierający.

Obecnie wykorzystywanie praktycznie na każdej uroczystości czy imprezie, gdzie ma być tańczony polonez, kompozycji Kilara z filmu „Pan Tadeusz” stało się standardem, od którego nie ma właściwie wyjątku. Działa tu niestety pewien automatyzm: potrzebny polonez – weźmy więc poloneza z „Pana Tadeusza”. Nie chodzi o to, aby rezygnować z tego nowego poloneza. Ale dlaczego całkowicie może pomijać wspaniały utwór napisany

w ginącej pod ciosami obcych mocarstw Pierwszej Rzeczypospolitej? Jeżeli polonez Ogińskiego zniknie ze świadomości ogółu Polaków, to będzie to niepowetowana strata. Należy zrobić wszystko, aby tak się nie stało, a jest to możliwe, jeżeli odpowiednio często polonez ten będzie wykorzystywany w sposób, w jaki był powszechnie wykorzystywany w XX w. Nie dajmy temu skarbowi polskiej kultury ulec zapomnieniu.

**Z poważaniem
Marek Milewski, Luboń**

Errata

Pomylił Pan dwie różne osoby o tym samym nazwisku, lecz różnych imionach: Marie-Gabriel-Florent-Auguste de Choiseul-Gouffier (1752–1817) i Antoine Louis Octave de Choiseul-Gouffier (1773–1840).

Ten pierwszy był amatorem w przedmiocie sztuk pięknych, a później dyplomata. Wyjechał z ambasady w Konstantynopolu do Petersburga w 1792 r., nie uznając władz rewolucyjnych we Francji. Nie był w Rosji dyplomata, tylko dyrektorem Akademii Sztuk i Bibliotek Carskich. Dostał od Katarzyny II majątek na Litwie zabrany Polakom. Dziesięć lat później wrócił do Francji, ale władzy Napoleona nie uznawał, trwał przy Ludwiku XVIII. Z córką Tyzenhauza z Przewodzień nie miał nic wspólnego. Zofia Tyzenhauz wyszła we Francji w 1818 r. za tego drugiego de Choiseul-Gouffier, który służył Napoleonowi. Pisała książki po francusku i publikowała je w Paryżu, poruszając tematykę naszej przeszłości, ale była kosmopolitką. Malarz nazywał się Jan Rustem.

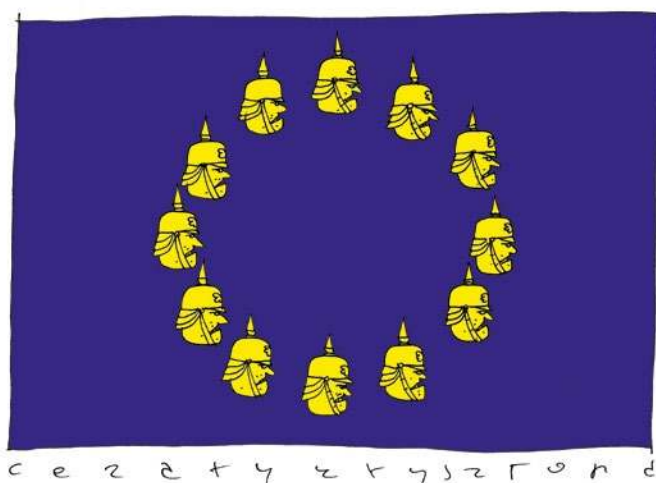
„Pożegnanie z Ojczyzną” to nie mazurek, tylko polonez. A jego kompozytor Michał Kleofas Ogiński był totem i zdracą, co niestety później się okazało. Służył gorliwie carycy, a także był agentem pruskim. Może stąd to fatum wiszące nad tym zhańbionym rodem. Łośtrostw litewskich wobec Polaków nie da się rozgrzeszyć – a tym bardziej puścić w niepamięć.

Tomasz Dąbrowski

Szanowny Panie Redaktorze!
Niedawno opublikował Pan ciekawy artykuł w „Do Rzeczy” na temat żmudzkich rodzin i ich losów. Temat ten jest mi

bliski, ponieważ jeden z moich pradziadków wywodzi się ze wspomnianego przez Pana Płotele (dziś Plateliai). Stanisław Kazanowicz, urodzony tam jako Stanisław Kazonas, potomek napoleońskiego dobosza Cazina, jest dziadkiem naszego ojca, prof. Stanisława Hueckla, który razem z dziadkiem pańskiego przyjaciela Jacka Kurskiego, profesorem Longinem Kurskim, pełnił kierownicze stanowiska na wieczorówce PG (to jako rekomendacja). Nie wspominam o innych ważnych dokonaniach i funkcjach obu Panów, bo nie jest to temat „tego opowiadania”. Tylko nadmienię, że na alei Wojska Polskiego we Wrzeszczu sąsiadowaliśmy ze sobą.

Nasz (mój i mojego brata Tomasza seniora) Ojciec przez całe życie prowadził notatki i spisywał wspomnienia. To niezwykle źródło wiedzy, m.in. o naszych licznych przodkach.



W roku 2019 wyruszyliśmy na Litwę zweryfikować niektóre z wątków naszej rodzinnej historii. Ta bardzo ciekawa wyprawa, której etap żmudzi trwał raptem dwa-trzy dni, zajął nam potem dwa-trzy lata wertowania źródeł, spisywania wyników. Powstał z tego „Tryptyk litewski”; środkową część tryptyku pt. „Z życia wyższych sfer Hrabstwa Płotelskiego” posyłam,

może Pana zainteresuje. Pierwsza część to opis naszych poszukiwań i osób wplątanych w tę historię. Trzecia część to zarysowane historyczne tło, które pozwoliło nam zrozumieć dziejowe procesy, w które nasi przodkowie byli wplątani. Nic heroicznego, ale dla nas ciekawe.

Nie chcę Pana ani zachęcać, ani zanudzać, po prostu pozdrawiam. Mam nadzieję, że doszedł już Pan do zdrowia po covidowych przebiegach. Troskaliśmy się o Pana!

Krzysztof Hueckel

Od autora

Jestem pod wrażeniem tego, jak biegle czytelnicy „Do Rzeczy” znają wszystkie niuanse szlacheckiej i arystokratycznej historii Żmudzi. Za pomyłki się rumienię, choć część z nich wynikała z oparcia się na opisach umieszczonych na wystawie.

Piotr Semka

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Pobyty w terminach:
15.05 – 27.08.2023r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wiesz, jak jest

Deklarację premiera Morawieckiego, że „osobiście” jest za karą śmierci, oceniono jako próbę politycznego ugrania czegoś na zrozumiałym oburzeniu, które wzbudziła historia zakatowanego ośmiolatka. Mnie też te słowa zirykowały. Jestem od zawsze zdecydowanym zwolennikiem kary śmierci, ale uważam, że tak jak każdy element prawa powinna ona być traktowana w jego logice, na zimno, a nie emocjonalnie. Chodzi o to, by osobników skrajnie zwyrodniałych, odrzucających podstawowe normy i wartości, trwale i w sposób odstraszaający od naśladowstwa usuwać ze społeczeństwa – a nie o to, by się za szczególną podłość odegrać

najsurowiej, jak sobie umiemy wyobrazić. Tak jak wściekłego psa usypia się nie z zemsty, że pogryzł dziecko, tylko z rozsądku, by nie pogryzł nikogo więcej. Wpisanie poparcia dla przywrócenia kary głównej w kontekst konkretnej, bulwersującej zbrodni przynosi sprawie więcej szkody niż pożytku.

Ważniejsze jednak dla oceny tej wypowiedzi są inne słowa premiera – te o „polityce klimatycznej”. Że jest ona dla Unii Europejskiej „religią”, więc nie możemy być przeciw. Zniesienie karty śmierci też jest dla UE religią, jako element zaznaczania moralnej „lepszości” Europy nad zniechędzoną (tym bardziej, im bardziej niezbędną do życia) Ameryką. Kto ciekaw, niech prześledzi, z jak maniakim

uporem wymusza UE abolicjonizm, na kim tylko może. Premier o tym wie, stąd to „osobiście”.

Widzę tu reaktywowanie myślowego nawyku z PRL. Wielu i wiele w tamtych czasach tak się rozgrzeszało: „Masz rację, osobiście też się z nimi nie zgadzam, ale... wiesz, jak jest”. Premier mówiąc, że osobiście jest za potępianym w UE prawem, ale „obecnie jest ono nie do zastosowania”, partia rządząca, „zbierając podpisy” pod godzącą w „wartości europejskie” ustawą – zamiast ją po prostu przegłosować – sięgają po znany wielu i dla wielu akceptowalny schemat. „Zobaczcie, my w PiS też jesteśmy przeciwko tym wszystkim unijnym wariacjom, ale – wiecie, jak jest...”. ©©

OD POCZĄTKU

Portugalia umierać nie chce



MAREK JUREK

Prezydent Portugalii, Marcelo Rebelo de Sousa, ponownie zawetował ustawę o eutanazji. Poprzednio podobny projekt zablokował dwa lata temu. Za każdym razem uzasadnienia jego decyzji były dość zawiłe. Wskazywał np. na pomieszenie materii, bo „czym innym jest choroba ciężka, choroba nieuleczalna i choroba śmiertelna”, albo że jeśli eutanazja nie będzie dotyczyć jedynie „choroby śmiertelnej”, to wtedy dojdzie do poważnego zachwiania równowagi między „życiem jako wartością” a „prawem do decydowania o sobie”.

Nie uważam, by cel uświęcał środki, ale do tej pory podobna

dialektyka bywała jedynie narzędziem kontrkultury śmierci. Portugalski prezydent potrafi jej używać w dobrym celu. W dwóch innych przypadkach (bo to już czwarta w ciągu ostatnich lat eutanazyjna konfrontacja) w sukurs niezbywalności prawa do życia przyszedł portugalski Trybunał Konstytucyjny. Tak więc cywilizacja luzytańska ciągle umierać nie chce.

Warte przybliżenia jest też genealogiczne tło wydarzeń. Blokujący eutanazję prezydent pochodzi z rodziny o tradycjach politycznych. Jego ojciec, Baltazar Leite Rebelo de Sousa, w okresie rządów katolickich, przed rewolucją goździków, był ministrem i gubernatorem generalnym Mo-

zambiku. Po rewolucji przebywał na wygnaniu w Brazylii.

Ojcem chrzestnym obecnego prezydenta był zaś ostatni premier Estado Novo, prof. Marcello Caetano. Sam prezydent Rebelo de Sousa swą drogę polityczną związał z Partią Socjaldemokratyczną, która – jak PSL po wojnie dla Polski – po rewolucji stała się nadzieją... osieroconej prawicy. Portugalscy „socjaldemokraci”, żeby było ciekawiej, należą obok wielu partii postchadeckich do Europejskiej Partii Ludowej.

Genealogia (ludzi i idei) bywa złożona. Niektórzy mówią, że przede wszystkim uczy pokory. Ale zostawia również dobre ślady. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

O fiksacji silniejszej niż śmierć

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Michela Murgia jest superpostępową włoską pisarką, eseistką, laureatką nagród literackich, bohaterką wielu telewizyjnych programów i dyskusji. Kojarzy ją chyba każdy dorosły Włoch. Pięć lat temu było o niej głośno, bo opracowała test, tzw. faszystometr, który dzięki odpowiedziom na pytanie o stosunek do różnych twierdzeń miał wskazać, na ile badany jest faszystą, a na ile demokratą. Było wesoło, gdy promineni włoskiej lewicy uczciwie przyznali, że test zdiagnozował u nich faszyzm – u niektórych nieledwie protofaszyzm, a u innych faszyzm galopujący.

Pięćdziesięcioletnia Murgia udzieliła właśnie obszernego, wstrząsającego wywiadu znanemu publicyście Aldo Cazzulli.

Ukazał się w „Corriere della Sera”. Wyjawiała, że ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia, bo cierpi na raka nerek, który jest już w czwartym, nieuleczalnym stadium. Pisarka mówi wiele niebanalnych, też kontrowersyjnych rzeczy. Rozlicza się ze swoim życiem. Jest pogodna, wierzy w Boga. Modli się, ale nie o siebie, ale o to, by jej bliscy nie cierpieli z powodu jej śmierci. Chce pogodnie odejść w zaświaty.

W naszej zbiorowej świadomości, również za sprawą literatury czy filmu, panuje chyba przekonanie, że w obliczu zbliżającej się śmierci ludzie doznają iluminacji, która pozwala spojrzeć na siebie, innych i otaczającą rzeczywistość z dystansem, przenikliwością i chęcią pojednania. Koniec wywiadu Murgii przekonuje jednak,

że fiksacja i zapiekła niechęć potrafią towarzyszyć człowiekowi do ostatniego tchnienia.

– Nie boi się pani śmierci?

– Nie. Mam tylko nadzieję, że umrę, gdy Giorgia Meloni nie będzie premierem.

– Dlaczego?

– Bo to jest faszystowski rząd.

– Jestem antyfaszystą. Właśnie dlatego nie zgadzam się: to nie jest faszystowski rząd.

– Co to jest faszyzm? Przemoc?

Pałowanie? Czy okólnik, że dziecko dwóch matek może mieć tylko jedną matkę, nie jest przemocą? To więcej niż cios pałką. Kiedy miałam 20 lat, pytaliśmy się, czy wszyscy umrzemy chadekami. Dla mnie jest teraz ważne, żebym nie umarła faszystką. ©

Autorem jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

KACZOR SIĘ OKREŚLIŁ

Wybory za pasem, a więc najwyższy czas, aby na temat polityki zaczęli wypowiadać się artyści. I tak muzycy – Kazik Staszewski i Muniek Staszczuk – stanęli pośrodku, czym ogromnie wzbudzili kibiców „totalnej opozycji”. Lider Kultu stwierdził, że „nie pójdzie na wybory, bo nie ma na kogo głosować”. – Każdy polityk jest dla mnie osobą, która budzi niechęć, moją prywatną – zaznaczył, zapewne ubierając w słowa myśli dużej części naszego społeczeństwa. Z kolei Staszczuk z T.Love, choć skrytykował PiS, to jednocześnie postawił pytanie: „Ale jak PiS przegra, to co dalej? Kto weźmie ten kraj w swoje ręce i w jakim kierunku to pójdzie?”. – Zawsze patrzę w sposób środkowy i nie mówię, że wszystko PiS zrobił źle, ale trzecia kadencja to nie powinna się zdarzyć, chociaż wszystko w takim kierunku zmierza – podsumował rockman. „Środkiem polskiej drogi” nie zamierza za to kroczyć aktor Kazimierz Kaczor. – Nie jestem kibicem obecnej sytuacji politycznej. Często pytam żonę, co możemy z tym zrobić. Zastanawiam się, czy jesteśmy w stanie przyczynić się do jakiegś zmiany. Bo jeśli nie, to wyrzucmy to z pamięci, żeby nie udławić się własną złością i złością. A jeśli tak, to działajmy! Jedno wiem na pewno – ta władza powinna się zmienić, bo narobiła zdecydowanie więcej złego niż dobrego. Rządzący odpowiadają za straszliwy bałagan w ludzkich mózgach i uczuciach – stwierdził „Jan Serce”. Mam złą wiadomość: tak będzie aż do jesieni.

NIEZŁY WAŁ

Polskie serwisy, już nie tylko plotkarskie, żyją historią Caroline Derpienski, czyli Karoliny Derpieńskiej z Białegostoku. Białostoczanka, na co dzień zamieszkująca rzecz jasna Ju Es Ej, chwali się luksusowym życiem, zaręczynami z dwukrotnie starszym mężczyzną i szaloną wręcz popularnością w social mediach. No właśnie, tu pojawia się problem. Wszystko wskazuje bowiem na to, że zawrotna „kariera” jest najpewniej jednym wielkim oszustwem. Sprawie przyjrzał się ekspert do spraw



FOT. ARTUR ZAMADZKI/REPORTER

wizerunku Wojciech Kardys. Modelka chwali się, że jej konto na Instagramie ma ponad 6,2 mln obserwujących. Więcej w Polsce ma tylko Robert Lewandowski. „Sprawdziłem Modash i wyszło, że 86 proc. followersów to fake” – wskazał Kardys. – Derpienski jest najpopularniejszą influencerką w Indonezji, a w Indiach zajmuje pod względem popularności 400. miejsce. Świadczy to o tym, że stamtąd głównie pozyskuje followersów. Podejrzewam, że kupuje najtańsze „paczki” followersów, żeby wyboostować konto, przez boty trwałoby to o wiele dłużej – wyjaśnił ekspert w rozmowie z Wirtualnymi Mediami. – Przychodzi i odchodzi po 30, 50 tys. obserwujących. A że Instagram na bieżąco usuwa powstałe tego typu fejk konta, to cały czas powstają nowe, które się kupuje do promocji profilu – dodaje Wojciech Kardys. To jednak nie koniec. Okazało się, że sesje okładkowe w popularnych magazynach to prawdopodobnie po prostu Photoshop, np. taka sesja dla „Playboya”. „Jak łatwo jest zrobić wrażenie w kraju nad Wisłą, inwestując w kilkanaście

operacji plastycznych i min. 250 tys. dol. w grafiki, sesje zdjęciowe oraz social media. Wszystko w max. 3–4 lata!” – tak „karierę” Karoliny podsumował na Twitterze Jacek Gadzinowski, specjalista do spraw marketingu. Pojawiają się teorie, że cała postać modelki została wykreowana i jest eksperymentem społecznym mającym sprawdzić, jak daleko można się posunąć, wciskając ludziom ściemę. Spoglądając na liczbę wywiadów, których w ostatnich tygodniach udzieliła celebrytka, można stwierdzić, że daleko.

CZAS SKOŃCZYĆ SHOW

Są telenowele, które się nie kończą. Taką telenowelą jest np. rozstanie Katarzyny Cichopek i Marcina Hakiela. Już oficjalni eksmałżonkowie, zamiast zająć się nowym życiem, pielgrzymują po mediach, wywlekając brudy (uczciwie przyznajmy, że robi to przede wszystkim pan Marcin). – Trochę było mi żal tego zakończenia, że po 17 latach bycia razem nie usiedliśmy i sobie pewnych rzeczy nie powiedzieliśmy, no ale czasem tak jest, że życie samo buduje scenariusze. Ja na pewno odpuściłem. Odpuściłem i stwierdziłem, że nie będę do tego wszystkiego, co tam się działo, wracał – wyznał tancerz w rozmowie z wprost.pl (udzielając wywiadu, wcale nie wraca do tematu, prawda?). – Ale czy wybaczyłem? Dobre pytanie. Nie wiem. Nie potrafię chyba odpowiedzieć. Były momenty, że było trudno, wtedy starałem się wychodzić, spotykać z przyjaciółmi – to była moja siła. Stwierdziłem, że trzeba żyć dalej wbrew temu, co się dzieje, mimo tych wszystkich rzeczy, które się przydarzyły, aż doszedłem do momentu, że rano, patrząc w lustro, zacząłem się sam do siebie uśmiechać – filozofuje Hakiel. Najlepsze jednak na końcu. Były Cichopek odniósł się do przebiegu rozwodu. – Nie przerzucaliśmy się oskarżeniami. Były ze dwa trudniejsze spotkania w kancelarii, ale później doszliśmy do porozumienia, żeby to szybko zakończyć ze względu na dzieci – podsumował. A może by tak, właśnie ze względu na dzieci, zakończyć ten medialny show? ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, siara trochę, iż organy państwowe wzięły się do standaryzowania nazw geograficznych i postanowiły, iż miasto Kalinigrad będzie się teraz w Polsce nazywało zawsze i wszędzie „Królewcem”.

Piszemy tę nazwę w cudzysłowie, iż naszym zdaniem taki „Królewiec” jest to wyraźne nawiązanie do feudalizmu, wyzysku, monarchizmu i kato-faszysmu. Po raz kolejny mamy do czynienia z sytuacją, kiedy próbuje się nas niepostrzeżenie formować i przemycać nam po cichu w niby niewinny sposób szkodliwe treści.

Zresztą i tak dziwne, że zdecydowano się na taką nazwę, a nie jakąś bardziej współczesną i oddającą mentalność tego rządu – a więc np. Jarosław Drugi (iż pierwszy jest no gdzie? No pewnie, iż na Podkarpaciu), Mateuszowiec czy jakoś tak. Ale nie cieszyć się, to tylko oznacza, iż wkrótce takie nazwy zostaną wykorzystane w tym kraju, wybory idą.

Ech, rozmarzyliśmy się. Przy okazji kolejnej kontroli i szkolenia BHP, które Nowy ochoczko nam zorganizował, i potem stroszył wąsy, iż się zna, w jakiej pozycji należy ustawić fotel i monitor, żeby plecy nie bolały.

Otóż rozmarzyliśmy się, iż na taką kontrolę do naszego open spejsa w korpo przychodzi mi wąsaty Janusz z widoczną nadwagą, wąsem, tęczką z ekoskóry i konspektami wydruko-

wanymi jeszcze na pierwszej serii drukarek atramentowych, ale jakaś fajna niebinarna osoba szkoleniowa.

Widzicie to? Zamiast głupot o czasie pracy, ustawieniach krzeseł czy jakichś innych bzdurach, które nikogo nie obchodzą, mielibyśmy poważne szkolenie z zakresu stosowania zaimków w stopkach e-mailowych, niebinarnej komu-

Organizatorzy czołowego polskiego festiwalu muzycznego szukają wolontariuszy! Kochani, jest okazja, bo za jedyne 950 zł kaucji można popracować za darmo, dostać jeden ciepły posiłek w ciągu dnia, miejsce na polu namiotowym za darmośzkę oraz „możliwość uczestnictwa w festiwalu w czasie wolnym”.

Niestety, ale Nowy z Tarnowa, zgniół przedstawiciel późnego kapitalizmu, naczytał się o takich praktykach i postanowił na analogicznych zasadach zorganizować rekrutację do naszego korpo.

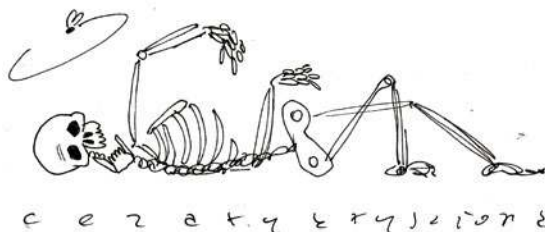
Wolontariusz miałby w obowiązkach dokładnie to, co my, a więc sprzedaż produktów firmy za pośrednictwem narzędzi do nawiązywania kontaktu na odległość (e-mail, telefon), ale to on miałby płacić korpo za możliwość wykonywania pracy, a także pokrywać amortyzację firmowego sprzętu, z którego miałby korzystać, oraz dokładać się do rachunków za prąd, iż

korpo zdaniem Nowego nie powinno mu finansować tego, iż ma ochotę robić wolontariat.

Oczywiście obowiązki w ramach wolontariatu odbywałyby się między 8 a 20 od poniedziałku do piątku, a w ramach zachęty jest możliwość wyjścia po hot doga na Orlen. No kto by się nie skusił? ☺☺

FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Fit for 55



nikacji z osobami klienckimi, inkluzywnego języka komunikacji e-mailowej czy też formach pozytywnej dyskryminacji wobec Nowego z Tarnowa.

Przy okazji fajnie byłoby, gdyby taka osoba kontrolerska sprawdziła, czy korporacje rzeczywiście robią te wszystkie rzeczy z zakresu diversity i equality (dla Podkarpacia: różnorodności i równości), które deklarują w swoich dokumentach o zrównoważonym rozwoju xD.

PODSŁUCHANE

Podpis pod „Fit”

Mateusz, jak Ty mówisz, że myśm się nie zgodzili na „Fit for 55”, to potem ja jednak mam problem. Rzecznikiem jestem, muszę to wyjaśniać. A przecież wiemy, jak było.

Piotr, znasz paradoks o żółwiu i Achillesie?

Achilles? To jakiś ortopeda był? Bo jest ściętno...

Nie, taki heros starożytny. Achilles nie prześcignie żółwia – tak z tego paradoksu wynika.

No ale jak: nie prześcignie?

Ano widzisz. Niby prześcignie – a nie prześcignie. I tak samo jest z tym

moim podpisem pod „Fit”. Znaczy – może nie tak samo, ale podobnie.

Czyli jak?

Czyli jest, ale go nie ma, bo to, co podpisywałem, to nie było to, co potem wynikało z tego podpisu. Rozumiesz?

Średnio. A możesz mi na karteczce o tym Achillesie narysować? ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kiedyś krzyczeliśmy »kto nie skacze, ten za PiS-em«. 4 czerwca powinniśmy skandować »kogo nie ma, ten za PiS-em«”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Wiecie, jak bliskie naszemu sercu jest dobro stosunków polsko-niemieckich. Stąd opowieść o ciekawym wydarzeniu, do którego doszło podczas obchodów 80. rocznicy wybuchu powstania w warszawskim getcie. Otóż wicepremier Gliński chciał być wręczyć prezydentowi Niemiec raport o stratach wojennych poniesionych przez Polskę podczas okupacji. Sporo było oficjalnego pozowania do zdjęć, przechadzano się po wystawie, więc trzeba było mieć wolne ręce. I nagle cios! Odłożony na chwilę na stolik raport zniknął! A my wiemy nawet, kto go zaiwanął, gdyż opowiedzieli nam to świadkowie. Personel ambasady Niemiec w Warszawie.

Niemieccy czyściciele historii, którzy chcieli chronić swego prezydenta, nie docenili jednak przeciwnika. Strona polska błyskawicznie zorientowała się, że raport zniknął, i na ręce wicepremiera Glińskiego dostarczono nowy egzemplarz raportu. Różnica taka, że była to wersja pełna, obszerna, stąd zdjęcia Steinmeiera z gigantycznym tomem otrzymanym od Glińskiego. A personelowi ambasady Niemiec w Warszawie dedykujemy ten oto cytat z Güntera Grassa: „Winie i posłusznemu jej wstydu można przypisać, że dręczy, dręczy nieustannie”.

Skoło już o Niemcach, to musimy przejść do geografii. Droga okrężna, przez Königsberg. Jak może wiecie, Komisja Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Rzeczypospolitej Polskiej działająca przy Głównym Geodecie Kraju zaleciła, żeby z map wymazać komunistyczną nazwę Kalininograd (dawniej Königsberg), a przywrócić Królewiec. Po pierwsze, chcieliśmy wyrazić uznanie, że istnieje w Polsce ciało, którego nazwa w skrócie brzmi KSNGpGRPdpGGK. Po drugie, poprzez całym sercem decyzję i wezwać KSNGpGRPdpGGK do dalszych działań.

Już wyjaśniamy. Jest pilna potrzeba wyrysowania nowej mapy Europy uwzględniającej istnienie kraju, który nazywa się Nazinia. Jest to kraj, z którego przybili jego mieszkańcy, Naziści, żeby okupować Niemcy i zmuszać Niemców



do brzydkich rzeczy. Skoro kanclerz Scholz już ujawnił prawdę, że w 1945 r. Niemców wyzwolono z jarzma Nazistów, to trzeba wreszcie wskazać, gdzie się ci najeżdźcy urodzili. Mamy przecucie, że gdzieś między Wiedniem a Monachium. Z góry przepraszamy Scholza za ewentualne straty terytorialne Niemiec, ale gdzieś ta Nazinia na mapie być musi. Wzywamy też komisję językową, żeby wprowadziły odpowiednie zmiany. Skoro Naziści przybyli z Nazinii, to jednak należy pisać ich dużą literą.

Tymczasem w Eine Totalopposition. W obliczu programowej konwencji PiS i spodziewanej w czerwcu Szymona Płacznego Hołowni 2050 wewnątrz Pełno nasilają się głosy, że Donald Tusk, zwany przez nas Złym Donaldem z Sopotu, też powinien coś obiecać. Coś konkretnego, a nie ogólnikowego. Coś dla ludzi. Pada nawet możliwa data pożądanej obietnicy: 4 czerwca, czyli wielki marsz.

Już wyjaśniamy: nawet w Platformie Łobywatelskiej ludziska rozumieją, że obiecywanie budowy złobków czy coś w tym stylu to popelina. Bo miną lata, zanim coś powstanie, a może i nie powstanie. A PiS strasznie rozpuścił Polaków, którzy przyzwyczaili się, że jak władza mówi, że da, to da szybko. Na przykład „500+” albo dodatkową emeryturę. No i chodzi teraz o to, żeby obiecać coś, co nie tylko można dać szybko po wyborach,

lecz także żeby ludzie uwierzyli, że tak się stanie. Niestety, niektórzy sarkają. Bo ich zdaniem Donald obieca, a to oni będą musieli realizować. Gdyż nawet w przypadku wygranej mało kto spodziewa się Donalda na stanowisku premiera.

Namnożyło się rozmaitych komitetów obrony. Robotników, Demokracji, Praworządności. Ale właśnie odkryliśmy nowy. Komitet Obrony „Gazety Wyborczej”. Ów komitet ma formę związku zawodowego. Ubawił nas fakt, że KOGW w statucie ma zapisane „obrona personelu przed bezprawnymi działaniami, w tym nierównym traktowaniem, mobbingiem, molestowaniem oraz nieuzasadnionym zwolnieniem”. Jeszcze bardziej nas rozbawiło, że w skład władzy tego komitetu wchodzi Wojciech Czuchnowski. Ale już to, że to wcielenie Komitetu Obrony ma siedzibę przy ulicy Pyjasa, sprawiło, że śmiech nam jakoś zamarł w gardziółkach.

Uwaga! Ogłoszenie towarzyskie! Jeśli któraś z pań chciałaby mieć za partnera asa służb specjalnych, to informujemy, że zwolniło się miejsce przy boku gen. Marka Dukaczewskiego. Jego niedysiejsza żona, znana tłumaczka Marta Fitas, zginęła po myślniku dodatek „-Dukaczewska”. Znalazła natomiast nowego partnera. Dodajmy, że ów partner wchodzi w skład władz powyżej wspomnianego komitetu i jest dziennikarzem śledczym.

Wieści z Pałacu. Wprawdzie w dowodzie ma napisane Marcin Mastalerek, ale tego nazwiska nikt nie używa. Powszechnie znany jest jako Masta (zdrobnienie od Master), zwany niekiedy Breivikiem. To najważniejsza osoba w tzw. Dużym Pałacu. Zaraz po Andrzeju Sebastianie. Ma jednak jedną wadę. Z nami w ogóle nie gada. Natomiast inni gadają na niego. I twierdzą, że w tej chwili ma ona najwięcej do powiedzenia. Zwała i podzwiga trony. Dawno byłby już oficjalnym numerem dwa w Pałacu, gdyby nie jeden fakt: Pałac nie jest w stanie zapłacić nawet połowy tego, co zarabia obecnie, a gdyby przyjął ofertę z Pałacu, musiałby przestać robić w biznesie. I to jest prawdziwy dylemat. Ale właśnie za to cenimy Mastę, że potrafi pracować społecznie. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NIETYJAŚNIONE ZBRODNI – KAPŁANI NA KOMUNISTYCZNEJ GOLGOCIE

Dla władz PRL duchowieństwo było
wrogiem numer jeden – księża ginęli jeszcze
po wyborach 4 czerwca



Esbecka trucizna za ewangelizowanie – Dlaczego bezpieka coraz bardziej zaciskała pętlę wokół ks. Franciszka Blachnickiego?

Ostatni lot Czerwonego Barona – Niemieckiego asa przestworzy zgubił błąd, przed którym on sam przestrzegał innych

Diabelski eastern – Kulisy realizowanej z rozmachem epickiej historycznej opowieści Jacka Komudy

Największy z 300 – Dlaczego to właśnie król Leonidas dowodził połączonymi siłami greckimi w wojnie o wszystko z Persją?

Wilno w ogniu – Jak polskie Kresy broniły się we wrześniu 1939 r. przed sowieckim najazdem

Zagłada Konstantynopola – Nikt nigdy nie wziął murów Konstantynopola szturmem. Dlaczego tym razem było inaczej?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. WIKIPEDIA

RUS, UKR

Bydgoszcz
Zamość



FOT. MACIEJ KOWALSKI / REUTERS FORUM

ROSYJSKA RAKIETA SPADŁA POD BYDGOSZCZĄ

Pod koniec kwietnia kobieta uprawiająca jazdę konną po lesie w Zamościu nieopodal Bydgoszczy znalazła szczątki czegoś, co mogło przypominać wojskowy pocisk. W tym miejscu natychmiast zawiadomiła służby – zabezpieczyły je policja i Żandarmeria Wojskowa, sprawą zajmowała się też Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Dwa dni później minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro poinformował publicznie, że wojskowa prokuratura wszczęła w tej sprawie postępowanie. Biegli z Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych potwierdzili – nieoficjalnie jeszcze – że do środka Polski doleciała rosyjska rakietka Ch-55. To rakietka starego typu, stosowana obecnie przez Rosjan do

mylenia lub wykrywania obrony przeciwlotniczej na Ukrainie.

W ubiegłym tygodniu szef MON Mariusz Błaszczak przyznał, że 16 grudnia ubiegłego roku Centrum Operacji Powietrznych otrzymało od Ukraińców ostrzeżenie, że w stronę polskiej przestrzeni zbliża się obiekt, który może być rakieta. Uruchomiono wówczas procedury NATO, w powietrze wzbily się dyżurne samoloty polskie i amerykańskie. Obiekt odnotowały też polskie ziemne stacje radiolokacyjne.

Nie wiadomo, czy polskie wojsko próbowało go zestrzelić. Minister obrony narodowej powiedział tylko o kulisach jego poszukiwania. Nie było ono dobrze zorganizowane. W okolicy

miejsca, gdzie mogła spaść rakietka, wysłano tylko patrol policji. Dopiero trzy dni później przeprowadzono poszukiwania za pomocą śmigłowca, a po 19 grudnia dalej ich już nie prowadzono.

– Stanowczo dementuję informacje, które pojawiły się w mediach, o tym, że odmówiłem zlecenia poszukiwania obiektu oraz skierowania na miejsce dodatkowych Wojsk Obrony Terytorialnej. Taka prośba nigdy nie została do mnie skierowana – zaznaczył Mariusz Błaszczak. Uznał jednocześnie, że dowódca operacyjny nie wywiązał się ze swoich obowiązków.

W związku z tą sprawą opozycja domaga się odwołania ministra obrony narodowej ze stanowiska. **(luz)** © ©



Czy rozwiązania UE są dobre dla lasów?

Polski model leśnictwa

W Polsce lasy należą w 80 proc. do państwa, dlatego kierunek, w którym zmierza UE, to demontaż polskiego modelu leśnictwa.

- Polska wypracowała własne rozwiązania, które sprzyjają ochronie lasów i wdrożyła już unijny system ochrony przyrody Natura 2000 – aż 38 proc. jest objęte Naturą 2000.
- Powierzchnia i zasobność naszych lasów stale rośnie, powierzchnia wzrosła o połowę od drugiej wojny światowej, zasobność – przeszło trzykrotnie.
- Mamy największe w regionie populacje gatunków kluczowych dla różnorodności biologicznej (żubr, wilk, niedźwiedź, bielik).

Pakiet regulacji, które UE przygotowuje w ramach polityki klimatycznej i ochrony różnorodności biologicznej, to także rozliczne konsekwencje. Pomysłodawcy recept na ratowanie klimatu i przyrody skrzętnie je przemilczają. Na początek przypomnijmy, o które przepisy chodzi

W ramach Europejskiego Zielonego Ładu oraz tzw. pakietu „Fit for 55” Unia Europejska formułuje przepisy i rekomendacje w zakresie ochrony przyrody i klimatu. Najważniejsze z nich to:

- strategia na rzecz bioróżnorodności 2030,
- rozporządzenie w sprawie użytkowania gruntów, zmiany użytkowania gruntów i leśnictwa, określane skrótem LULUCF,
- nowa strategia leśna UE 2030.

Dla wzmocnienia ochrony przyrody i klimatu UE rekomenduje objęcie co

najmniej 30 proc. unijnych obszarów lądowych ochroną prawną i wprowadzenie korytarzy ekologicznych w ramach sieci Natura. To oznacza ścisłą ochronę – czyli pozostawienie samym sobie – co najmniej jednej trzeciej unijnych obszarów chronionych, w tym wszystkich pozostałych w UE tzw. lasów pierwotnych i starodrzewów.

W Polsce ten ambitny cel może być zrealizowany niemal wyłącznie na obszarze lasów należących do państwa. Nawet jedna trzecia lasów może zostać wyłączona z użytkowania, a swobodny wstęp do nich co najmniej ograniczony.

Co to rzeczywiście może oznaczać?



Spadek pozyskania drewna to zwiększony import z innych części świata

Szacuje się, że do UE trzeba będzie sprowadzać 188 mln m sześć., w pierwszej kolejności z Ameryki Północnej, Indii i Brazylii. W efekcie nastąpią:

- znaczący wzrost emisji CO₂ w wyniku wylesiania oraz na skutek długodystansowego transportu morskiego,
- zagrożona różnorodność biologiczna lasów poza Unią Europejską,
- zastępowanie drewna innymi surowcami – plastik, szkło, metal, guma, beton, produkty ropopochodne itp.



Bierna ochrona to uruchomienie procesów zamierania lasu i zagrożenie dla klimatu

Pozostawienie lasów samym sobie to ryzyko poważnych strat przyrodniczych:

- utrata możliwości podtrzymywania różnorodności biologicznej,
- zamarłe lasy przestaną pochłaniać CO₂ i staną się jego emitentem, stracą możliwość łagodzenia skutków zmian klimatycznych,
- ograniczenie możliwości retencjonowania wody, łagodzenia dobowej amplitudy temperatur, utrata korzystnego wpływu na jakość powietrza, uruchomienie procesów erozyjnych.



Podporządkowanie leśnictwa celom klimatycznym oznacza nadmiar biurokracji

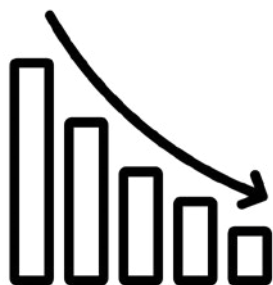
- arbitralnie ustanowione cele pochłaniania są nierealne dla polskich warunków, ponieważ nie uwzględniają konsekwencji suszy i wzrostu temperatur,
- wprowadzają nadmierne obciążenia administracyjne, wymagające tworzenia dodatkowych instytucji i etatów,
- niebezpieczne starzenie się polskich lasów, które będą bardziej podatne na zamieranie.



Ochrona ścisła to ograniczenie funkcji społecznych

Dziś do lasów wielofunkcyjnych w Polsce dostęp jest niemal nieograniczony. Ścisła ochrona to wprowadzenie zasad jak w rezerwacie przyrody:

- brak możliwości swobodnego poruszania się poza nielicznymi, wyznaczonymi trasami,
- wyłączenie terenu ze zbioru grzybów i jagód.



Wyłączenie z gospodarki leśnej to cios w polską gospodarkę

Spadek pozyskania surowca drzewnego w Polsce wyniesie nawet 40 proc., czyli o ok. 20 mln m sześć. A to oznacza:

- zmniejszenie o przeszło 200 tys. liczby osób zatrudnionych w branży drzewnej,
- zmniejszenie udziału zatrudnionych w przemyśle drzewnym w przemyśle ogółem z 12,5 proc. do 6 proc.,
- ograniczenie lub likwidacja produkcji 90 proc. firm zlokalizowanych na obszarach wiejskich, głównie małych firm rodzinnych.

Polski bilans COVID-19



Jerzy Karwelis

Przestaliśmy leczyć ludzi, przez co masowo umierali. Wprowadzaliśmy niepotrzebne obostrzenia, zniszczyliśmy gospodarkę, kupiliśmy zbędne i nieprzebadane szczepionki. Tak wygląda Polska po pandemii

Kiedy WHO ogłosiła koniec pandemii, wszyscy w Polsce mieli pomieszaną radość z konfliktem poznawczym. Skoro na świecie, a tak ogłosili światowi zarządzający pandemią, nie ma już niebezpieczeństwa, to co my będziemy robić przez prawie dwa miesiące, bośmy ogłosili koniec naszej pandemii na początek lipca? Co do tej pory się stanie? Na co czekamy? Może na odroczenie bilansu i danie sobie czasu na pozamiatanie pod dywan do tego momentu?

ŻENUA

Jednym z przypadków takiej woli odroczenia bilansu pandemii jest chęć wykazania się, czyli zamiany kosztownego błędu zakupu szczepionek po siedem sztuk na głowę, i to jeszcze w czasach, kiedy

o żadnym wariantowaniu szczepionek pod wirusa nie było mowy (mieliśmy siedem sztuk na głowę dwudawkowej szczepionki). Sprawa się wydała i zaczęły fruwać w powietrzu (w powietrzu, bo media mamy brońące mainstreamu) niewygodne pytania. Trzeba było coś zrobić. Minister Niedzielski dokonał wolty. Ogłosił, że będzie się opierał pазernemu Pfizerowi i nie przyjmie żadnej szczepionki. Jednocześnie, czego większość z nas nie skojarzyła, kupił 508 tys. szczepionek dla maluchów od szóstego miesiąca życia, z czego zeszło ok. 0,8 proc. W ten sposób utopiliśmy dodatkowe ponad 100 mln zł w szczepionkach, z których nikt nie skorzystał.

Ten pierwszy ruch – stawiania się na pokaz – nie bardzo wypalił, a więc minister ostatnio wzmocnił go listem otwartym do

Pfizera, apelując do niego, by koncern odpuścił, ba – skarżąc się akcjonariuszom, że odmowa będzie rzutowała na wizerunek firmy i że odpowiedzialny biznes polega również na zrównoważonych zyskach. Było to dość żenujące, gdyż minister Niedzielski sam kwestionował własne zapisy, pod którymi się podpisał. Jako force majeure podał (poważnie!), że nastąpiła u nas siła wyższa w postaci milionów migrantów wojennych. Ale taki argument to pułapka, bo z tego powodu powinniśmy zamówić więcej szczepionek, bo nawiedził nas naród kompletnie niezaszczepiony. Są jednak dwie logiki – formalna i covidowa.

Pfizer odpowiedział poprzez łamy „Gazety Wyborczej”, żeby się minister, delikatnie mówiąc, napił wody. Minister zaczął ten spór publicznie, a więc Pfizer



sprawę chciał załatwić, choćby i PR-owo, bez efektów, ale żeby wyszło, że się stara. A więc z różnych powodów, głównie przedwyborczych, będziemy mieli teraz serię tłumaczeń, że chciano dobrze, a wyszło jak zwykle. W tym tekście prześledzimy, z czego trzeba by się potłumaczyć, a jak to będzie – to zobaczymy. Na razie rządzi narracja przygotowawcza – na początku nikt nie wiedział, wszyscy się bali i niech pierwszy rzuci strzykawką ten, który się nie bał. Nabroiliśmy, fakt, ale wszędzie na świecie improwizowali. Jaki jest więc bilans polskiej pandemii?

SZCZEPIONKI

Jako się rzekło powyżej, po pierwsze, nakupiliśmy tego bez sensu i mamy w magazynach ciężkie miliony niezdatnych szczepionek, wiele jeszcze ważnych, ale bez zapotrzebowania, i jeszcze idzie do nas 67 mln zamówionych. I będą szły zgodnie z kontraktem do 2024 r. włącznie. Co mało śmieszne, przestaniemy odbierać zgodnie z kontraktem następne dostawy w roku, kiedy skończą się badania kliniczne wielu wersji szczepionek.

Piszę na okrągło, bo danych nie uświadczysz, kto by się tam chciał chwalić takim blamażem. Pokażmy tyle, co wiemy: do końca 2021 r. mieliśmy zamówionych 85 mln dawek, z czego domówiliśmy w grudniu 2020 r. 25 mln – właściwie nie wiadomo po co. W sumie do marca 2022 r. zamówiliśmy ponad 272 mln dawek, też nie wiadomo po co. Za te, o które walczy Niedzielski, żeby nie przyjechały, trzeba będzie zapłacić 6 mld zł, co daje 89,50 zł za dawkę. Nie wiadomo, ile zalega, ile jest przeterminowanych, i trudno obliczyć całkowity koszt wpadki, ale mówimy o ciężkiej wtopie publicznych pieniędzy. Myślę, że tak z drugie tyle spokojnie leży w magazynach i się przeterminuje. Musi być tego sporo, bo media w tej sprawie nabrały wody w usta.

W dodatku kupiliśmy i wmusiliśmy ludowi nieprzebadany preparat, i to genetyczny. Główny problem ze szczepionką mRNA polega na tym, że kilka lat przed naszą pandemią została ona wywalona do kosza. Współtwórca tej technologii, Robert Malone, od początku odradzał jej użycie, szczególnie wobec dzieci. Nic to nie pomogło. Tak jak w przypadku laureata Nagrody Nobla z medycyny, Kary'ego Mullisa, który stwierdził jeszcze przed pandemią, że jego technologia

**Kupiliśmy
i wmusiliśmy
ludowi nieprzebadany
preparat, i to genetyczny**

PCR nie nadaje się do testów infekcji dróg oddechowych. I co z tego – stała się wkrótce złotym standardem i testy orzekały z dochodzącym do 70 proc. błędem pozytywnych wyników o chorobie, szczególnie u cudu tej pandemii – ludzi bezobjawowych.

Czemu wywalono szczepionki mRNA na śmietnik i nawet nie podawano ich śmiertelnie chorym i zwierzętom? Głównym problemem była biodystrybucja, czyli to, że odwrotnie do standardowych szczepionek ta mRNA nie pozostawała w przedramieniu po ukłuciu, ale jej ślady generowanego przez stransfekowaną komórkę białka kolcowego znajdują się w całym ciele. Organizm rozpoznaje takie białko jako patogen i atakuje różne organy, chcąc bronić się przed obcym. Właściwie to nie wiadomo, po co zrobiono tę innowację – do tej pory wstrzykiwano albo sztuczny wirus, albo osłabionego i organizm reagował immunologicznie. A tu postawiono z wdziękiem, że po co wstrzykiwać jakieś białko kolcowe, skoro można tak genetycznie zmodyfikować komórki, że same je stworzą.

To wszystko prowadzi do tego, że miliony Polaków nie dość, że zaciągnęły dług kwarantannowy na wiele lat, to jeszcze teraz dobijają ich szczepionki o działaniu, którego wciąż się uczymy, a nauka ta jest gorzka. Mamy wysyp jakichś chorób, i to w grupach dotąd nieobecnych – z takimi chorobami jak zapalenie mięśnia sercowego czy zakrzepica. Szczególnie widać to wśród dzieci i zdrowej młodzieży. To będzie dług zdrowotny, za który rachunki będą wystawiane służbie zdrowia jeszcze przez wiele lat. Niestety, trudno policzalne, gdyż – nie wiadomo czemu – nikt w Polsce nie prowadzi badań, jaka jest frakcja w tym nagłym wysypie chorób osób zaszczepionych.

KOSZTY LOCKDOWNÓW

W świetle badań jeszcze sprzed pandemii, a potwierdzonych w czasach zarazy, **19**

zakpił sobie z niego też publicznie. Po pierwsze, takie mamy zapisy w umowie – zaprenumerowaliście szczepionki do 2024 r. i ta sprzedaż została zaliczona do przyszłych zysków koncernu oraz rzutu na wycenę jego akcji. A więc skarczenie się ministra do udziałowców, że kierownictwo nie chce zmniejszyć sobie zysku, jest gadaniem ze ślepym o kolo-rach. I z tego też podśmiewuje się Pfizer w odpowiedzi. Na koniec firma się dziwi, że wyciekają do publiczności szczegóły podobno tajnych negocjacji, co w biznesie nie jest już błędem, ale zbrodnią.

Czemu minister to robi? Ano z dwóch powodów: nakupienie szczepionek bez sensu, straty wielomiliardowe to słaby fakt przed wyborami. W dodatku minister sam kandyduje z Poznania i będzie tę

nie było żadnych dowodów na to, że „d distancing”, a już szczególnie lockdown mają jakieś hamujące działanie na transmisję wirusa. To było wiadomo każdemu, kto podejmował te decyzje. Zamknięcie gospodarki kosztowało nas „helicopter money” w postaci tarcz – co prawda, później bardziej precyzyjnych. Widać jednak po wykresach, że lockdowny nie powodowały obniżenia krzywej zakażeń, wprost przeciwnie. W ramach ich nakładania transmisja wirusa wzrastała.

Ostatnio miałem u pewnego znanego blogera dyskusję na temat pieniędzy na covidowe tarcze. Tak wyszło, że w sumie poszło na to 250 mld zł. No, kupa kasy. Mój interlokutor zapewniał mnie, że wszystko poszło dobrze i że to było dobrze zorganizowane. Ale to nie ma nic do rzeczy. Rząd odrąbał zdrową rękę, a potem najął fachowców do zrobienia kosztownej i niezbyt funkcjonalnej protezy. Tymczasem nie trzeba było ucinąć ręki, bo – wedle badań – nie miało to żadnego sensu. Jesienią w Izraelu przeprowadzono badania wyliczające skuteczność prognozy opłacalności lockdownów i wyszło, że ratowały one 1,5 życia dziennie, jednak koszty lockdownu przynosiły ofiary tego rozwiązania w postaci 30 zgonów dziennie.

Jest taki moment w filmie „Big Short”, kiedy Brad Pitt mówi do gościa, który się cieszy, że obstawiał na giełdzie spadek amerykańskiego PKB i wygrał. „Czy wiesz chłopcze, że spadek o 1 proc. PKB powoduje śmierć 40 tys. Amerykanów?” – mówi Brad Pitt. I tak to się liczy. Wycenia się to nie tylko w formie PKB, lecz także skrócenia lat życia, które np. w pierwszym roku pandemii w Izraelu wyniosły 500 tys. lat – o tyle krócej z powodu lockdownu żyli Izraelczycy, bo sumuje się lata życia poszczególnych członków populacji.

Co prawda, po pierwszej zapaści PKB w roku 2020 gospodarka się odbudowała, ale wielu przedsiębiorcom tarcze nie pomogły. Firmy się zawieszały, zamykały, rezygnowały. Bo nie ma takich tarcz, które by zrównoważyły koszty przedsiębiorstw nic nieprodukujących lub niedostarczających usług i płacąc wielomiesięczne postojowe. Fakt, że to zostało dość dobrze zorganizowane, i tak nie uchronił tysięcy firm przed bankructwem. 250 mld zł pustych pieniędzy

Co prawda, po pierwszej zapaści PKB w roku 2020 gospodarka się odbudowała, ale wielu przedsiębiorcom tarcze nie pomogły. Firmy się zawieszały, zamykały

wpompowane w kieszenie pozwoliło utrzymać wypłacalność i płynność, ale stało się przyczyną nawisu inflacyjnego. W tym względzie finansowo wojna na Ukrainie i zrzućcie na Putina powodów inflacji były swoistym darem niebios. Już przed wojną inflacja mocno drgnęła, teraz płacimy długie covidowe przebranie w putinflację.

ZGONY

No, tu będzie ciężko wyliczyć koszty, chociaż w sprawie reparacji od Niemców udało się jakoś przeliczyć życie milionów Polaków na pieniądze. Zajmijmy się więc liczbami. Mamy ok. 250 tys. ponadnormalnych zgonów z okresu covidowego, co jest rekordem światowym. Z tego góra 10 proc. zmarło na COVID. Najpierw zastrzeżenie – te 10 proc. oznacza, że niekoniecznie zmarli oni na COVID, oznacza tylko, że w chwili śmierci mieli pozytywny test.

Dramatyczny wzrost ponadnormalnych zgonów zaczął się na przełomie października i listopada 2020 r. Przedtem nie było żadnej fali zgonów, ot, była fala chorych na pozytywne testy, głównie bezobjawowych. I tak dojechalśmy do jesieni. Ultrasi mówią, że właśnie zaczęliśmy umierać, gdy rząd poluzował i wszystkich wypuścił. Niesforni Polacy pozakazali się na wakacjach, a więc lockdowny są jak najbardziej konieczne, bo sami widzicie. Ale to nie tak. Gdy Polacy poszli w Polskę w czerwcu, to przy górze 10-dniowej inkubacji wirusa mielilibyśmy już falę (zgonów) w tym samym czerwcu. A fala przyszła dopiero pod koniec września. Powstało pytanie: „Gdzie jest wirus, który śpi?” i to, diabeł, przez trzy miesiące?

W ciągu 30 dni od połowy października do połowy listopada umiera o 40 tys. ludzi więcej niż zwykle. Takie cuda to się dzieją na wojnach albo w czasie jakichś

kłesk, głównie o przyczynach zewnętrznych. I tak było w naszym przypadku. Nagły skok początkujący ponurą serią trzech fal zgonów ponadnormalnych zbiegł się z kilkoma fatalnymi decyzjami. To wtedy wprowadzono ujednolicenie szpitali i przemianowywanie ich na wyłącznie covidowe, co się okazało potworną pomyłką, bo oddziały covidowe ziały pustkami, a poważnie chorzy pacjenci na inne choroby czekali, a czasem i nie doczekiwali, po domach. Potem te jednoimienne oddziały wypełniono covidowym triażem, który zabił tysiące. Polegał on na wydzieleniu dwóch strumieni chorych – tych z negatywnym testem odsyłano na specjalistyczne oddziały, tych z pozytywnym – na covidowe umieralnie. Umieralnie dlatego, że tam nie było specjalistów od innych chorób, tylko ibuprom, drogi remdesivir (kolejny skandal z dopuszczeniem tego środka) i respirator. Nikt na takich oddziałach nie leczył tego, z czym przyszedłeś – wystarczyło, że cię wylosował test, i lądowałeś bez opieki specjalisty. Prosta droga do plastikowego worka i urny.

Kolejna rzecz włączona w III kwartale 2020 r. to teleporady. To też był lejek, zwłaszcza w kontekście rekomendacji konsultantów krajowych dotyczących opieki nad chorymi w COVID z uwzględnieniem teleporad. W punkcie 11. rekomendacji stoi zalecenie, żeby chorym na COVID, którzy są na kwarantannie i są jedynie „zbadani” przez telefon, nie ordynować przez pierwszych 14 dni żadnych antybiotyków. Powtórzmy jeszcze raz – lekarz miał nieosłuchanego pacjenta, być może z bakteryjnym zapaleniem płuc, i nie mógł mu na wszelki wypadek zapisać antybiotyku. Jakby zapalenia nie miał, to zjadłby antybiotyk na próżno, jakby miał i dostał, to przeżyłby. To były maszynki śmierci. Dostawałeś pulsoksymetr o dokładności jarmarcznego testu na alkohol i zazwyczaj jak dzwoniłeś po kosmitów, to lądowałeś na respiratorze o 10-procentowej przeżywalności.

KOSZTY SPOŁECZNE

Zacznijmy od dzieci, bo to teraz wszyscy tacy empatyczni, a jak przychodziło co do czego, to się dzieci pchało na kwarantannę. Byliśmy mistrzami Europy w długości szkolnych lockdownów. Tu się zazwyczaj biadoli nad upadkiem



Minister zdrowia Adam Niedzielski przyjmuje drugą dawkę szczepionki na COVID-19 podczas konferencji na Stadionie Narodowym w Warszawie, lipiec 2021 r.
FOT. TOMASZ GZELL/PAP

edukacji, ale zaraz przechodzi do stanu psychicznego młodzieży, mierzonego głównie próbami samobójczymi czy zdagnozowaną depresją. Tu twarde dane nic nie pokazują, bo wychodzi jak przed pandemią: średnio niewiele ponad 5 tys. prób rocznie, z czego śmierci samobójczych ok. 150, z tendencją wzrostową w ostatnich latach.

Zajmijmy się dorosłymi. Mamy tu kilka spraw. Po pierwsze, dobiecie do dna przedpandemicznego trendu dotyczącego polityki i mediów. Państwo z kręceniem z obostrzeniami i narracją szczepionkową mocno nadszarpnęło swój wizerunek. Tak, wykazało się sprawczością, ale nie tam, gdzie trzeba. Latami budowany pozytywny wizerunek załamał się w kilka dni. Na przykład taki sanepid – rączy w towarzystwie policji w nakładaniu mandatów na przechodniów i przedsiębiorców (wszystkie uchylane), a jak przyszło co do czego, to nawet zatrutego zboża na ukraińskiej granicy nie był w stanie sprawdzić.

Kolejny aspekt medialno-polityczny zawierał się w smutnej konstatacji zawieszenia wojny polsko-polskiej. Cała klasa polityczna (oprócz Konfederacji) stanęła za sanitaryzmem i wyszło, że III RP jeśli stoi na porozumieniu ponad podziałami, to dotyczy ono pozbawienia praw obywateli. Smutne. To samo było z mediami – te przed pandemią różniły się plemiennie, w pandemii zaś

zapisywały się do jednej narracji, tylko się przeliczytowały, kto jest bardziej nieustępliwy co do obostrzeń.

To razem to była gorzka lekcja dla obywateli, którzy zobaczyli, że w sumie w III RP to nie mają nic do gadania, a te wszelkie gwarancje konstytucyjne to sobie mogą wsadzić tam, gdzie ma iść „ruskij korabl”, jak się władza umówi, że tak ma być. Osobne koszty społeczne to upadek grup i zawodów społecznego zaufania. A to one kształtują wzorce społecznych zachowań, są zaczynem elit, sygnałem, że państwo się opiekuje.

Pierwsi to lekarze, i tu jest tragicznie. Przeczogli obywateli. Ja wiem, że jest wiele chlubnych wyjątków, ale znieczulica covidowa to coś, na co żalą się rodziny chorych na testy, którzy się załapali na szpital. W końcu służba zdrowia doszła do absurdu, że abyś się mógł leczyć, musiałbyś być zdrowy. Misja lekarza, jako zawodu z powołania, obdarzonego zaufaniem społecznym, padła. Ponurym symbolem

**Obywatele zobaczyli,
że nie mają nic do gadania,
a te wszelkie gwarancje
konstytucyjne to sobie mogą
wsadzić tam, gdzie ma iść
„ruskij korabl”**

działania służby zdrowia był kij do walenia w parapet przychodni, by zamknięte przed pacjentami pielęgniarki raczyły wystawić głowę do szpary w drzwiach.

Te kręćtwa w sprawie szczepionek, raz tak, raz śmak. Że chronią w całości, potem że w części, ale nie zachorujesz ciężko, potem że jest co prawda wiele ciężkich stanów, ale nie do szpitala, potem tak, są w szpitalu zaszczepieni, ale nie umierają, potem – umierają, ale – jak twierdzi pan doktor Grzesiowski – umierają spełnieni bardziej niż słusznie padłe nieszczepcy, bo odchodzą z poczuciem, że zrobili wszystko – dla siebie i dla innych.

Osobna kategoria to policja. Ta też mozolnie budowała swój wizerunek przez ponad 30 lat i wszystko w piach. Policjanci, żeby nie wiem, jak teraz ocieplali swój wizerunek, są dziś pamiętani z czegoś innego. Z szarpania babć za nieposiadanie maseczki, mandatowania ojców z dziećmi przy piaskownicy, pałowania za byle co i chowania się za filarem, by wyskoczyć z covidowym „a kuku!”. Słabo to poszło i będzie pamiętane. Polacy się podzielili, znowu na dwa ekstrema z milczącą, przeganą większością pośrodku. To tzw. koronarealiści i sanitaryści. Ten podział się też utrwalił, choć to raczej ci pierwsi powiększają swoje szeregi. Ale wiele przyjaźni się w COVID skończyło, wielu sąsiadów pokazało swoją prawdziwą twarz i nie da się tego odzobaczyć.

CENA OSTATECZNA

No i w końcu clou. Mamy policzono pieniądze i życia, wszystko – moim zdaniem – rzucone na wiatr. Ale mamy jeszcze jeden proces, który się zaczął w grudniu 2020 r. i nabiera tempa. Właśnie ONZ i WHO za zgodą członków obu instytucji przygotowuje na 2024 r. zmianę światowego zarządzania pandemią. W myśl tych przepisów na wypadek pandemii – oczywiście ogłoszonej przez WHO – rządy nad krajową służbą zdrowia przejmują WHO. To ona zarządza zamykaniem, otwieraniem, procedurami leczenia i szczepienia. Oj, coś mi się wydaje, że niedługo zatęsknimy za ministrem Niedzielskim. I ta konstatacja jest dla mnie tak obmierzła, że stanowi najlepsze zwieńczenie bilansu naszych „osiągnięć” covidowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Współpraca: Mariusz Jagóra.



Z Anną Marią Siarkowską, parlamentarzystką Suwerennej Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

Niedzielski powinien działać w interesie publicznym

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Zmiana szyldu partii, do której pani należy, to tylko zabieg marketingowy obliczony na premię wyborczą czy zacząć nowego projektu politycznego, powołanego do obrony polskiej suwerenności, która – jak się wydaje – na naszych oczach staje się coraz bardziej iluzoryczna?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Rzeczywiście, na konwencji 3 maja ogłosiliśmy decyzję o zmianie nazwy z „Solidarnej” na „Suwerenną Polskę” po to, żeby podkreślić nasze zdecydowane „nie” względem trendów, które dzisiaj dominują w Unii Europejskiej. Ich celem jest stworzenie z Unii jednego państwa. Mamy dla Polaków bardzo klarowną ofertę – suwerenną Polskę zamiast europejskiego państwa federalnego. Jesteśmy przekonani, że bez suwerenności nie ma ani

wolności, ani dobrobytu. W najbliższych wyborach Polacy zdecydują, czy władza w kraju będzie należeć do nich czy do anonimowych urzędników z Brukseli, którym dyspozycje wydają Niemcy czy Francuzi. Jeśli dziś będziemy biernie przyglądać się, jak ktoś urządza nam Europę, nie pytając nas o zdanie, to znajdziemy się w sytuacji, w której Polska straci suwerenność w kluczowych obszarach, takich jak polityka zagraniczna, obronność, polityka fiskalna czy kultura. Stanie się to, gdy zostaniemy pozbawieni prawa weta. W efekcie kolejne wybory, do których doszłoby za cztery lata, miałyby rangę wyborów samorządowych, a nie parlamentarnych. Te decyzje, które w tej chwili zapadają w Unii Europejskiej, procedowanie zmian art. 48 Traktatów

o Unii Europejskiej, prowadzą wprost do takiej sytuacji.

Czy wobec tak postawionych priorytetów Suwerenna Polska nie znajdzie się na kursie kolizyjnym z PiS? Przecież to premier Morawiecki zgodził się na niektóre decyzje Unii, które dotkliwie uderzyły w naszą suwerenność energetyczną?

To prawda. W wielu kluczowych obszarach nasze stanowisko było inne niż stanowisko premiera Morawieckiego. Różniliśmy się w sprawie podejścia do polityki energetycznej, w kwestiach dotyczących mechanizmu warunkowości, pakietu klimatycznego „Fit for 55”. Mieliśmy różne zdania w sprawie KPO czy odebrania Polsce prawa weta. Myślę, że jest to pytanie do Prawa i Sprawiedliwości, jak ono widzi swoje miejsce, bo jeśli PiS

nadal będzie żeglował w stronę centrum, jeżeli nie będzie potrzebował tej konserwatywnej kotwicy, którą niewątpliwie jest Suwerenna Polska, to może się okazać, że różnice między PiS a opozycją będą zaniżane. Przecież to opozycja ma na swoich sztandarach oddanie władzy Brukseli. Dlatego właśnie Bruksela popiera opozycję. Liczy na to, że Platforma Obywatelska i jej alianci poprą plan stworzenia z Unii jednego europejskiego państwa pod dyktando niemiecko-francuskim. Pojawia się pytanie: Czy takich zmian dla Polski chce również Prawo i Sprawiedliwość? Jeśli nie, to powinno zdecydowanie zawrócić z tego kursu i odrzucić pomysły, które niejednokrotnie sufluje premier Morawiecki. Jesteśmy w kluczowym czasie, w którym takie decyzje będą podejmowane. Dylemat: suwerenność albo dobrobyt jest fałszywy.

Zamach na polską suwerenność podejmuje nie tylko Unia Europejska. W czasie pandemii COVID-19 polski rząd, korzystając z politycznego „porozumienia ponad podziałami”, z którego wyłamały się tylko grupa polityków Zjednoczonej Prawicy z panią na czele i Konfederacja, bezkrytycznie poddał się dyktatowi Światowej Organizacji Zdrowia i presji koncernów farmaceutycznych. Dziś minister Niedzielski pisze utrzymany w błagalnym tonie list otwarty do akcjonariuszy Pfizera, prosząc o wstrzymanie dostaw nikomu niepotrzebnych szczepionek, na które z budżetu poszło już 9 mld zł. Pfizer zbywa go jakąś zdawkową formułką i dalej wpycha nam swój towar. Gdzie tu suwerenność?

Po pierwsze, trzeba mieć świadomość tego, że już na samym początku pandemii, kiedy minister zdrowia decydował się na zakup tak ogromnej liczby szczepionek, wielu lekarzy, dziennikarzy, polityków stawiało pytania, dlaczego kontraktowane są tak ogromne liczby tych preparatów, że przekraczają kilkakrotnie populację Polski. Ewidentnie minister Adam Niedzielski ponosi współodpowiedzialność za te decyzje i nie może teraz wskazywać palcem na amerykański koncern, który działa przede wszystkim w swoim interesie. Przecież to minister Niedzielski został powołany po to, żeby działać w interesie publicznym i dokonywać zamówień w taki sposób, aby były dla tego interesu korzystne. Trudno się dziwić, że koncern farmaceutyczny, który jest firmą prywatną, będzie robił wszystko, żeby zmaksymalizować zyski i by tych pieniędzy, zwłaszcza jeśli po-

Ci, którzy nie mieli racji, dziś prowadzą postępowania wobec uczciwych lekarzy – to karygodne

chodzą one z budżetu państwa, wycisnąć jak najwięcej. Trudno liczyć na to, żeby prywatny koncern kierował się dobrem publicznym, a nie swoim interesem. Takie oczekiwania należy stawiać przed ministrem Niedzielskim.

5 maja WHO odwołała stan pandemii. W Polsce ma się to ostatecznie dokonać 30 czerwca. Czy pani zdaniem jest szansa na rozliczenie nie tylko Niedzielskiego, lecz także wszystkich innych, którzy podejmowali w latach 2020–2022 decyzje tak brzemienne w skutki dla zdrowia publicznego, życia społecznego i gospodarczego? Politycy, którzy jeszcze niedawno chcieli przymusowo wyszczepić wszystkich obywateli, a opomnych karać, teraz tworzą wrażenie, używając języka kibicowskiego: „Polacy, nic się nie stało”. Rzeczywiście nic się nie stało?

Pewną formą rozliczenia będą z pewnością wybory. O inne rozliczenia będzie jednak trudno, bo decyzje, które zapadały w Polsce, były podejmowane globalnie. Polityka realizowana w Polsce w czasie epidemii COVID-19 była prowadzona według wytycznych międzynarodowych. To, co na pewno powinniśmy dzisiaj zrobić, to stanąć w prawdzie i dokonać uczciwego bilansu, kto miał rację. Kto stanął po stronie pacjentów, kto stanął po stronie dobra wspólnego. Taki bilans potrzebny jest po to, żeby nie dopuścić do tego, by taka sytuacja powtórzyła się w przyszłości. Ponadto żeby obronić lekarzy, którzy stanęli po stronie pacjentów, którzy sprzeciwili się zamykaniu szpitali i gabinetów lekarskich czy zmuszaniu ludzi do podejmowania decyzji dotyczących ich stanu zdrowia poprzez środki prawne. Dziś wobec tych lekarzy prowadzone są postępowania dyscyplinarne przed sądami lekarskimi. Te postępowania są prowadzone przez ludzi – nie bójmy się tego powiedzieć – którzy zawiedli, którzy w czasie pandemii nie mieli racji. Dziś ci ludzie chcą zniszczyć lekarzy, którzy stanęli w obronie pacjentów, nie dopuszczając myśli, że stali po złej stronie.

Może to polowanie na uczciwych lekarzy jest tak zaciekle, bo stanowią oni dla lekarskiego mainstreamu wyrzut sumienia z powodu postawy, którą przyjęli jego przedstawiciele w czasie pandemii?

Dokładnie tak. Są wyrzutem sumienia dla środowisk lekarskich skupionych wokół izb lekarskich, które nie stanęły w czasie pandemii po stronie pacjentów, które zgodziły się na zamykanie szpitali i gabinetów lekarskich, które były za wprowadzaniem środków prawnych godzących w prawa i wolności obywatelskie Polaków pod pretekstem ochrony zdrowia publicznego. Ci, którzy nie mieli racji, dziś prowadzą postępowania wobec uczciwych lekarzy – to karygodne. Lekarze, którzy w czasie pandemii mieli odwagę cywilną, żeby zakwestionować narrację suflowaną przez polityków, media i mainstream lekarski, powinni dostać medale, a nie być ciągnięci przed sądy dyscyplinarne.

A kto zapłaci albo przynajmniej przeprosi tych wszystkich, którzy stracili swoich bliskich, bo ci nie mieli dostępu do właściwej opieki medycznej? Czy właścicieli biznesów, które upadły wskutek wprowadzonych niezgodnie z prawem regulacji? Kto odda młodym Polakom dwa lata zatrutej sanitarnym młodości?

To pytanie powinno być zaadresowane do tych wszystkich, którzy takie skandaliczne decyzje podejmowali. Żadne rozporządzenie, które było wydawane w tym okresie, a dotyczyło obostrzeń, nie było rozpatrywane i przyjmowane przez Radę Ministrów. One były podejmowane albo przez ministra zdrowia, albo przez prezesa Rady Ministrów. Wielokrotne interwencje poselskie – których nie podawano do publicznej wiadomości, ale które były podejmowane, także przez posłów współpracujących ze mną w ramach sejmowego Zespołu ds. Sanitaryzmu – kierowane do premiera Morawieckiego czy ministra Niedzielskiego nigdy nie spotkały się z odpowiedzią. Ewidentnie świadczy to o tym, że po tamtej stronie brakowało prawnych i moralnych argumentów. Myślę, że to te osoby powinny w pierwszej kolejności dokonać rozliczenia z decyzji, które były podejmowane w okresie tych kilku fatalnych lat dla polskiej służby zdrowia, gospodarki, dla naszego życia społecznego.



Sprawiedliwość w



Rafał A. Ziemkiewicz

Pogrążamy się w bagnie i bez rozwiązań radykalnych może być tylko gorzej. Co będzie z Polską, kiedy zbuntowani „peosędziowie” zdelegalizują wynik wyborów i zostanie to podchwyczone przez mocarstwa unijne i Brukselę?

Chyba już nikt, włącznie z samymi protagonistami sporów toczonych wokół wymiaru sprawiedliwości i w jego instytucjach, nie jest w stanie odnaleźć sensu w bałaganie, w którym ugrzęzły Trybunał Konstytucyjny i Sąd Najwyższy. W każdym razie dla opinii publicznej sytuacja jest kompletnie niezrozumiała. Lewicowo-liberalna opozycja i jej media przez osiem ostatnich lat usiłowały wpoić społeczeństwu jako

linię konfliktu walkę „niezależnych” sędziów zasiedziało establishmentu (na mocy ustaleń z Magdalenki uczynionego państwem w państwie i cieszącego się przed 2015 r. bezkarnością oraz brakiem odpowiedzialności przed kimkolwiek, nieporównywalnym z żadnym europejskim państwem, może poza Włochami), rzekomo broniących „praworządności”, przeciwko „nominatom PiS”, „neosędziom” i „dublerom” z Trybunału Konstytucyjnego.

Ten drugi miał być jakoby do tego stopnia „sterowany na pilota” przez Jarosława Kaczyńskiego, że TVN i inne opozycyjne media wprost odmawiały mu ustawowej nazwy, używając sztywnego określenia „Trybunał magister Przyłębskiej” (to podkreślanie, że prezes TK nie ma za sobą kariery naukowej, brzmi szczególnie charakterystycznie w stacji, która innego, byłego prezesa TK, magistra Stępnia, uparczywie tytułuje „profesorem” – widać, jak w naszej debacie publicznej tytuł naukowy funkcjonuje jako substytut tytułu szlacheckiego).

Tylko że paraliż Trybunału, który prezes PiS i premier na próżno usiłują zmusić do odrzucenia prezydenckich zastrzeżeń wobec „wynegocjowanej” z Brukselą ustawy o Sądzie Najwyższym, mającej odblokować wypłatę funduszy z KPO, jest skutkiem buntu tych właśnie sędziów, których do Trybunału miano-



pokłócono się o to, który ze sprzecznych ze sobą artykułów niechlujnie napisanej Konstytucji deroguje drugi, czyli który jest ważniejszy. Zbuntowanych pięciu sędziów TK twierdzi, że kadencja Julii Przyłębskiej została określona ustawą, zgodnie z którą już się skończyła, więc już prezesem nie jest i należy wybrać jej następcę. Ona sama i jej zwolennicy odpowiadają na to, że skoro ustawa weszła w życie już po tym, jak prezes objęła funkcję, to zastosowanie mają zasady, które obowiązywały w tamtym momencie – a zgodnie z nimi jej kadencja trwa.

Oczywiście, tak jak w poprzednich wypadkach, cała ta kazuistyka jest tylko pretekstem do skrywania personalno-politycznych pobudek awantury. Właśnie dlatego sędziowscy rokoszanie peowscy nie są w stanie przełknąć żadnego sojuszu z rokoszanami pisowskimi, a opozycja – zając wobec sporu jasnego stanowiska. Skupia się zatem na zajądłym oprotestowywaniu projektu ustawy, którą Jarosław Kaczyński wraz z premierem, z niezrozumiałych przyczyn zafiksowani na doprowadzeniu do wejścia w życie „odblokowującej KPO” ustawy o Sądzie Najwyższym (niezrozumiałych, bo Komisja Europejska i tak już zapowiedziała, że jej wejście w życie do „odblokowania” nie wystarczy), próbują pomóc prezes Przyłębskiej zapanować nad buntom – niestety, metodą „na rympał”. Skoro buntowników jest pięciu, a ustawowe kworum w TK wynosi dwie trzecie plus jeden, czyli 11, to ustawa ma je obniżyć do 9. W ten sposób TK wróciłby do zwyczajów z czasów Andrzeja Rzeplińskiego, który dopóki był prezesem, dopóty prawem kaduka nie wyznaczał do składów i nie dopuszczał do posiedzeń sędziów ogłoszonych „dublerami”.

DUCH MONTY PYTHONA

Słabością tego pomysłu, poza ewidentnym podporządkowaniem stanowienia prawa politycznej doraźności – co już chyba nikogo w Polsce nie razi – i poza możliwością, że rokosz zyska w TK kolejnych zwolenników i trzeba będzie zmniejszać kworum dalej, do ośmiu, siedmiu albo i pięciu sędziów, jest uzależnienie powodzenia całej operacji od zgody prezydenta. A przecież pat w Trybunale tylko dlatego jest dla PiS tak dolegliwy, że to właśnie

prezydent odmówił był podpisania „odblokowującej KPO” ustawy i skierował ją do Trybunału. Gdyby nawet udało się Kaczyńskiemu przepchnąć ustawę „odblokowującą” Trybunał przez Sejm, zanim na jej podstawie Trybunał będzie mógł dokonać oczekiwanego przez rząd odblokowania ustawy „odblokowującej” KPO, prezydent mógłby także tę ustawę, zamiast podpisać, przesłać do Trybunału. A nawet – jeśli chce być konsekwentny – powinien.

Brzmi to wszystko jak skecz Monty Pythona? Jest jeszcze śmieszniej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jak zauważył w swoich mediach społecznościowych sędzia Kamil Zaradkiewicz, skutkiem ewentualnego wejścia w życie narzuconej przez UE ustawy, którą prezydent odesłał do TK i która tam wskutek buntu pięciu przeciwników prezes Przyłębskiej utknęła, byłoby m.in. otwarcie wszystkim sędziom, bez względu gdzie i w jakiej sprawie orzekają, drogi do dowolności bezkarnego uznawania za nieważne ustaw, podległości służbowych, konstytucyjnych organów władzy oraz ich kompetencji: stan anarchii doskonałej, o którym sędziowie rokoszanie marzą już od ośmiu lat, nazywając to prawem do „rozproszonej kontroli konstytucji”. Co się wtedy będzie działo, możemy sobie plastycznie wyobrazić, obserwując, co robią rokoszanie w togach już teraz, nie mając jeszcze do tego żadnego umocowania prawnego, a jedynie przeczucie, że zyskali poparcie Komisji Europejskiej i uchwałą trzech zdominowanych przez „starych sędziów” izb Sądu Najwyższego, zwołanych swego czasu przez ówczesną prezes Gersdorf – całkowicie bezprawną w świetle orzeczeń nie tylko polskiego TK (i to jeszcze z czasów prezesury Marka Safjana), lecz także niedawnych orzeczeń TSUE.

Na przykład sędzia Piotr Gąciarek, jeden z tych liderów rokoszu, którzy szczególnie usilnie potrzebują utrzymania przedpisowskiej wolności od odpowiedzialności dyscyplinarnej (choćby z uwagi na swój udział w ponaddwuletnim przetrzymywaniu w areszcie – pod stałe zmienianymi, pretekstowymi zarzutami – „prywatnego więźnia Donalda Tuska”, kibica Macieja Dobrowolskiego) – po licznych przepychankach udało się go zesłać do wydziału wykonawczego, gdzie kontynuuje swą „walkę

wał PiS. W tej sytuacji chyba powinna opozycja uznać „dublerów” jeśli nie za „obrońców praworządności”, to przynajmniej za osobny rokosz, niezależny od Jarosława Kaczyńskiego.

PRETEKST DO AWANTURY

Tym bardziej że formalna podstawa ich odmowy uznawania popieranej przez Kaczyńskiego Julii Przyłębskiej za prezesa TK jest bardzo podobna do podstaw rokoszu wznieconego przed siedmiu laty przez sędziów związanych z PO. Wtedy – przypomnijmy – w kwestii Trybunału poszło o to, czy pięciu sędziów TK (powołanych rzutem na taśmę przez Sejm PO-PSL, mający prawo wybrać tylko trzech) zostało wybranych jako jedna piątka czy każdy z osobna i w związku z tym, czy następny Sejm może konwalidować (czyli wybrać na nowo) znowu pięciu czy tylko dwóch. W kwestii sądów zaś

o praworządność”, wstrzymując taśmowo wykonywanie wyroków, czyli de facto uniewinniając przestępców, w których skazaniu dopatrzył się na jakimś etapie udziału „neosędziów”. Pozwalał w ten sposób na złość PiS sprawców nawet najgrubszych zbrodni, z mordercami włącznie. I w ogarniającym sądy chaosie nikt mu nic nie może zrobić. Prezes warszawskiego sądu okręgowego wprowadził zakazała właśnie Gąciarkowi orzekania przynajmniej o sprawach karnych (po co w takim razie w ogóle cały XV Wydział Wykonywania Orzeczeń?), ale nie wydaje się, by determinacja „sędziego niezłomnego” osłabła.

Inny „niezłomny” – sędzia Prusinowski z kompletnie już sparaliżowanego wojną „peosoędziów” z „neosędziami” Sądu Najwyższego – wstrząsnął ostatnio wymiarem sprawiedliwości, uznając (siedmioosobowym składem przy trzech zdaniach odrębnych), że sąd odwoławczy w składzie jednoosobowym „nie jest sądem ustanowionym ustawą w rozumieniu art. 6 ust. 1 Europejskiej konwencji praw człowieka”. Skutkiem tego orzeczenia (notabene zainspirowanego sprawą o zapłatę nadgodzin 1,8 tys. zł gdzieś w Katowicach) może być zakwestionowanie całego sporego segmentu wydanych w ostatnich latach wyroków, zwłaszcza z czasów pandemii, a nawet – jeśli na zasadzie jakiejś milczącej zgody przyjęta zostanie interpretacja, że orzeczenie to wyroków już wydanych nie będzie dotyczyć – konieczność wyznaczania składów wieloosobowych do każdej, najbardziej nawet błahszej sprawy musi i tak już przeciążone i „robiące bokami” sądy dobić.

Inna sprawa, czy cokolwiek może im jeszcze zaszkodzić w obliczu chaosu wzajemnego poddawania się przez sędziów „testom niezależności”, jaki zafundował nam prezydent swoją ustawą, która też miała „odblokować KPO” i przy której – jak sam otwarcie przyznał – został przez przewodniczącą von der Leyen okłamany. Jak już to kiedyś opisywaliśmy, w sytuacji, gdy każdy sędzia może podważyć status innego sędziego i trzeba wtedy do „wykonania testu niezależności” siedmiu sędziów w pierwszej instancji i dziewięciu w drugiej, przy czym każdy z nich również może zażądać testowania każdego innego – a sędziów mamy tylko 10 tys. – nieba-

wem wszyscy będą musieli zawiesić orzekanie, zajęci wzajemnym testowaniem.

WSPÓLNA WINA

Perspektywa kompletnej anarchii i paraliżu wymiaru sprawiedliwości, a więc i państwa, jak dotąd nie skłania nikogo do refleksji, a tylko do agregowania wzajemnych oskarżeń. Opozycja miota gromy na „łamanie praworządności” przez PiS, władza na jawne już i bezczelne łamanie prawa przez „kastę”, w obozie rządzącym „ziobryści” zrzucają winę na prezydenckie weta i uległość premiera wobec Brukseli, a ich frakcyjni przeciwnicy przypisują całą odpowiedzialność za katastrofę nieudolności ministra sprawiedliwości – po staropolsku: „ksiądz wini Pana, Pan księdza...”. A prawda jest taka, że zawinili wszyscy: partyjniactwem, pieniactwem, krótkowzrocznością i kompletną pogardą dla wspólnego dobra.

Ewentualne rozwiązania radykalne, poza wszystkim, wymagają odwagi pogodzenia się z tym, że żadnych funduszy – ani z KPO, ani strukturalnych – Polska nie dostanie

Zawiniły PO i PSL, które bezprawnie próbowały wcisnąć dwóch dodatkowych sędziów do TK, by po spodziewanej wyborczej przegranej unieważnić PiS rządzenie i raz jeszcze doprowadzić chaosem i histerią do przyspieszonych wyborów, jak w 2007 r. Zawinił Jarosław Kaczyński, nakazując z godziny na godzinę konwulsię i ponowny wybór pięciu sędziów, by przeczołgać Andrzeja Dudę, zmusić go do przyjmowania od nich po nocy ślubowań i tym samym zdusić w zaraniu próby wybicia się na polityczną samodzielność (przypomnijmy, że cała akcja uruchomiona została w dniu, kiedy prezydent wyjechał z zagraniczną wizytą, zapowiedziawszy, że zaraz po powrocie wystąpi osobiście z inicjatywą kompromisowego rozwiązania sporu o nielegalnie wybranych w poprzedniej kadencji członków Trybunału). Zawinili mogołowie prawniczego establish-

mentu, od pierwszej chwili kierujący się zasadą, że za nic się nie pogodzą z utratą pomagdałkowego korporacyjnego bajlando i prędzej wysadzą całe sądownictwo wraz z państwem w powietrze (czego już są bliscy), niż pogodzą się z narzuceniem im odpowiedzialności dyscyplinarnej i odebraniem prawa wyłącznego decydowania, kto może zostać dopuszczony do zawodu.

Zawiniły i głupota rządzących, którzy nie chcieli wysilić się na prawdziwą, systemową reformę, wierząc, że zmuszą wrogie sobie środowisko do poddania się ręcznemu sterowaniu, i głupota opozycji, która zablokowała wszystkie możliwości znalezienia rozwiązania i na każdym etapie dążyła do rozjutrzenia sporu i eskalacji wojny, wierząc, że dzięki konsekwentnemu „im gorzej, tym lepiej” wyprowadzi na ulice oburzone tłumy i ściągając w sukurs prawniczymi rokoszowi Unię Europejską, stłumi ten swoisty „bunt chłopski”, którym było dla elit III RP wymówienie im posłuchu przez „hołotę kupioną za pińśet plus”. Zawinił ogólny brak instynktu państwowe- go, który sprawił, że po raz kolejny w naszej historii anarchię i skłócenie Polaków obce państwa wykorzystują do narzucenia nam swej zwierzchności i przejęcia naszych zasobów. Bagno, w które wpełchnięto wspólnymi siłami nasz wymiar sprawiedliwości (a proszę sobie wyobrazić tę falę zemsty i rozliczeń, do których dojść może po ewentualnej zmianie władzy), boleśnie kontrastuje z sytuacją na Węgrzech, gdzie właśnie Viktor Orbán, przyciśnięty katastrofą finansów państwa, również skapitulował w sprawie sądownictwa przed UE – ale w jakże inny sposób niż nasi rządzący, zadbawszy przynajmniej o tyle, by ustępstwa nie doprowadziły do chaosu w państwie i rozpadu jego funkcji.

Pogrążamy się w bagnie i bez rozwiązań radykalnych może być tylko gorzej. Co będzie z Polską, kiedy zbuntowani „peosędziowie” zdelegalizują wynik wyborów i zostanie to podchwyczone przez mocarstwa unijne i Brukselę? Oczywiście ewentualne rozwiązanie radykalne, poza wszystkim, wymagają odwagi pogodzenia się z tym, że żadnych funduszy – ani z KPO, ani strukturalnych – Polska nie dostanie. Ale przecież i tak już jest przesądzone, że nie dostanie, tylko klasa polityczna z jakiegoś powodu nie chce tego przyjąć do wiadomości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Posiedzenie Klubu Parlamentarnego KO w ramach akcji #TuJestPrzyszłość, Lublin 18 kwietnia 2023 r.
FOT. JACEK BODZAK/REPORTER

Jak nie denerwować wujka Donalda?



Piotr Semka

Obecne kłopoty lidera PO to efekt zbyt hojnego kapitału zaufania liberalnych mediów, który Tusk otrzymał po swoim powrocie do kraju w czerwcu 2021 r. Tusk ten kapitał podległości ze strony publicystów wziął jak coś mu należnego i uznał, że nie musi się już życzliwym sobie mediom z niczego tłumaczyć

Tusk z mniejszym poziomem zaufania niż Kaczyński. Ten wynik rankingu zaufania opracowanego przez IBRiS dla Onetu obiegl czołówki mediów. Na te kłopoty wizerunkowe nakłada się jeszcze niekorzystne wrażenie związane z odejściem z partii posła Bogusława Sonika. Jak na te wszystkie niekorzystne sygnały reagują media życzliwie kibicujące kampanii PO?

SZEPTY I KRZYKI

Bardzo konsekwentnie „Gazeta Wyborcza” kontynuuje cykl pt. „Oburzeni czytelnicy mówią, co myślą o liderach opozycji”. Chodzi oczywiście o Szymona Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza... Wydawało się, że wcześniejsza kampania przeciwko Hołowni, zakończo-

na notabene przeprosinami redaktorów „GW”, nauczyła czegoś redakcję z ulicy Czerskiej. A jednak siarczyste manifesty, w których „zwykli wyborcy” opozycji wygarniają wszystko prosto z mostu, mają się na łamach „GW” całkiem nieźle.

Dobrym przykładem tego nurtu jest list otwarty mediewisty prof. Przemysława Urbańczyka do „strojących fochy liderów opozycji”. Ten list to faktycznie tyrała wyzwick udekorowanych rozmaitymi insynuacjami. „Jesteście żałośni w swojej urażonej dumie drugorzędnych polityków, którzy się dąsają, bo nie dostali zaproszeń na demonstrację 4 czerwca wykaligrafowanych ręcznie na czerpanym papierze i dołączonych do wielkich bukietów róż. Panie Biedroń, panie Hołownia, panie Kosiniak-

■ -Kamysz, panie Zandberg (kolejność alfabetyczna) i wszyscy pozostali pożałujcie Boże opozycjoniści. Od kilku dni z rosnącym obrzydzeniem oglądam Was i słucham, jak wspinać się na szczyty pustej retoryki, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie weźmiecie udziału w rocznicowej demonstracji zwoływanej na 4 czerwca. Jesteście dobrze ubrani, wiecie, jak zachowywać się przed mikrofonem i kamerą; potraficie długo utrzymać na twarzach przylepione uprzejmie uśmiechy; macie gęby pełne pseudo-patriotycznych frazesów. A wszystko to służy wyłącznie temu, żeby pokrętnie dać wyraz swojej niechęci do zachowań wspólnotowych [...]. Chodzi wam wyłącznie o władzę i forsy! Boicie się, że może wasi mityczni wyborcy w postaci jakiegoś Mariusza i Beaty przestaną was rozpoznawać i pożałują wam swojego głosu, co grozi niewątpliwie do następnego Sejmu. A przecież nic nie potraficie poza uprawianiem zaściankowej polityczki. Na zwykłym rynku pracy nigdy nie zarobicie takich jak tam pieniędzy. Nie macie bowiem nic do zaoferowania temu rynkowi, na którym trzeba wykazać się czymś więcej niż pustą elokwencją”.

Na całym świecie zdarzają się profesorem, profesjonalistom w swoich dziedzinach, którzy uważają, że z racji swego naukowego tytułu mogą wypowiadać się efektownie lub niegrzecznie. Dokładnie do tej grupy należy prof. Urbańczyk, który, owszem, pisuje ciekawe teksty na temat państwa Polan, Mieszka czy Bolesława Chrobrego, ale w dziedzinie emocji politycznych i wiedzy o politycznych uwarunkowaniach nie różni się niczym od wielu zwykłych wyborców.

Ale to nie maniery prof. Urbańczyka są istotne. O wiele ważniejsze jest to, że „Gazeta Wyborcza” decyduje się publikować taki profesorski zestaw emocjonalnych wyzwisk i – co więcej – uważa, że może to być jakiś element nacisku na liderów PSL czy Polski 2050. Zastanawiające jest to, dlaczego „Wyborcza” powtarza wciąż taktykę, którą można nazwać „metodą na huki”, skoro nie okazała ona żadnej skuteczności między jesienią i wiosną, dlaczego akurat głos prof. Urbańczyka miałby wstrząsnąć partnerami politycznymi Donalda Tuska.

O wiele spokojniejszy ton zaprezentowała niedawno Dominika Wielowieyska, która postawiła raczej na delikatną

reprimendę. Autorka wzięła na warsztat dość chłodną wypowiedź byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego. Była głowa państwa oświadczyła, że raczej nie weźmie udziału w marszu 4 czerwca, na który zaprasza Tusk. „Ubolewam nad tym, że piękna rocznica pokonania komunizmu przy użyciu kartki wyborczej staje się źródłem rywalizacji, a nie sygnałem świadczącym o sile wspólnoty demokratycznej w naszym kraju. Chyba nie pomyślano w porę, jak uczcić wspólną inicjatywę” – powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Wprost”. Hołownia za to, że nie pali się do udziału w marszu, został opatrzone łatką polityka „rozgoryczonego tym, że jego notowania w sondażach poszły w kierunku 10 proc., a nie 20 proc.”.

Co na to radzi pani Dominika? Liderzy opozycji otrzymują pouczenie: „Trzeba brać rzeczywistość taką, jaka jest”. I dalej: „Ktokolwiek byłby liderem najsilniejszej partii, powinien zostać uznany za kandydata na premiera przez resztę liderów”, a „opozycja nie może się na siebie obrażać, bo to osłabia cały obóz”.

„Gazeta Wyborcza” decyduje się publikować profesorski zestaw emocjonalnych wyzwisk i uważa, że może to być jakiś element nacisku na liderów PSL czy Polski 2050

Kolejnym chłopcem do obsztorcowania jest w tekście Wielowieyskiej Adrian Zandberg. Jak pisze Wielowieyska: „Wizja, że opozycja zdobywa władzę, ale zaczyna się kłócić o to, jak ma wyglądać ekipa rządząca, jest czymś bardzo demobilizującym wyborców”. „Tymczasem czytamy – pisze Wielowieyska – wywiad Adriana Zandberga w Wirtualnej Polsce. – Zamiast rozmawiać o sytuacji pracowników, kosztach życia i programie, opozycja zajmowała się samą sobą. Skończmy z tym wreszcie – apeluje. Po czym krytykuje PO, a więc robi to właśnie, co sam odradza innym. Zresztą politycy Razem w tym celują, bo PO nie znoś. Posłanka Paulina Matysiak powiedziała w Polsat

News, że z tego, co jej się wydaje, to Tusk nie będzie premierem”. Wielowieyska komentuje: „To bardzo groźny sygnał”. I dalej: „Partia Razem mogłaby sobie odpuścić ataki, tym bardziej że nikt ich już nie namawia na wspólną listę. [...] Te wszystkie wydarzenia i wypowiedzi bardzo zniechęcają wyborców niezdecydowanych, jeśli atmosfera w koalicji się nie zmieni, wyniki wyborów dla opozycji muszą być marne. To ostatni dzwonek, by zmienić retorykę”.

I wreszcie trzeci głos, opinia prof. Janusza Majcherka. Profesor filozofii i socjolog oburza się na łamach „Gazety Wyborczej” na lansowaną przez koalicję Polska 2050-PSL koncepcję „trzeciej drogi”. Majcherek pyta: „Trzecia droga może dotyczyć programu społeczno-gospodarczego, ale jeśli tak, to przynajmniej jest to dla mnie dużą zagadką. Czy chodzi o budowę czegoś między kapitalizmem a socjalizmem? [...] Powtarzanie komunałów o zakończeniu walki PO z PiS oraz PiS z PO to już zdarta płyta. Wiele osób próbowało coś na tym wygrać i wiele się sparzyło, chociażby z tego powodu, że istotą nie jest spór między tymi dwiema partiami, ale spór o to, jakim Polska ma być krajem według przeciwnych programów tych ugrupowań”.

Co łączy wszystkie te trzy reprimendy? Ich autorzy nie wspominają ani słowem, czy aby głównym czynnikiem zamieszania na opozycji nie jest polityka Donalda Tuska? Profesor Urbańczyk nie wyjaśnia, dlaczego lider PO nie mógł po prostu wykonać kilku telefonów, za pomocą których przed ogłoszeniem marszu 4 czerwca mógłby zaprosić kolegów z opozycji na wspólną paradę ulicami Warszawy. Nic w tym stylu. Urbańczyk woli silić się na złośliwość, że Hołownia czy Kosiniak-Kamysz bczą się, bo nie dostali zaproszenia na czerpanym papierze dołączonych do bukietów kwiatów. Metoda sprowadzenia wszystkiego do absurdu poprzez przesadę jest może efektowna w druku, ale świadczy o słabej znajomości reguł polityki.

W podobny sposób Dominika Wielowieyska unika odpowiedzi na pytanie, co zrobił Tusk w ciągu ostatnich dwóch lat, aby przyciągnąć do siebie Bronisława Komorowskiego czy Adriana Zandberga. Z kolei Janusz Majcherek zżyma się na hasło „trzeciej drogi”, najwyraźniej nie

rozumiejąc, że skoro PSL i ruch Hołowni kandydują osobno od KO, to muszą wystąpić z jakąś formułą, która odróżniałaby ich od głównej siły opozycji.

O DONALDZIE CISZA

Ale rzeczywistość skrzeczy. I nawet najbardziej bojowi sojusznicy opozycji wśród liberalno-lewicowych publicystów zauważają, że kampania PO drepcze w miejscu. Oto Agnieszka Kublik z „Gazety Wyborczej” dramatycznie pyta: „Jak nazwać to, że PO nie chce skorzystać z darmowych rad socjologów, marketngowców, speców od social mediów?”. I dalej: „Brak nadziei na odsunięcie Kaczyńskiego od władzy po dwóch tragicznych kadencjach to skutek braku umiejętności walki o wyborców opozycji. Bo co dziś elektorat Anty-PiS dostaje od swoich liderów? Naprawdę wiele złych wiadomości, co tam złych, fatalnych wprost. Za wiele, by nie dać chęci machnięcia ręką na cały ten zgłęb partyjnych awantur, czyli nie angażować się na żadnym etapie – od chodzenia na wiece, przez pracę w kampanii, aż do wrzucenia karty do urny. [...] Historyczna chwila, bo to precedens. Po 1989 r. żadna ekipa tak długo nie utrzymała się u władzy. I historyczna porażka, bo demokratyczna liberalna większość nadal będzie znosić kajdany nacjonalistycznych katolików, którzy chcą nazywać siebie konserwatystami”.

Skoro polityka PO jest tak fatalna, to może autorka powinna zapytać, czy nie odpowiada za to przewodniczący tej partii? Owszem, krytyka w tekście Agnieszki Kublik się pojawia, ale jest bardzo dworska i stonowana. Kublik pisze: „Tusk ma niewątpliwie talent wiecowy, ale organizacyjny już nie. Bo choć przemawia charyzmatycznie na spotkaniach z wyborcami, choć żadnych pytań się nie boi, to potem wyjeżdża i pozostawia po sobie pustkę. Ci ludzie zachęceni do walki o Polskę bez Kaczyńskiego nie mają jak, gdzie i komu swojej energii przekazać. Partia nie jest zainteresowana, by ten zapal wykorzystać – skrzyknąć kluby o chwytliwej nazwie, np. PbK – jak Polska bez Kaczyńskiego, zrobić w nich spotkania, zaprosić do rozwieszania billboardów, chodzenia z ulotkami [...]. Tyle wielkich rzeczy w małych miastach można robić, jest tylu chętnych, ale musi być ktoś, kto to zaplanuje i poprowadzi. KO ma

Na stworzenie jakiegoś nowego kolektywnego kierownictwa opozycji na czas wyborów jest już za późno

126 posłów. Ilu z nich skrzykuje w swoich okręgach wolontariuszy gotowych już teraz pracować przy kampanii?”.

Czytam tekst Agnieszki Kublik i przecieram oczy ze zdumienia. Tusk ma talent wiecowy, ale organizacyjny już nie? To czyja to wina? Najślynniejszy mieszkaniowiec Sopotu przecież po to wziął pełną władzę w swojej partii, aby na nowo wyznaczyć swoich współpracowników. To Tusk mianował Marcina Kierwińskiego sekretarzem generalnym PO. Jeśli w opinii pani Kublik partia nie jest zainteresowana, by wykorzystać zapal ludzi zachęconych „do walki o Polskę bez Kaczyńskiego”, to winę za to ponosi aparatczyk mianowany przez Tuska. A jeśli się nie sprawdza, to znaczy, że Tusk trzyma go mimo jego indolencji. A skąd teza, że nie ma miejsc spotkań dla antypisowców? Przecież temu miały służyć Kluby Obywatelskie, na które przyjeżdżali z opozycyjnymi wykładami Rafał Trzaskowski, Tomasz Siemoniak czy ks. Kazimierz Sowa? Kto jest temu winien, że kluby przywydły?

Znacznie bardziej bliższa realiom jest inna publicystka życzliwa Platformie – Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin z „Kultury Liberalnej”. W swojej analizie polityki wiodącej partii opozycji nie udaje już, że można pisać o słabościach PO bez odniesienia się do postaci jej lidera. Ale też woli raczej zadawać pytania niż stawiać nieprzyjemne tezy. „Czy Tusk umie jeszcze rozbudzać emocje?” – pyta autorka. I w kontekście wezwań do demonstracji 4 czerwca pisze: „Tusk zwraca się do ludzi, którzy umieją wypełniać ulice i mają do tego zapal. Szczepnie zależy im na końcu rządów PiS, które symbolizują dla nich wszystko, co najgorsze – PRL, prawicowy rząd Olszewskiego stawiany w kontrze do ich kamienia węgielnego z 1989 r. oraz zamach na praworządność i demokrację. Czy to wystarczająco liczna grupa?” – pyta. I odpowiada: „To może być za mało, już nawet nie do tego, żeby

wyciągnąć młodych na marsz w czerwcu, ale i do lokali wyborczych w październiku czy listopadzie. Kłopot z tą świetną symboliką dającą nadzieję na wielki marsz jest taki, że zarówno wybory z 1989 r., jak i demonstracje KOD nie wywołują emocji w młodym pokoleniu. [...] Czy Tusk ma dla nich jakieś emocje?” – ponownie pyta Skrzydłowska-Kalukin.

ESPRIT D'ESCALIER

To francuskie powiedzenie oznacza spóźnioną refleksję, która przychodzi do głowy, gdy jest już po wszystkim. Gdy czyta wywody autorek „Gazety Wyborczej” czy „Kultury Liberalnej” na temat słabości Platformy, przychodzi do głowy myśl, że to spóźnione obserwacje. Obecne kłopoty lidera PO to efekt zbyt hojnego kapitału zaufania liberalnych mediów, który Tusk otrzymał po swoim powrocie do kraju w czerwcu 2021 r. Gdyby wówczas zamiast strzelistych aktów wierności w stylu „wodzu, prowadź!” publicyści „GW” czy „Newsweeka” wyznaczyli Tusкови termin roku na wykazanie się, być może sytuacja byłaby inna. Wtedy już w lipcu 2022 r. można by uznać, że ambitny gdańszczanin nie wyciągnął Platformy na obiecywane 30 proc. i lepiej skłonić liderów opozycji do stworzenia w miarę partnerskiej koalicji bez żadnego Donalda-Dominatora.

Tusk ten kapitał podległości ze strony publicystów wziął jak coś mu należącego i uznał, że nie musi się już życzliwym sobie mediom z niczego tłumaczyć. Oczywiście w wypadku obozu Zjednoczonej Prawicy Kaczyński też nie ma zbytniej ochoty do tłumaczenia się ze swoich niefortunnych ruchów, ale tutaj przynajmniej potrafił parę razy się wycofać. Tak było w wypadku „piątki dla zwierząt” czy reakcji na kłopoty, które na polskich rolników ściągnął napływ ukraińskiego zboża.

Tusk z niczego się nie wycofuje i żadnych rad od nikogo nie potrzebuje. A na stworzenie jakiegoś nowego kolektywnego kierownictwa opozycji na czas wyborów jest już po prostu za późno. Lider PO jest jak elokwentny trener, który obiecywał drużynie same sukcesy, ale który nie potrafił zmusić jej do zdobywania goli. Bynajmniej niewrogi Platformie prof. Andrzej Dudek wieszczę dziś: „Pod wodzą Tuska PO nie będzie miała większego poparcia niż obecnie”.



Zuzanna Dąbrowska

Wulgaryzmy i agresywne zachowanie – z tym kojarzy się „Babcia Kasia”, czyli Katarzyna Augustynek. Kim jest niedoszła Warszawianka Roku, prowokatorka, która groziła Jarosławowi Kaczyńskiemu, że zostanie „za....ny”?

W niedzielę 16 kwietnia odbywały się obchody 13. rocznicy katastrofy smoleńskiej. Politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele składali tego dnia wieńce przy Pomniku Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. przy placu Piłsudskiego w Warszawie. Na nagraniu, które trafiło do sieci, widać Katarzynę Augustynek. W towarzystwie starszego mężczyzny próbowała przeszkodzić w krótkiej uroczystości. „Babcia Kasia” stoi na ławce i wykrzykuje – najpierw: „Gdzie jest wrak?”, a następnie: „Jarek, za....my cię niedługo!”. Kompan Augustynek jest wyraźnie rozbawiony tym agresywnym okrzykiem, będącym właściwie groźbą karalną. Wszystko działo się tuż przy policjantach, którzy ochraniaли wydarzenie na placu.

Co prawda, przez kilka dni twitterowa „opinia publiczna” wyrażała oburzenie zachowaniem emerytowanej lektorki języków angielskiego i hiszpańskiego, jednak po kilku dniach sprawa przycichła. Być może dlatego, że Augustynek przyzwyczaiła już do tego typu zachowań. W lutym 2021 r., podczas protestu zwolenników aborcji przed siedzibą TVP Info na placu Powstańców Warszawy, tak obrażała policjantów pilnujących porządku: „Jesteście za....nym g....nem, niczym poza tym”. Następnie zwróciła się bezpośrednio do policjantki. – Nie, gorzej. Stara k..wo – wykrzykiwała pełnym wściekłości głosem.

POLSKIE BABCIE

Skąd wzięła się „Babcia Kasia”? Udział w ulicznych protestach, rzecz jasna antypisowskich, bierze już od 2015 r. Począt-



Na początku kwietnia sąd skazał Katarzynę Augustynek na prace społeczne

FOT. WOJTEK JARGILO/PAP

Babcia Zadymia

kowo była kojarzona z inicjatywą Polskie Babcie.

„Polskie Babcie są aktywistkami, ale również artystkami, przedsiębiorczyniami i troskliwymi paniami domu. Co różni je od typowej babci? Niesamowita energia i chęć zmieniania świata na lepsze! W swoich protestach, walkach i transparentach dostrzegają szansę na lepsze jutro. Walczą nie dla siebie, ale dla młodego pokolenia, które dopiero wchodzi w dorosłość. Poznajcie Polskie Babcie i zobaczcie, jak można żyć na pełnej petardzie” – tak działalność emerytek aktywistek opisywał portal Kobieta.pl.

Seniorki protestowały najpierw w Warszawie (później swoją działalność rozszerzyły m.in. o Kraków), wobec wszystkiego, co kojarzy się z PiS (są to niekiedy bardzo daleko idące skojarzenia) – a więc przeciw reformie sądów, TVP, rzekomej faszyzacji Polski. – Początkowo wspierałyśmy protesty organizowane przez inne grupy, ale wraz z eskalacją naszej niezgody na dewastację kraju powiedziałyśmy STOP: nie, to nie może się tak dziać, musimy stworzyć własny ruch, w ramach którego będziemy protestować pod własną banderą. Jedna z nas zaproponowała: Słuchajcie, to może stworzymy ruch Polskie Babcie.

Naszym naczelnym celem nie było to, co wykrzykiwali na nas na ulicach, że my walczymy o coś dla siebie, bo my już nie mamy o co walczyć, jesteście emerytkami. My możemy walczyć jedynie o przyszłość innych – wyjaśniała jedna z działaczek, Iwonna Kowalska.

Panie od kilku lat spotykają się co tydzień na rondzie Charles'a de Gaulle'a w centrum stolicy. W ubiegłym tygodniu ich manifestacja odbyła się pod hasłem „Postulat jest jeden i musi być zrozumiały nawet dla PiS”. Był to „protest przeciwko (nie) rządowi PiS”. Rzecz jasna aktywistki nawołują do udziału w zapowiedzianej przez Donalda Tuska na 4 czerwca wielkiej manifestacji opozycji.

„BABCIA” BEZ WNUKÓW

O ile Katarzyna Augustynek nadal wspiera akcje, w których biorą udział Polskie Babce, o tyle stała się bezsprzecznie najbardziej rozpoznawalną z nich. Co ciekawe, sama nie ma wnuków. – Dla mnie określenie „babć” dla naszej grupy kojarzyło się przede wszystkim z wiedzą, doświadczeniem, umiejętnością analizy sytuacji i przeważnie dobrych kontaktów z młodymi – przyznała w internetowym programie „Mistrzowie drugiego planu”. Wskazała, że boli ją argument krytyków, którzy zamiast protestów polecają jej zajęcie się wnukami. – Odsyłanie do wnuków osoby, która chciała mieć dużą rodzinę, a jest sama na świecie, jest bardzo bolesne. Dopóki nikt mi tego nie uświadamiał, dopóty to nie było istotne. Ja po prostu żyłam innymi sprawami. Miałam życie urządzone pod innym względem, nie rodzinnym – opowiada. – Nie mam dalszej rodziny. Wszyscy moi leżą na Powązkach. Jest pewien odłam, gałązka rodziny, ale nie utrzymujemy kontaktów. Oni ze mną nie utrzymują kontaktów – wskazała Augustynek.

Z kolei w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” mówiła: „Moi jedyni bliscy to przyjaciele i uliczni znajomi. Nie mam rodziny. Od 11 lat nie mam już nikogo, ostatni członek mojej rodziny zmarł w 2009 r.”.

Można wysnuć wniosek, że Augustynek „podpięła” się pod ruch Polskich Babć tylko po to, aby nieco łagodzić swój wizerunek. Dla większości Polek, szczególnie tych mniej zorientowanych, jest po prostu babcią, która została doprowadzona przez „PiS-owskie

reżim” na skraj wytrzymałości i dlatego należy zrozumieć jej wściekłość. Ten wizerunek utrwalają lewicowo-liberalne media. I tak np. serwis OKO.press opublikował wywiad z Katarzyną Augustynek właśnie w Dniu Babci. „W pewnym sensie Pani jako Babcia Kasia ma ogromnie dużo wnuków” – oto jedno ze stwierdzeń dziennikarza. Dalej Piotr Pacewicz, bardziej stwierdzając niż pytając, mówi: „Policja stosuje wobec Pani przemoc, czasem to robi wrażenie, jakby na Panią polowali”.

„Babcia Kasia” jest ucieleśnieniem postawy, którą w polskich realiach społeczno-politycznych określa się mianem „totalnej”. Opowiedziała, że w połowie października 2020 r. spotkała Jarosława Kaczyńskiego przed kościołem Świętego Krzyża. Wykrzyczała, że polityk zostanie osądzony. Pytana przez media, czy zamiast atakować prezesa PiS słownie, nie lepiej byłoby zaproponować mu spotkanie, stanowczo się sprzeciwiła. – Z bandytą nie utrzymuję kontaktów towarzyskich. [...] Taką, jaką nienawiść widziałam w jego oczach... To jest po prostu bandyta, który rozszarpał moją ojczyznę na strzępy. Nie wchodzi w konszachty z takimi „niełudźmi” – odparła z oburzeniem.

To, jak podchodzi Augustynek do osób, które uważa za „niełudzi”, jest skandaliczne. „Niełudźmi” są nie tylko politycy partii rządzącej, lecz także funkcjonariusze policji. Aktywistka niejednokrotnie atakowała policjantów, co doprowadziło do kilkukrotnych skazań. Tylko w samym 2021 r. skierowano pięć aktów oskarżenia i sześć wniosków o ukaranie Katarzyny Augustynek. „Babci Kasia” postawiono zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej, a także znieważenia policjantów. Miało to miejsce m.in. 10 sierpnia („gryzła zębami mały palec u prawej ręki” funkcjonariusza), 10 września („złapała oburącz za prawą rękę policjanta i ugryzła go w przedramię”), 10 października 2021 r. („ciągnęła za mundur i kopała po nogach” funkcjonariusza; „uderzyła kilkukrotnie drzewcem z flagą oraz znieważała publicznie” policjantkę) oraz 11 listopada.

Na początku kwietnia wydano wyrok nakazowy, zgodnie z którym aktywistka otrzymała karę łączną roku i ośmiu miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania w tym czasie

nieodpłatnej kontrolowanej pracy na cele społeczne w wymiarze 20 godzin. Siedmiorgo funkcjonariuszy, których zaatakowała, ma otrzymać od niej po 800 zł nawiazki.

Nie zawsze jednak sądy stają po stronie krzywdzonych przez agresywną seniorkę. W lutym Sąd Okręgowy w Warszawie prawomocnie uniewinnił „Babcię Kasię” od zarzutów naruszenia nietykalności funkcjonariuszy policji z dnia 10 listopada 2020 r.

„IKONA” W KONKURSIE

Agresywne zachowania Augustynek nie przeszkadzają władzom Warszawy. W 2021 r. aktywistka była jedną z kandydatek do tytułu Warszawianki Roku. „Zaangażowane, mądre, empatyczne. Działające na rzecz kobiet, praw człowieka, społeczeństwa obywatelskiego. Na rzecz Warszawy. Nasze autorytety i nasza дума. Poznajcie wyjątkowe kobiety nominowane do tegorocznej nagrody Warszawianka Roku i zgłoszycie” – apelował prezydent stolicy i wiceszef PO Rafał Trzaskowski, ogłaszając nominacje.

Na stronie warszawskiego ratusza o „Babci Kasi” można było przeczytać, że „jest ikoną protestów ulicznych w Warszawie. Zaangażowana w walkę o prawa kobiet, aktywnie zabiera głos, gdy przychodzi wesprzeć społeczność LGBT+”. Podczas gali „Warszawianka Roku” (tytuł zdobyła ostatecznie Wanda Traczyk-Stawska) aktywność Katarzyny Augustynek zachwalał aktor Maciej Stuhr: – Sprzeciwia się łamaniu praw człowieka w Polsce, jest zaangażowana w walkę o prawa kobiet, aktywnie zabiera głos, gdy przychodzi wesprzeć społeczność LGBT+.

Im dłużej rządzi partia Jarosława Kaczyńskiego, tym Katarzyna Augustynek staje się bardziej agresywna, co jest prawdopodobnie wyrazem bezsilności. Przedstawiciele opozycji, widząc narastającą radykalizację, przestali wspierać działania aktywistki i po prostu ich nie komentują. „Babcia Kasia” stanowi też spory problem dla „etatowych protestujących” – jej obecność podczas manifestacji zazwyczaj oznacza kłopoty. Aż strach pomyśleć, co zrobi emerytka, jeśli PiS wygra jesienne wybory parlamentarne. Zaszła bowiem w swojej nienawiści tak daleko, że dalej jest już tylko ścianą. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Encyklopedia antykultury czy antykatechizm?

Jakub Zgierski i jego współpracownicy – Zgierski jest redaktorem „Encyklopedii...” – wpadli na pomysł książki z jednej strony, jeśli chodzi o zawartość merytoryczną, trudnej do stworzenia, a z drugiej w zamyśle i formie bardzo pociągającej. Gdybym otrzymał ten tom bez okładki i stron redakcyjnych, mógłbym zatytułować go nie tyle encyklopedią antykultury, ile jej antykatechizmem. Oczywiście katechizmem w starym stylu, w którym najpierw stawia się konkretne kwestie w postaci pytań, by potem w zwięzłym, a także wyczerpującym stylu na nie odpowiedzieć. Nie znajdziemy zatem w książce wydanej nakładem Fundacji Cor Dei alfabetycznego układu haseł, ale raczej rozwijającą się komnatową czy też szkatułkową narrację, w której każde pytanie jest kluczem pozwalającym przejść do kolejnego pomieszczenia.



Tomasz Rowiński

Autorzy „Encyklopedii Antykultury” postawili sobie szalenie ambitne zadanie. Po pierwsze, uznali, że trzeba i można pokazać wspólny mianownik stojący za wieloma zjawiskami i zmianami kulturowymi, które z niepokojem współcześnie obserwujemy. Po drugie – niejako kwestionując istniejące i rozwijane podejścia akademickie – podjęli próbę nowego odczytania ideologii neomarksistowskiej

Trzeba powiedzieć, że autorzy „Encyklopedii Antykultury” ten format literacki wykorzystali znakomicie. Odpowiedzi na pytania, które znajdujemy w książce, jak sądzę, chciałby poznać prawie każdy, dlatego też trzeba uznać „katechizmową” formułę jako zachęcającą, by książkę czytać w sposób ciągły lub – jeśli ktoś woli –

na wrywkę. Całość encyklopedii została podzielona na ok. 60 krótkich rozdziałów naświetlających konkretne problemy. Dzięki temu, że poszczególne rozdziały korespondują ze sobą, otrzymujemy do ręki spójny pejzaż współczesnej mentalności przenikniętej zgubnym dziedzictwem myśli Karola Marksa. Czy musimy

się ze wszystkim, co w tym obszernym tomie napisano, zgadzać? Z pewnością nie. W nieunikniony sposób pojawiają się w książce publicystyczne skróty i kwestie dyskusyjne. Jeśli jednak „Encyklopedia...” powoduje intelektualny ferment, to należałoby zapisać jej to na plus.

Zapewne krytycy zaprezentowanego ujęcia tematu powiedzieliby, że książka prezentuje nie tyle jakiś rodzaj neomarksistowskiej mentalności, ile prawicowe lęki. Jednak tego rodzaju zarzut tym bardziej warto zweryfikować. Warto zapytać, czy autorzy „Encyklopedii Antykultury” nie mają jednak w wielu sprawach racji, a kwestionowanie przez lewicę wyłożonej przez nich ideowej charakterystyki otaczającej nas rzeczywistości nie jest po prostu celowym tworzeniem mgły wokół wojny kulturowej. Bez wątplenia podważanie prostego faktu, że – jak powiedział Richard Weaver – „idee mają konsekwencje”, jest kłamstwem, a Zgierski ze swoimi współpracownikami to kłamstwo demaskują. Autorzy „Encyklopedii...” stawiają też czytelnikowi, właściwie nieustannie, bardzo ważne pytanie: Czy złe idee rozwijają się samodzielnie, samorzutnie, być może jako efekt grzechu pierworodnego i są po prostu błędami intelektualnymi? Czy może raczej, w kluczu nowoczesnego instrumentalizowania rozumu, są eleganckim opakowaniem dla jakiegoś bardziej fundamentalnego zła toczącego intencje współczesnych elit?

Gdy Stanisław Żuławski rozdział poświęcony Karolowi Marksowi tytułuje: „Czy Karol Marks chciał dobrze?”, jak sądzić, trafia w punkt nowoczesnych dylematów, przed którymi stoją zarówno prawica, jak i lewica. Czy wystarczy chcieć dobrze, by czynić dobrze? Czy w dobrej intencji można na ludzkość sprowadzić nieszczęście? Czy złe rozpoznanie intelektualne, zła teoria mogą zniweczyć dobre intencje? Czy można ludzkość w sposób fundamentalny oszukać co do zasad rządzących społeczeństwem? Żuławski zdaje się sugerować Marksowi z jednej strony jakiś rodzaj naiwności, a z drugiej przedstawia jego myśli już jako owoc pokrzywionego drzewa nowoczesności.

„Można powiedzieć, że poglądy Karola Marksa były nacechowane jego charakterem. A był on trudny. Marks

traktował ludzi z pogardą i zachowywał się apodyktycznie – nie znosił sprzeciwu, reagując złością na jego nawet najmniejsze objawy. To tłumaczyłoby zamiłowanie do doktrynerstwa oraz postrzeganie sformułowanych przez siebie idei jako prawd objawionych. Co najciekawsze, instynktowna niechęć do kapitalizmu była zakorzeniona w jego stosunku do Żydów. Mimo że sam miał przecież żydowskie pochodzenie, przejawiał silny antysemityzm, powielając stereotypy o Żydach jako dusigroszach i handlarzach. Żyd był dla niego synonimem nienawidzonego kapitalisty. Zdania, które wypowiadał na temat Żydów, mieściły się później w kanonie prasy narodowosocjalistycznej” – pisze Żuławski, a dwie strony dalej dodaje: „W jego pismach widać szczerą nienawiść do kapitału i pieniędzy”. Nie sposób po lekturze takiego fragmentu uciec od pewnych pytań. Czy mogło wyniknąć coś dobrego z nienawiści, choćby i szczerzej? Co, jeśli antykultura jest wciąż i wciąż napędzana nienawiścią, którą miał w sobie Marks? Co, jeśli nienawiść do kapitału była w rzeczywistości nienawiścią do Żydów, a szerzej – do całej judeochrześcijańskiej spuścizny religijnej, moralnej i cywilizacyjnej? Czy nie oglądamy tej nienawiści w nieustannie obserwowanym i inicjowanym na nowo procesie „przewartościowania wszelkich wartości”?

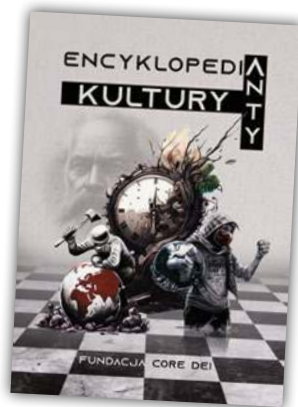
Oczywiście hasło „przewartościowania wszelkich wartości” pochodzi od Nietzschego, a nie od Marksa, co pokazuje nam, że baza problemu, z którym się mierzymy, jest szersza niż marksizm. Nie ukrywam, że przy lekturze „Encyklopedii Antykultury” moje myśli wciąż wędrowały ku klasycznej już książce Allana Blooma zatytułowanej „Umysł

zamknięty”, która była opisem triumfu nietzscheańskiego nihilizmu w kulturze amerykańskiego uniwersytetu. Bez katastrofy opisanej przez Blooma nie byłoby współczesnej antykultury. To na pustce pozostałej po redefinicji klasycznej kultury Zachodu wyrosła kultura nienawiści i przemocy, w której nieustannie wszyscy są na wojnie. Wojują ze sobą kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi, biedni i bogaci, biali, czarni, żółci i czerwoni, homoseksualiści z heteroseksualistami i lesbijkami, lesbijki i femi-

Na pustce pozostałej po redefinicji klasycznej kultury Zachodu wyrosła kultura nienawiści i przemocy

nistki z transami, stalinieści z trockistami, a w konsekwencji świat rozpada się na nieskończoną liczbę wrogich tożsamości. Kto nad tymi konfliktami zapanuje, ten zapanuje nad światem. Antykultura to zatem współczesne „dziel i rządź”. Nie dziwi zatem, że – jak pisze Jakub Zgierski w przedmowie – to rewolucja seksualna „stanowi najskuteczniejsze narzędzie dekonstrukcji człowieka poprzez wyzwolenie jego biologicznej natury, wcześniej ograniczanej przez kulturę”.

Gdy Michał Pytel pisze z kolei o koncepcji zjednoczonej Europy autorstwa Altiero Spinellego, perspektywa nowej formuły „dziel i rządź” staje się niemal oczywistością – chaos tożsamościowy, którego jesteśmy świadkami w naszych czasach, sprzyja rozwijaniu nowej zupełnej formy rewolucyjnej władzy. Wręcz jest w tym procesie konieczny, ponieważ powoduje, że jednostki stają się słabe i niezdolne do buntu. Zaskakujące, jak bardzo cele antykultury współgrają z przestrogami, które Alexis de Tocqueville zawarł w swoim dziele „O demokracji w Ameryce”. Francuski podróżnik pisał, że w demokracji wola jednostki jest najsłabsza ze wszystkich ustrojów, wskazywał także, że religia stanowi przestrzeń wolności wobec zakusów władzy do rozszerzenia własnych prerogatyw. Tymczasem Spinelli w swoim „Manifeście z Ventotene”, jak referuje



Pytel, jawnie pisał, że trzeba podważyć istniejące formy demokracji, by z nich wyprowadzić jakąś nową demokrację rewolucyjną.

„Źródłem wizji i pewności [co do słuszności postępowania] nie jest namaszczenie z woli ludu – ona wszak jeszcze nie istnieje, lecz świadomość reprezentowania najgłębszych potrzeb współczesnego społeczeństwa. Zostaną wydane pierwsze zarządzenia, dotyczące nowego porządku, nieufirmowane jeszcze masy otrzymają pierwsze struktury społeczne. Dyktatura partii rewolucyjnej stworzy nowe państwo, a wokół niego – nową, prawdziwą demokrację” – pisze Spinelli. „Nie należy się obawiać, że reżim rewolucyjny stanie się nowym despotyzmem” – dodaje – ponieważ „ureczywistnia ideały wolności” – uzupełnia Michał Pytel. Jaka może być wolność ludzi uzależnionych od swoich pożądań i pozbawionych nadziei wykraczającej poza doczesność? Dodajmy, że „Manifest Spinellego został uznany w »Białej księdze w sprawie przyszłości Europy«, czyli dokumencie wydanym przez Komisję Europejską, za fundament dalszej integracji” – pisze Pytel.

Zatem neomarksizm, neokomunizm czy też marksizm kulturowy i związane z nim zjawiska, takie jak promocja prawnego uprzywilejowania tzw. mniejszości seksualnych czy normalizacji zaburzeń psychicznych jak transgenderyzm, osłabianie państwa narodowego i rodziny to faza przygotowawcza do zaprowadzenia i umocnienia nowej „dyktatury proletariatu” jako wyższej formy demokracji. Skoro Europa nie ma swojego demosa, to należy zniszczyć te wspólnoty, które jeszcze istnieją, by, niejako odgórnie, władza europejska mogła uformować nowy zupełnie, nieznany historii „naród”. Analogicznie w Stanach Zjednoczonych włączenie ideologii gender do oficjalnej doktryny politycznej państwowej już dziś oznacza świadome osłabianie społeczeństwa i uzależnienie go od dzierżących polityczną i kulturalną władzę elit. Jaki może być potencjalnie efekt tych zabiegów? Koniec wolności politycznej, wolności słowa, fasadowość demokracji, a w dalszej perspektywie koniec wolności osobistej w formie, którą uważamy za godną współczesnego obywatela zachodniego świata.

W USA włączenie ideologii gender do oficjalnej doktryny już dziś oznacza świadome osłabianie społeczeństwa i uzależnienie go od elit

Autorzy „Encyklopedii Antykultury” konsekwentnie przeprowadzają nas przez kolejne historyczne i współczesne zjawiska prowadzące do rozpadu świata nie tylko już chrześcijańskiego, lecz także liberalnego – tego, którego społeczne fundamenty zostały zbudowane – w pozytywniej relacji do prawa naturalnego – po hekatombie drugiej wojny światowej. Warto na chwilę zatrzymać się przy merytorycznej strukturze tej książki. Otwierają ją pytania źródłowe: „Jak narodził się marksizm?”, „Czy utopie prowadzą do zbrodni?”, „Jak wybuchają rewolucje?”, „Czy komunizm może zadziałać?”. Czy wreszcie pytanie już przywołane wcześniej: „Czy Karol Marks chciał dobrze?”. Dalej znajdziemy rozdziały poświęcone zestawieniu kapitalizmu i komunizmu, „luksemburgizmowi”, stalinizmowi, „użytecznym idiotom” czy Bitwie Warszawskiej.

Interesującą częścią książki jest też ta, w której padają pytania o socjalizm, tylko że ten narodowy. Czy możemy go uważać za ideologię prawicową? Dalej autorzy piszą o chińskim komunizmie, narodzinach rewizjonizmu i kolejnych fazach rewolucji seksualnej oraz jej związkach z ideologią komunistyczną. Encyklopedyści pod wodzą Jakuba Zgierskiego nie zapominają o feminizmie, szkole frankfurckiej, szkole z Birmingham, postmodernizmie, BLM, „cancel culture” i wielu jeszcze innych wątkach zajmujących umysły naszych czasów. Kilka rozdziałów poświęconych jest katolicyzmowi – z jednej strony oporowi, który Kościół stawiał rewolucji, a z drugiej kryzysowi, który dotknął instytucji zbawienia. Gdy książka zamyka się takimi problemami jak globalna kontrola nad własnością i transhumanizm, widzimy dobrze, że narracja się dopełnia.

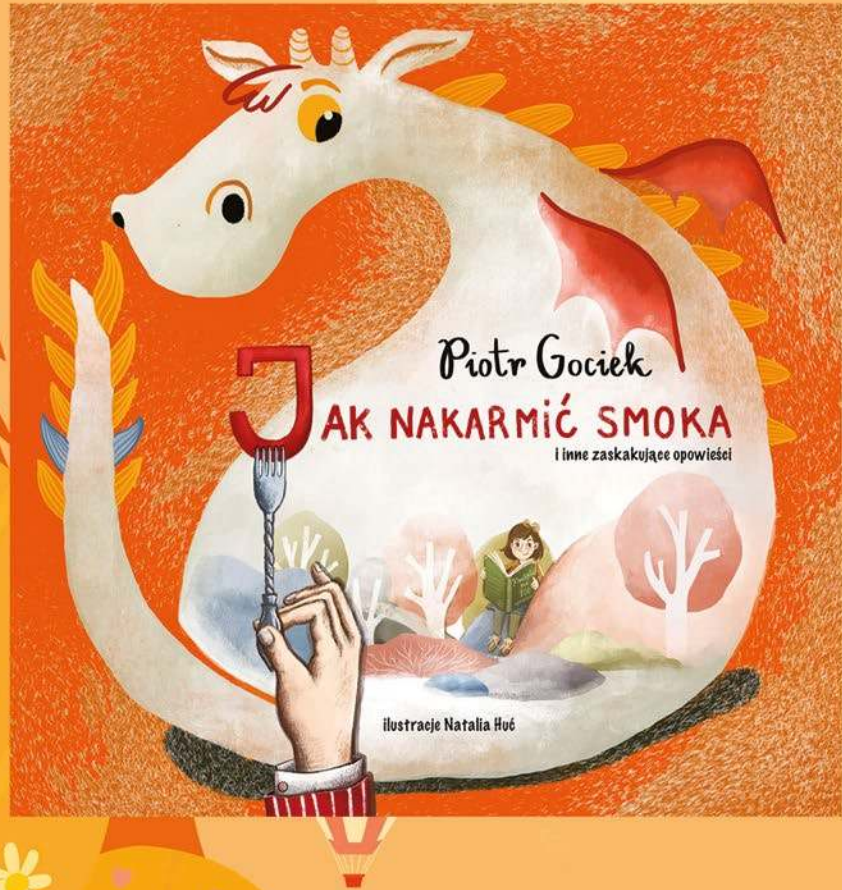
Na koniec warto wrócić do wspomnianych na początku ambicji autorów „Ency-

klopedii Antykultury”. Zgierski w przedmowie pisze, że w ich przeświadczeniu „istniała głęboka potrzeba zapoczątkowania nowych studiów nad ideologią marksistowską [...]”. Dzięki tym staraniom miałyby dojść do rewizji dotychczasowego podejścia do tego zagadnienia. „Wiele prac z zakresu sowieckiego komunizmu skupia się na jego materialistycznym charakterze, który jednak stanowi efekt wulgaryzacji i uproszczenia myśli Karola Marksa. Z kolei naukowcy zajmujący się neomarksizmem powszechnie rozpatrują te koncepcje w ujęciu społeczno-kulturowym, przykładając dużą wagę do kwestii obyczajowych i moralnych, co również postrzegamy jako błąd. [...] Z tej perspektywy tzw. demoralizacja miałyby być celem samym w sobie” – pisze Zgierski.

Chociaż redaktor tomu nie wyraża ostatecznie wprost, jaki jest oczekiwany efekt inicjowanych przez jego zespół prac, to można to zrozumieć. Chodzi o to, by ze zrozumieniem badać, jakiego rodzaju relacje istnieją we współczesnej ideologii marksistowskiej pomiędzy „bazą” i „nadbudową”. Aby do tego doszło, trzeba jednak najpierw zrozumieć, co dziś jest czym. Bez tego – zdają się mówić autorzy „Encyklopedii...” – nie da się postąpić kroku naprzód w opisie dynamiki procesów społecznych i cywilizacyjnych zainicjowanych przez wejście marksizmu do głównego nurtu kultury na Zachodzie.

Dlatego właśnie przy lekturze książki najwięcej uwagi zdaje się przykuwać aktualność dziedzictwa szkoły frankfurckiej. Jej rewizjonizm jest często traktowany nie tylko jako dostosowanie się do zmieniających się warunków politycznych, lecz także jako gest rezygnacji z możliwości wprowadzenia komunizmu. Lektura „Encyklopedii Antykultury” zdecydowanie podważa tego rodzaju interpretacje – komunizm wciąż jest celem. Jest to myśl z pewnością godna uwagi, zastanowienia, a także w wymiarze społecznym i polityczno-cywilizacyjnym, działania.

Jeśli coś można na koniec zaproponować autorom na przyszłość, to warto do „Encyklopedii...” dodać na końcu narzędzia ułatwiające nawigację, czyli indeks osobowy oraz bibliografię. Sprawne nawigowanie jest w kulturze równie ważne, co na morzu. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



[...] Moja maleńka córeczka
kiedyś je sobie zmyśliła
(nie chciała zasnąć wieczorem,
bo czegoś się wystraszyła).

Hitomy i popitamy
wciąż pozostają zagadką.
Nikt o nich nigdy nie słyszał
(nikt poza naszą gromadką).

Hitomy i popitamy

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



FOT. BEN KING PHOTOGRAPHER

Na chwałę Francji



Piotr Gociek

Bohaterowie słynnej powieści Dumasa stali się jednym z wielkich mitów światowej popkultury. Film „D'Artagnan” wraca do francuskich korzeni

Jakże wiele było powodów do ekscytacji! Pojedynki, pogonie, intrygi, pistole (waluta, nie broń) oraz luidory (także waluta, nieustannie przekręcana przeze mnie na „ludoiry”), w dodatku wszystko wstępem do książki przedstawiane jako historia prawdziwa (pamiętniki D'Artagnana odnalezione w Bibliotece Królewskiej). W dodatku podczas wakacji rodzice zabrali mnie do kina na film, w którym bezczelny Gaskończyk zyskał twarz Michaela Yorka. Ile mogłem mieć lat? Siedem, osiem? To dzięki ekranowej wersji w reżyserii Richarda Lestera sięgnąłem po powieść

„Trzej muszkietierowie”, która szybko stała się lekturą odnawianą co roku, aż ów zwyczaj zabity został we mnie przez nudną dorosłość.

ROZMACH I PIENIĄDZE

W zależności od momentu inicjacji każdy ma swojego D'Artagnana i swoich muszkietierów. Dla moich rodziców był nim Georges Marchal z filmu André Hunebelle'a, w którym Bourvil jako Planchet wyciąga przez kłapę w podłogę ze sklepu poniżej przy pomocy sznurka kielbasy i napitek. A dla pokolenia mojej córki – Dogtanian z japońskiego serialu

animowanego. Przypominam o tym, bo to oznacza, że bohaterowie słynnej powieści Alexandra Dumasa na dobre oderwali się od literackiego oryginału i stali się jednym z wielkich mitów popkultury. Tak jak Sherlock Holmes czy Robin Hood.

Każde pokolenie odświeża nieśmiertelnych bohaterów Dumasa na swój sposób. Martin Bourboulon przywraca tę opowieść Francji, wyrывая ją ze szponów anglosaskich reinterpreteratorów posuwających się zdecydowanie za daleko (jak choćby w serialu BBC). Cel jest prosty: wierna ekranizacja książki, na bogato, z użyciem możliwości, jakie daje współczesne kino. Całość jest więc dwuczęściowa, by nadmiernie nie skracać; film „Trzej muszkietierowie: D'Artagnan” trafia do kin tej wiosny, a część druga („Milady”) pojawi się w grudniu. Pieniędzy też nie szczędzono. Na potężny – jak na warunki europejskie – budżet złożyli się producenci z Francji, Hiszpanii, Nie-

miec i Belgii. Razem uskładali ponad 70 mln euro.

Potraktowano więc wreszcie nad Sekwaną „Trzech muszkieterów” tak, jak powinno się traktować narodowe skarby: nie szczędząc uwagi i rozmachu, ale zachowując lokalny charakter. Francuską obsadę aktorzy innej narodowości uzupełniają tylko wtedy, gdy jest to dyktowane wymogami wierności książce, królową Annę Austriaczkę gra zatem Niemka Vicky Krieps, a księcia Buckingham – Anglik Jacob Fortune-Lloyd. Uwodzicielska i złowroga Milady dostała twarz Ewy Green – sprytny zabieg, bo ta rodowita paryżanka brana jest przez niektórych za gwiazdę anglosaską. Czyż nie tak ukrywała swą tożsamość bohaterka stworzona przez Dumasa?

Tak czy inaczej: dobrze jest znów słuchać dialogów z Dumasa wypowiadanych na ekranie przez Francuzów. Porywczego D'Artagnana gra François Civil („Nasz najlepszy rok”, „Wilcze echa”, „Północny bastion”), a Atosa – znany, lubiany i ceniony Vincent Cassel. A skoro o językach mowa – całe szczęście, że rodzice zabrali mnie do kina na „Trzech muszkieterów” Richarda Lestera, bo gdyby nie to, mógłbym się po raz pierwszy spotkać z wesołą kompanią w wersji sowieckiej za sprawą późniejszego o kilka lat musicalu z Michałem Bojarskim. Mogłoby to mą dziecięcą psychę mocno pokiereszować. Kontynuując zaś trop wschodni, w roku 2004 powstał z kolei rosyjsko-ukraiński musical, w którym główną rolę zagrał obecny prezydent Ukrainy – Wołodymyr Zełenski. Co ciekawe, w tej wersji zamiast muszkieterów mieliśmy muszkieterki. Na przykład Portosa (Portoskę?) zagrała Rusłana Pysanka, znana nam doskonale z roli Horpyny w „Ogniem i mieczem”.

Tę podatność na rozmaite adaptacje i niegasnącą popularność zawdzięczamy oczywiście po części temu, że uprzejmy Alexander Dumas zmarł dawno temu, nie przeszkadza więc nikomu żądaniami zapłaty za prawa do ekranizacji. Ale mówiąc serio, każdy, kto wróci do książki (ja uczyniłem to kilka lat temu), odkryje, że nadal jest to znakomita rozrywka i skarb literatury popularnej. Dickens trzyma się lepiej, to prawda, ale był po prostu trochę lepszym pisarzem od Dumasa (a właściwie duetu Dumas – Auguste Maquet). Oczywiście nie znaczą to, że niezliczeni

widzowie niezliczonych adaptacji muszą być jednocześnie miłośnikami oryginału. Nie, w przypadku „Trzech muszkieterów” stało się coś ważniejszego: bohaterowie oderwali się od książki, odkleili od autora i zamieszkali na dobre w zbiorowej wyobraźni ludzkości. A tam ich historia replikuje się już sama na wszelkie sposoby.

PRAWDZIWE PŁASZCZE I SZPADY

Film Martina Bourboulona to również kawałek bardzo dobrej kinowej rozrywki, tym ciekawszy, że w odróżnieniu od wielu wcześniejszych wersji nie próbuje na siłę być komedią czy nawet farsą (jeśli przypomnimy sobie film z 1953 r.). Dumas skrocił swą opowieść niczym wytrawny scenarzysta współczesnego hitu telewizyjnego – owszem, jest komedia, ale jest i tragedia; są śmiałość, odwaga, wierność i przyjaźń, ale są także zdrada i rozpacz. Sekwencja, w której D'Artagnan obraża każdego z muszkieterów, musi więc stawić się na trzy następujące po sobie pojedynki, to arcydzieło humoru – tak jak jest napisana, nie trzeba wiele zmieniać. I w miarę wiernie Bourboulon ją przedstawia.

Ważniejsze jest to, że wreszcie świat muszkieterów wygląda serio: kostiumy, kolory, powierzchnie, brud. Jak przystało na całkiem poważny dramat historyczny kręcony w XXI w., gdzie popelina w stylu teatralnych dekoracji już nie przejdzie. I sceny walk też wyglądają serio. To nie jest mizianie plastikowymi kijkami, które sprężynują jak najcięższy odcinek wędki; tutaj dorośli faceci próbują sobie zrobić krzywdę naprawdę, a widz nie ma wątpliwości, że dysponują bronią śmiertelnością. Krótko mówiąc, oto film płaszcza i szpady, w którym i płaszcze, i szpady wyglądają, jak należy, a nie jak rekwizyty z hollywoodzkiego kabaretu.

Reżysera Martina Bourboulona francuscy widzowie znają jako twórcę filmów „Eiffel” oraz dwóch części komedii „Z tatą czy z mamą”. Ale proszę go nie lekceważyć, długo terminował u boku nie lada speców. Asystował na planie przy „Vatel” Rolanda Joffégo, „Przepustce” Bertranda Taverniera czy „Prawdziwym obliczu Charliego” Jonathan Demme'a.



REŻ. MARTIN BOURBOULON
„TRZE MUSZKIETEROWIE:
D'ARTAGNAN”
FRANCJA 2023

Wielki sukces frekwencyjny „Trzech muszkieterów” we Francji oraz przychylne opinie krytyków z kręgu anglosaskiego na pewno otworzą mu drzwi do kręcenia kolejnych wysokobudżetowych filmów.

Dla równowagi odnotujmy także opinie krytyczne. Fernando Ganzo na łamach słynnego pisma filmoznawczego „Cahiers du Cinéma” ma pretensję, że coś, co zapowiadano jako dzieło

sławiące francuskie dziedzictwo i kulturową rekonkwistę wymierzoną w artystyczne kino autorskie i przeciw rozrywce amerykańskiej, jest w istocie puste. „Luwr, katedra w Meaux, las Fontainebleau... »Trzej muszkieterowie« wykorzystują francuskie dziedzictwo kulturowe, architektoniczne i literackie, aby zredukować je do »wartości produkcyjnej«. Zdaniem Ganzo rzecz sytuuje się gdzieś między „Grą o tron”, „Avengersami” a francuskim „Braterstwem wilków”. Racja, ale to właśnie sprawi, że film Martina Bourboulona będzie z sukcesem wyświetlany na całym świecie.

Co do zarzutu, że z Dumasa została jedynie intryga – też racja, ale co do wzruszeń, poczekajmy za koniec, to znaczy na część drugą, która ma nosić tytuł „Milady”. Tam przecież mają wydarzyć się rzeczy najbardziej poruszające, poznamy dzieje nieszczęśliwego małżeństwa Atosa i wszystkie łajdactwa Milady, tam umrze uroczą Konstancja Bonacieux. Nie jestem też pewien, czy chciałbym widzieć „Trzech muszkieterów” jako narzędzie krytyki społecznej albo demaskacji monarchii. To Francuzi robili skutecznie gdzie indziej, zostawmy sobie trochę zabawy.

Nową wersję przyjmuję więc przychylnie – i jako czytelnik Dumasa, i jako widz spragniony rozrywki innej niż Marvel Cinematic Universe. A na część drugą czekam niecierpliwie, bo Eva Green jako Milady robi piorunujące wrażenie, choć w „D'Artagnanie” jej obecność ekranowa jest nader skąpa. Nie mamy wątpliwości, że ta zimna piękność była w stanie niegdyś uwieść i księdza, i prawego Atosa, a w przyszłości zrobi wodę z mózgu wzorowego brytyjskiego oficera Johna Feltona. Tylko prawdziwe femme fatale to potrafią.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

polsat box go

Marlowe w kłopotach



★★★★★
REŻ. NEIL JORDAN
„DETEKTYW MARLOWE”
(„MARLOWE”)
IRLANDIA/HISZPANIA 2022

wyst. Liam Neeson,
 Diane Kruger, Jessica
 Lange

Wielki chłop, w dodatku raczej posunięty w latach – widzieliśmy kiedyś taką wersję Philipa Marlowe’a, gdy Michael Winner obsadził w roli detektywa Roberta Mitchuma („Wielki sen”, 1978). Neil Jordan sięga po Liama Neesona, który przez większość czasu ekranowego robi wrażenie nie bardzo zainteresowanego tym, co robi – podobnie jak reszta obsady, z chwalebnym wyjątkiem świetnej Jessiki Lange jako emerytowanej femme fatale. Scenariusz powstał na podstawie powieści Benjamina Blacka (pseudonim irlandzkiego pisarza Johna Bannville’a) „Czarnooka blondynka”, jednej z nielicznych oficjalnych

kontynuacji dzieła Raymonda Chandlera.

Neil Jordan, przypomnijmy, to legenda kina irlandzkiego, twórca „Michaela Collinsa”, „Gry pozorów”, „Mony Lisy”, „Chłopca rzeźnika”. Sam ostatnio napisał powieść kryminalną („The Drowned Detective”), z jakim skutkiem – nie wiem, bo jeszcze nie czytałem. Wiem za to, że zabrakło mu pomysłu na własną wersję opowieści o słynnym prywatnym detektywie. Niby wszystko jest na swoim miejscu: uwodzicielskie blondynki, zepsuci bogacze, pieniądze z pól naftowych i z biznesu kinowego, pociąg do narkotyków, hazardu i przemocy. Tajemnicze zniknięcie,

kuszący Meksyk, dokąd zawsze można uciec przed kłopotami, pod koniec sporo przemocy. A mimo wszystkich tych atrakcji jest to kino gadane i mało ekscytujące.

Ograniczony skromnym budżetem reżyser próbuje kombinować, po pracy kamery widać, że sporo oglądał starych filmów Henriego-Georges’a Clouzota. Są niezłe momenty: świetna scena dłuższej rozmowy Neesona i Lange, kawałek piekła na ziemi kręcony w stylu Briana De Palmy, gdy nadchodzi finałowa sekwencja w szemranym prywatnym klubie. „Marlowe” pozostaje jednak bardziej szkicem filmu niż filmem. Nie pomaga to, że twórca „Wywiadu z wampirem” nie potrafił się zdecydować, jakie właściwie kino chce zrobić: czy to rasowy kryminał noir czy hołd dla takich opowieści, a może pastisz? Niektóre sekwencje (zwłaszcza końcowa scena w filmowym studiu) sugerują postmodernistyczną zabawę. Kto nie wie, dokąd jedzie, ten nigdzie nie dojedzie. ©©



NOWE SERIALE: „AWANTURA”

Każdy ma czasem dość – ale to nie znaczy, że po przypadkowym spięciu na parkingu przed marketem trzeba od razu wyznaczyć sobie nowego śmiertelnego wroga. „Awantura” szybko stała się hitem Netflix’a. Zasłużenie, bo to świetnie napisany i zagrany komediodramat o czymś więcej niż

społecznych nierównościach. Bogaty czy biedny tak samo potrzebujesz wsparcia bliskich i empatii innych. A gdybyś miłości nie miał, jesteś niczym. W rolach głównych stand-uperka Ali Wong i znany z „Minari” Steven Yeun. ©©

Piotr Gociek

• miniserial „Awantura”, USA 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 3 „Wielka” („Great”), USA 2023

max

• miniserial „Kres niewinności”, Polska 2023

TVP 1

• sezon 1 „Muppetowa Masakra” („The Muppets Mayhem”), USA 2023

Disney+

Lord figurant

skySHOWTIME

Co nowego u Crawleyów? Nie popełnię faux pas, ujawniając, że plan, by „z dumą wkroczyć w lata 30.,” zostanie zrealizowany z nawiązką. Rzecz zaczyna się od ślubu, kończy na oświadczeniach i przyjeździe na świat kolejnego dziedzica. Lady Violet odziedziczyła willę na Lazurowym Wybrzeżu, więc część rodziny wyjeżdża zapoznać się z niespodziewanym nabytkiem. Reszta zostaje w Downton, okupowanym przez ekipę filmowców. Mimo konserwatyizmu wyssanego z mlekiem matki gospodarz musi szukać dodatkowych źródeł dochodu, jako że dach rezydencji przecieka. „Najeżdźcy” oczywiście szybko zostaną oswojeni, brytyjski kamerdyner zaś

znowu przekona sceptyków, że jest debsciakiem. W świecie wykreowanym przez Fellowes nie ma miejsca na konflikty. Wszyscy piją sobie z dzióbek, a kobiety przejmują władzę z błogosławieństwem panów.



★★★★★
REŻ. SIMON CURTIS
„DOWNTON ABBEY: NOWA EPOKA” („DOWNTON ABBEY: A NEW ERA”)
WIELKA BRYTANIA/USA 2022

wyst. Maggie Smith, Hugh Bonneville, Michelle Dockery

Lord Grantham, który z sezonu na sezon stopniowo zniknął w cieniu matki i żony, de facto abdykuje na rzecz córki. Nie wierzymy jednak, że „czasy się zmieniają i my musimy zmieniać się z nimi”. Crawleyowie są jak starzy znajomi, którzy niczym już nas nie zaskoczą, i dlatego miło jest się z nimi od czasu do czasu spotkać. „Nowa epoka” wygląda na pożegnanie z formą. Chyba że prawa do cyklu wykupi Disney i zabawa zacznie się od początku.

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FATALNE ZAURÓCZENIE

KINO



★★★★★
REŻ. SUZANNE RAES
„VERMEER. BLISKO MISTRZA” („DICTH BIJ VERMEER”)
HOLANDIA 2023

Johannes Vermeer to postać enigmatyczna. Pamiętników nie zostawił, miał się różnych zajęć, malował mało. Ciekawym jego wyglądu potomnym raczył pokazać zaledwie plecy (w „Alegorii malarstwa”). Spotkała go zasłużona kara: gdy dorobek innych XVII-wiecznych artystów zajmuje garstkę snobów, o nim pisze się powieści i kręci filmy. Specjalista od scen kameralnych intryguje i wzrusza miliony. Jubileusz Rembrandta w porównaniu z poruszeniem, które wzbudziła otwarta w lutym „największa w historii” wystawa dzieł mistrza z Delft, minął niezauważony. Owa historia ma również dobre strony. W Rijksmuseum wreszcie spokojnie można kontemplować obrazy wcale nie gorsze od „niderlandzkiej Mona Lisy”. Ekspersi wybrani przez autorkę dokumentu zastanawiają się, co sprawia, że Vermeer jest Vermeerem. Odpowiedzi są różne, lecz podejście identyczne – dla wszystkich rozmówców sztuka dawna jest nadal aktualna. © ©

CYNADERKI PO BURGUNDZKU

HD max



★★★★★
REŻ. MARCO FERRERI
„WIELKIE ŻARCIE” („LA GRANDE BOUFFE”)
WŁOCHY/FRANCJA 1973

Minęło pół wieku od premiery, lecz obcowanie z „Wielkim żarciem” nadal może skutkować utratą apetytu. Czterech smakoszy o ustalonej pozycji zawodowej zamyka się w wili paryskiego sędziego (która kiedyś należała do polskiego chemika), by w nieumiarowany sposób oddawać się uciechom stołu i łoża.

W innej epoce scenariusz zapewne ewoluowałby w stronę satyry na kryzys wieku średniego. W roku Pańskim 1973 ambitny twórca (za jakiego uchodził Ferreri) czuł się jednak zobligowany do wywołania skandalu i w rezultacie popełnił męczącą groteskę. Można i trzeba pogardzać burżujami, ale przyjęcie tezy, że ludzie z pełnymi portfelami będą świadomie zdążyć do samounicestwienia, źle świadczy o inteligencji autora takiego pomysłu. Dziś, gdy konsumpcyjny styl życia stał się udziałem lwiej części populacji, trudno traktować „Wielkie żarcie” inaczej niż jako kuriozalny artefakt z czasów słusznie minionych. © ©

Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „ADVANCE WARS 1+2 RE-BOOT CAMP”

Wygląda niepozornie, ale to wymagająca turówka, w której musimy brać pod uwagę wiele okoliczności i uwarunkowań. W jednym pakiecie dostajemy dwie pierwsze części popularnej serii, z kampaniami fabularnymi

i trybem multi. Remake wierny oryginałowi, ale solidnie odświeżony, dopieszczony wizualnie, z nowymi rysunkami bohaterów. Szkoda, że nie wprowadzono opcji grania dotykowego w trybie handheld. Dla lubiących strategię



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

posiadaczy Switcha pozycja zdecydowanie warta uwagi. © ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** Strategia turowa
- **Platforma:** Nintendo Switch
- **Producent; wydawca PL:** Nintendo; ConQuest Entertainment

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Meblowanie głów

Dziewiętnasty (!) tom „Kresowej Atlantidy” Stanisława Nicieja, imponującego dzieła ocalającego pamięć o ziemi tak bliskiej naszemu sercom i ludziach zamieszkujących tę ziemię, opowiada o Żółkwi, Brodach, Mostach Wielkich i Czortkowie. Autor, jak zwykle, nie tylko zagłębia się w historię, lecz także jednocześnie odtwarza niepowtarzalny kresowy klimat, ze znanstwem i z czułością snując tę swoją sagę, która nie pozwala nam zapomnieć o Rzeczypospolitej Obojga Narodów i jej dziedzictwie.

Jest prof. Nicieja historykiem i historykiem sztuki, humanistą o bardzo szerokich zainteresowaniach, a to umożliwia mu np. wpleść w swoją narrację o Żółkwi dłuższy fragment, będący właściwie esejem o naszym świetnym kompozytorze Wojciechu Kilarze, który właśnie w okolicach Żółkwi miał swoje rodzinne korzenie, a urodził się we Lwowie.

Z kolei pisząc o Brodach, przywołuje Stanisław Nicieja Josepha Rotha, opowiadając o jego życiu i cytując „Marsz Radetzky’ego”. „Trochę przypadek zdecydował – czytamy – że Roth stał się pisarzem niemieckojęzycznym. [...] Gdyby w Brodach – jak w okolicznych miasteczkach – było polskie gimnazjum, Roth mógłby zostać pisarzem polskojęzycznym, jak choćby urodzony w Drohobyczu Bruno Schulz czy urodzony w Dmytrowie (ok. 60 km od Brodów) Józef Wittlin”.

Jak pisała Dorota Simonides: „Głównym celem jego [prof. Nicieja] wieloksięgu jest próba odtworzenia losów dużych, zwartych grup społecznych, z wyeksponowaniem biografii wybitniejszych indywidualności, które tym społecznościom dawały rys oryginalności bądź im przewodziły”. I to sprawia, że

lektura kolejnych tomów „Kresowej Atlantidy” niezmiennie jest tą samą arcyciekawą przygodą czytelniczą.

Tym razem jednak polecam państwu nową książkę prof. Nicieja z innego jeszcze powodu. Otóż otwiera ten tom polemika autora ze znanym z rozpraw o dawnej Rzeczypospolitej, w tym najbardziej może z „Trójkąta ukraińskiego”, prof. Danielem Beauvois, który od dawna zwalcza panującą w Polsce „kresomanie”, a ostatnimi czasy piętnuje polski kolonializm, zarazem pouczając historyków, literaturoznawców i publicystów, jak należy pisać o Kresach. A jak nie wolno.

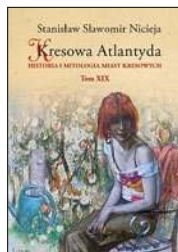
Jego zdaniem położenie chłopów ukraińskich wobec polskiej szlachty było takie jak w Ameryce Afoamerykanów czy Indian wobec Anglosasów. Polscy panowie eksploatowali ziemię, wyzyskując ludność, czyniąc z niej niewolników, narzucając wiarę i język. Ten guru „Gazety Wyborczej” od spraw kresowych nie raczy jednak wziąć pod uwagę tego, co wypunktował dr Adam Wierciński, a mianowicie, że „polski pan» bywał często spolszczonym kulturalnie kniazem czy bojarem ruskim, a »niepolski chłop« – zrutenizowanym zbiegiem znad Wisły, a czasem i schłopiałym drobnym szlachcicem z Mazowsza czy Podlasia. Polszczył się tam ruski bojarzyn i rutenizował polski włóścianin”.

Wylicza Daniel Beauvois długą listę autorów, którzy uparcie nie korzystają z jego wiekopomnych ustaleń, umieszczając na niej m.in. także niżej podpisanego, choć Bóg raczy wiedzieć, dlaczego napisany przeze mnie i wydany w 2014 r. „Puklerz Mohorta” nazywa »zbiorem opowiadań i nowel«, a są

to historycznoliterackie szkice publikowane swego czasu w kresowym dodatku „Rzeczypospolitej”. Podobnie z drugiej ręki poznał zapewne poświęconą Kresom książkę Jerzego Gizelli, co zaś się tyczy prof. Stanisława Nicieja, to najzwyczajniej w świecie zmanipulował wywiad udzielony przez autora „Kresowej Atlantidy” 10 lat temu „Nowym Książkom”. A wszystko to po to, by wykazać szkodliwość wszystkich „nostalgicznych opisywaczy dziejów”.

Na szczęście ten znawca stosunków społecznych w Rzeczypospolitej Obojga Narodów ma również swoich zwolenników, pełną garścią czerpiących z tej krynicy mądrości, którą są jego pisma i księgi. Czołowe wśród nich miejsce zajmuje Olga Tokarczuk, której list Daniel Beauvois z satysfakcją upublicznia. Dziękuje w nim noblistka „za myśli i rozpoznania, tak dla Polaków ważne, a do których sami być może w ogóle nie jesteśmy zdolni i dlatego potrzebujemy ludzi takich jak Pan, którzy pozostając na zewnątrz, a zarazem wolni od emocji i kompleksów, powiedzą nam kilka ważnych prawd. Kolokwialnie mogłabym więc powiedzieć, że ozdrowieńczo przemeblowuje Pan polską głowę”. Już taką właśnie przemeblowaną głowę ma z pewnością taki np. Andrzej Leder, konstatuujący, że „trzeba było Francuza z Sorbony, by opisać całe okrucieństwo polskiego systemu pańszczyźnianego”.

„Co my, Polacy, byśmy zrobili – pyta prof. Nicieja – gdybyśmy nie mieli tak życzliwych i bezinteresownych cudzoziemców, szczególnie Francuzów i Anglików – mających wybitne doświadczenia w kwestii kolonializmu”? ©©



★★★★★

**STANISŁAW
SŁAWOMIR
NICIEJA**
„KRESOWA
ATLANTYDA.
HISTORIA
I MITOLOGIA
MIAST
KRESOWYCH.
TOM XIX.
ŻÓŁKIEW, MOSTY
WIELKIE, BRODY,
CZORTKÓW”
WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
OPOLSKIEGO,
OPOLE 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Poeta umiera

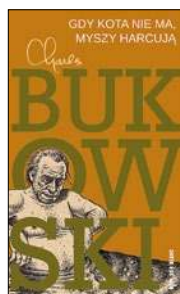
Jest najgorętszy początek października od 1906 r.; poeta umiera. Zajmie to jeszcze nieco ponad dwa lata, ale ostatecznie przegra walkę z białaczką. Charles Bukowski umiera więc aktywnie: snując się po pokoju nocą, słuchając muzyki klasycznej, robiąc korektę ostatniej książki, spędzając czas na wyścigach. Umiera tak, jak żył: pisząc, w czym nie ma nadmiernego dramatyzmu. W prowadzonym z namowy wydawcy dzienniku trochę się z nadchodzącą śmiercią boksuje, ale raczej jest zdziwiony niż obrażony. „Mimo wszystko jest w porządku. Powinienem nie żyć 40 lat temu” – zapisuje pewnej wrześnieowej nocy. I tak mu się udało. Nie ma co narzekać.

Na kartach „Gdy kota nie ma, myszy harcuja” Bukowski jest taki jak zawsze – prześmiewca, liryk, skandalista. Tu błysnie kapitalną frazą, tam sprzeda jakiś banał jako wielkie odkrycie, a gdzie indziej walnie jakiś skatologiczny fragment. „W sumie piszę obecnie tak, jak pisałem 50 lat temu, może nieco lepiej, ale szau nie ma” – wyznaje. I to jest prawda – albo się przyjmuje autora „Faktotum” takim, jakim jest, albo nie. Ja jego życiopisanie kupuję, choć często mnie doprowadza do pasji, bo zdaje mi się niedoredagowane,

widzę za wiele błahych zapisków. I znów: gdyby je wyciąć, to z magii Buka niewiele by zostało. A ja gawędy Buka lubię.

Bukowski dzieli piszących na pisarzy i na spryciarzy. Ci ostatni to goniący za modą, podlizujący się czytelnikowi, starający się za wszelką cenę, by czytelnik kolejnej powieści znalazł w niej te same emocje, co w poprzedniej powieści. Twórca „Z szynką raz!” spryciarzem nie jest, pisze, bo inaczej nie potrafi, pisanie jest jak oddychanie, więc największe cierpienie przychodzi, kiedy nowa powieść czy wiersz przyjść nie chcą. Gdyby był spryciarzem, nie musiałby po siedemdziesiątce zapisywać słów: „Czemu musiałem dobić do 51 lat, zanim mogłem opłacić czynsz swoim pisaniem?”.

I takie to zwyczajne/niezwykające pożegnanie. Popsute auto, kiepskie wiersze przysyłane przez fanów, nuda wiejąca od innych pisarzy, puste hollywoodzkie przyjęcia. Mahler nocą. Prośby o rozmowy. „Dwa razy w tygodniu przychodzi zapytanie, czy nie udzieliłbym wywiadu. Nie ma tak naprawdę specjalnie o czym mówić. Zdecydowanie jest o czym pisać, a nie o czym gadać”. Ostatnie słowa w dzienniku zapisuje pod koniec lutego 1993 r. 9 marca 1994 r. poeta umiera. ©©

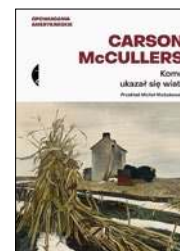


★★★★★

CHARLES BUKOWSKI
„GDY KOTA NIE MA, MYSZY HARCUIĄ”
NOIR SUR BLANC 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mniej znane w Polsce oblicze autorki słynnej powieści „Serce to samotny myśliwy”, czyli opowiadania zebrane jednej z najciekawszych amerykańskich pisarek XX stulecia.



CARSON MCCULLERS
„KOMU UKAZAŁ SIĘ WIATR?”
WYDAWNICTWO CZARNE

Co prawa przyrody mówią o losie człowieka – zastanawia się Dunn. Choćby to, że jesteśmy gatunkiem młodym, ale i nas czeka koniec. Jak wyglądać może Ziemia po nas?



ROB DUNN
„HISTORIA NATURALNA PRZYSZŁOŚCI”
COPERNICUS CENTER PRESS

Zaskakująca biografia. Czar dwóch kółek na wszelkie sposoby: symbol ekstrema-gancji, zwiastun nowoczesności, wyraz buntu, narzędzie pracy i odpoczynku. Nawet co nieco o rowerze w sztuce.



JODY ROSEN
„NA OKRĄGŁO. SEKRETNE ŻYCIE ROWERU”
WIELKA LITERA

Obdarzony darem długowieczności przez obcych Enoch Wallace pilnuje najważniejszego miejsca na Ziemi – stacji przesiadkowej ku gwiazdom. Wznawienie klasycznej powieści SF.



CLIFFORD D. SIMAK
„STACJA POŚREDNIA”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„KREW BARBARZYŃCY”
Intrygujący powrót do uniwersum Conana Barbarzyńcy – stary król ma dość korony i chce porzucić królestwo, jego syn żądny jest chwały, a fabuła kontynuuje m.in. wątki znane z noweli „Za Czarną Rzeką”. Scenarzyście El Torresowi udało się wskrzesić pośpyny urok oryginalnych opowiadań Roberta E. Howarda



EL TORRES, BOCARDO, MARTINEZ
„KREW BARBARZYŃCY”
WYDAWNICTWO MANDIOCA 2023

o Conanie. Stworzył wspaniałą kontynuację, a jednocześnie złożył wielki hołd twórcy współczesnej heroic fantasy.



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kryzysowy sznyt

Brakowało niemal wszystkiego, poza kreatywnością. Samodzielne wykonywanie ubrań było w latach 80.

odповідzią Polek – bo to przecież głównie kobiety szyły, przerabiały i tworzyły chałupniczo odzież, choć dumnie nosiły ją całe rodziny – na kryzys gospodarczy i załamanie przemysłu i rynku odzieżowego w PRL. Pierwszą w Polsce wystawę poświęconą modzie stanu wojennego przygotowały Małgorzata Moźdzynska-Nawotka i Maria Duffek-Bartoszewska.

Co na wystawie? „Swetry z »wełny

kowarskiej«, sukienki z farbowanej tetry, torebka wykonana z zużytych kozaków, buty kupione na kartki i sukienka wieczorowa uszyta z bawełnianego worka, w którym do szpitala przywieziono wate dla pacjentów”, i wiele więcej. „Ich autorki materialne niedobory kompensowały obfitością inspiracji, inwencją i osobistym zaangażowaniem. Szarość i bylejakość otaczającej rzeczywistości kontestowały kolorem, humorem i fantazją. Społeczną alienację – współpracą, schyłkowość systemu – młodością, inicjatywą i pragnieniem lepszego życia” – mówi Małgorzata Moźdzynska-Nawotka. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe we Wrocławiu
KIEDY? do 30 lipca



FOT. MACIEJ LÓREK



FOT. ANITA KACPRZYK

FRESKI ECKSTEINA

Dziewięć lat trwały żmudne i skomplikowane prace konserwatorskie mające na celu ratowanie iluzjonistycznych fresków Franciszka Ecksteina w cerkwi garnizonowej śś. Apostołów Piotra i Pawła, czyli dawnym kościele Jezuitów we Lwowie. Efekty tych prac prezentuje wystawa „I otworzyło się niebo...”. Wielkoformatowe wydruki fresków, pokazujące etapy sprzed konserwacji, w jej trakcie i po niej, pozwalają docenić kunszt konserwatorów, film VR przenosi do lwowskiej cerkwi. ©©

GDZIE? Łazienki Królewskie, Stajnie Kubickiego
KIEDY? do 28 czerwca

NA SŁUCH

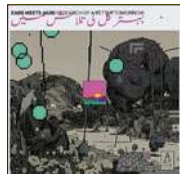
W stronę słońca

Pierwszy album, „Nafs at Peace”, nagrali w 13-milionowym Lahaur, drugi w spokojnej Kotlinie Kłodzkiej. Obie sesje zaowocowały wspianymi dialogami międzykulturowymi, których celem było „poszukiwanie lepszego jutra”.

W nagraniach w Pakistanie wziął udział tylko jeden z muzyków wrocławskiego zespołu EABS – lider, Marek „Latarnik” Pędziwiatr. W Monochrom Studio grupa była w pełnym, pięciosobowym składzie. Również zespół Jaubi był w komplecie. Sesje rozpoczęły się dzień po koncercie pakistańskiego tria na OFF Festivalu w 2022 r. i trwały tydzień. Dzięki ośmioosobowemu składowi brzmienie drugiego albumu jest znacznie

potężniejsze. Sekcja dęta, perkusja i soczysty bas nadały wyrazisty ton nagraniu. Na tych brzmieniowych fundamentach rozwijają się przepiękne rozmowy między baterią klawiszy Pędziwiatra, saksofonem Olafa Węgiera a gitarą Ali Riaz Baqary, tabłą Kashifa Ali Dhaniego i sarangą Zohaiba Hassana Khana. Co najważniejsze, nie mamy poczucia, że rozmowa jest prowadzona w odległych językach. W naturalny sposób spajają się tradycja hinduskich rag, hip-hopowa rytmika, natchnienie spiritual jazzu i słowiańska wrażliwość. Był to efekt, jak podkreślają to sami muzycy, braterstwa w dźwięku. Wspianym elementem tego albumu jest też jego piękna szata graficzna autorstwa Przemka Sainera Blejzka. ©©

GRZEGORZ BRZOSZOWICZ



★★★★★
EABS MEETS JAUBI
„IN SEARCH OF A BETTER TOMORROW”
ASTIGMATIC



★★★★★
ZIELONE DZIECI
„JEŚLI CHCESZ TAŃCZYĆ”
GAD

Po 33 latach od nagrania dostajemy płytę z piosenkami dla dzieci autorstwa Wojtka Konikiewicza i śp. Sławka Gołaszewskiego. Album pulsuje jamajskimi rytmami i jazzowymi improwizacjami. Śpiewają Jorgos Skolias, Paweł Dudziński i członkowie Teatru Performer.



★★★★★
BILLY VALENTINE
„BILLY VALENTINE & THE UNIVERSAL TRUTH”
FLYING DUTCHMAN

Amerykański weteran przypomina hymny z okresu walk o prawa obywatelskie. Jego jazzujące wersje utworów Curtisa Mayfielda, Gila Scotta-Herona, Steviego Wondera czy Prince’a poruszają i oczarowują. Zestaw zamyka apokaliptyczna wersja „The World Is a Ghetto” zespołu War.



Krzysztof Masłowski

W latach słusznie uznanych za niesłuszne człowiek pracy (bo innych nie było, nie musiał więc manifestować pod hasłem „Godna praca, godne życie”, jako że było to oczywiste) po pochodzie pierwszomajowym mógł obejrzeć w telewizji, poza pochodami w innych państwach demokracji ludowej z ZSRS na czele, specjalnie przygotowany koncert pieśni i piosenek patriotycznych i jakiś film, już niekoniecznie rewolucyjny, ale z pewnością wysoce ideowy i najlepiej sowiecki. Dziś jest to niemożliwe, bo ani sowieckiego, ani rosyjskiego filmu w żadnej telewizji się nie wyświetli. Cóż, nie tylko Moskwa nie wierzy łzom, lecz także Warszawa.

W tym roku 1 maja telewizyjna Dwójka przekonywała, że „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”, a TVP Kultura odkurzyła „Upadek Cesarstwa Rzymskiego”, w czym – jeśli ktoś by się uparł – można było doszukać się aluzji do końca sowieckiego imperium zła. Telewizja Trwam opowiedziała o „Zbrodni z rosyjskiego scenariusza”, ale okazało się, że nie chodziło tutaj o Ukrainę, ale o tzw. pogrom kielecki z 1946 r. Do tej też tematyki nawiązało Kino Polska, emitując, jak wiadomo, wyjątkowo ceniony przez Polaków film „Pokłosie”. W Stopklatce obchody majowego święta rozpoczęto dwoma odcinkami „Czterech pancernych i psa”, a potem pojechano „Potopem” – i już.

Następnego dnia, w Dniu Flagi, TVP w programie pierwszym pokazała dokument pod nazwą „Gniazda zamiast wojny. Przyroda na terenach wojskowych”, czym – jak sądziłem – pragnęła przyczynić się do podważenia pojawiającej się tu i ówdzie opinii, że oto nasze demokratyczne jak najbardziej państwo wkroczyło w ostrą fazę militaryzacji. Niestety, dokument okazał się niemiecki. Zdezorientowanemu widzowi wrócić do równowagi pomóc miał inny film dokumentalny pokazany w tym samym programie, a zatytułowany krzepiąco – „Po pierwsze: dobro ojczyzny”. Traktował o Jozefie Wybickim. I tak historia zdominowała współczesność.



TVP Kultura odkurzyła „Upadek Cesarstwa Rzymskiego”, w czym – jeśli ktoś by się uparł – można było doszukać się aluzji do końca sowieckiego imperium zła. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Polityka historyczna ma oczywiście swoje dobre strony, z czego skorzystał Kanał TVP Kultura, prezentując 2 maja nie tylko stareńki koncert Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, lecz także historię tych wzbudzących kiedyś niesłuchane emocje imprez, opatrzoną hasłem: „Wielcy, więksi i najwięksi”. Bądźmy pewni, że w tym roku na scenie opolskiego amfiteatru, w ramach jubileuszowego, już 60., festiwalu zaprezentują się mali, mniejsi i najmniejsi. W repertuarze znanym od kilku przynajmniej dekad, bo ten nowszy podoba się jakby mniej.

To zupełnie tak jak z majówką. Wielka ona była, aż strach powiedzieć, w 1981 r., kiedy powstał absolutnie kultowy film, tak właśnie nazwany, z młodzieńcami Zbigniewem Zamachowskim i Janem Piechocińskim, na którego nikt jeszcze nie mówił Feli, tylko Julek. A w filmie nie śpiewała Moni, lecz Kora. I cóż tu mówić więcej?

Tak czy inaczej kulminacją majówki było Święto Narodowe Trzeciego Maja. W Stopklatce uczczone w ten sposób, że tego dnia nie pokazano żadnego, ale to żadnego odcinka „Czterech pancernych i psa”, co zresztą nadrobiono już nazajutrz. TVP Kultura wyświetliła „Pana Tadeusza” Wajdy, idąc w ślady telewizyjnej Jedynki, która zrobiła to dnia poprzedniego, a trzeciomajową wyjątkowość podkreśliła zeszłorocznym Koncertem Chopinowskim z okazji 212., okrągłej rocznicy urodzin naszego

wybitego kompozytora. W TVP Historia oprócz „Legionów” i „Rozmów kontrolowanych” poszło „Ogniem i mieczem”, jako że Hoffman na podobne okazje pasuje jak ulał, nawet jeszcze bardziej – choć to wydaje się nieprawdopodobne – niż Bareja.

W TVN i Polsacie świętami majowymi nikt się specjalnie nie przejmował. Na Wiertniczej będą je obchodzić dopiero po upadku reżimu, a na razie muszą wystarczyć „Kuchenne rewolucje”, „Ugotowani w parach” i „Doradcy smaku”. Polsat ma swoje „Trudne sprawy”, ale tego, że mocno trzyma rękę na pulsie współczesności, dowiódł, transmitując mecz o Puchar Polski między kopaczami Legii Warszawa i Rakowa Częstochowa, co zapewne sprawiło naród w ekstazę.

A skoro o sporcie mowa, to warto odnotować zachowanie ukraińskiej tenisistki Łesi Curenko, która po, niestety, przegranym pojedynku z Darią Kasatkina przeszła obok Rosjanki niczym koło zbuka, oszczędzając sobie okolicznościowych podziękowań i gratulacji. Tak że ci wszyscy, którzy nie mogą się doczekać powrotu w dni majowe np. „Siedemnastu mgnień wiosny”, muszą uzbroić się w cierpliwość, a być może nigdy już to nie nastąpi. Chyba że osobnicy nazywający się lewicą sięgną po władzę, a wtedy i uronimy słowy nad „Balladą o żołnierzu”, i boki zerwiemy przy „Świat się śmieje”, a projekcja „Czapajewa” uwzniośli nas oraz nastroi do walki o lepsze jutro. I dopiero będzie w pytle. ©©

Kto wygra wojnę na Ukrainie?



Mariusz Dzierżawski

Finowie za niepodległość oddali 10 proc. terytorium kraju. Ukrainy taki scenariusz nie zadowala. Czy to słuszna postawa?

Wojna Rosji z Ukrainą nie może zakończyć się tak, jak zakończyła się druga wojna światowa dla Finlandii – powiedział ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski w wywiadzie dla skandynawskich mediów.

W roku 1944 czteromilionowa osamotniona Finlandia zawarła zawieszenie broni w wojnie ze Związkiem Sowieckim, w wyniku którego zachowała niepodległość, ale utraciła 10 proc. terytorium. Wcześniej Finowie, przygotowując się do spodziewanej wojny z Sowietami, umocnili Przesmyk Karelski i przez trzy miesiące wojny zimowej w latach 1939–1940 bronili umocnień, mimo wielokrotnej przewagi liczebnej i lepszego wyposażenia wroga. Po bohaterskiej obronie, wobec groźby zniszczenia armii fińskiej, głównodowodzący, marszałek Carl Mannerheim, zdecydował się na negocjacje z Sowietami. Uznał, że warto oddać 10 proc. terytorium, aby ocalić niepodległość. Wojna kontynuacyjna z lat 1941–1944, mimo zmiennego przebiegu, zakończyła się na takich samych warunkach. Jeśli spojrzymy na historię sąsiadów Związku Sowieckiego po drugiej wojnie światowej, to nie zobaczymy lepszej opcji niż fińska.

Prezydentowi Zełenskiemu jednak wariant fiński nie odpowiada. Przyjrzymy się więc sytuacji rządzonego przez niego państwa. Około 18 proc. terytorium

Ukrainy okupują wojska rosyjskie, a liczbę ludności na terytoriach okupowanych i liczbę uchodźców, którzy opuścili kraj, można oszacować na ponad 10 mln. Gigantyczne są straty gospodarcze Ukrainy. Produkt krajowy brutto spadł o 30 proc., a wskaźnik bezrobocia również wynosi 30 proc. Państwo jest w tej chwili bankrutem, całkowicie uzależnionym od pomocy z zagranicy.

Oczywiście na froncie może jeszcze wiele się wydarzyć, ale radykalne zmiany, a zwłaszcza całkowite zwycięstwo Ukrainy, jeszcze niedawno przepowiadane przez „ekspertów”, są mało prawdopodobne. Wprawdzie Ukrainę od wielu miesięcy zapowiadają kontrofensywę, która pozwoli odzyskać terytoria zajęte przez Rosjan po 24 lutego, a także Krym, ale te zapowiedzi stają się coraz mniej zdecydowane. Wojska atakujące powinny mieć zdecydowaną przewagę nad obrońcami, aby liczyć na sukces. Biorąc pod uwagę potencjał militarny i zdolności mobilizacyjne Rosji i Ukrainy, a także produkcję zbrojeniową obu krajów, uzyskanie takiej przewagi jest nierealne, nawet biorąc pod uwagę dostawy wojskowe z Zachodu. Ofensywa podjęta bez wystarczającej przewagi może zakończyć się katastrofą dla Ukrainy, z czego na szczęście zdają sobie sprawę jej przywódcy polityczni i dowódcy wojskowi.



FOT. ADBE STOCK

Rosja poniosła spore straty w ludziach i sprzęcie wojskowym, ale według ekspertów amerykańskich nie są to straty istotnie wpływające na potencjał militarny tego państwa. Według danych Ośrodka Studiów Wschodnich Rosja w roku 2022 odnotowała niemal dwuprocentowy spadek PKB, rekordową nadwyżkę obrotów bieżących, umocnienie kursu rubla wobec dolara i zmniejszenie o połowę długu zagranicznego. Wszystko to wskazuje na fiasko polityki sankcji i oderwanie od rzeczywistości prognozistów wieszczących załamanie gospodarcze w Rosji.

STAN WRZENIA

Zwycięstwo armii ukraińskiej jest nierealne, wariant fiński prezydentowi Zełenskiemu nie odpowiada. Jakie są więc inne scenariusze? Kształtujący politykę amerykańską neokonserwatyści mają na swoim koncie wiele akcji destabilizacyjnych. Wystarczy wspomnieć Irak, Syrię czy Libię. Wydają się z tych przedsięwzięć zadowoleni. Z punktu widzenia neokonserwatystów utrzymywanie stanu wrzenia u granic Rosji może się wydawać korzystnym rozwiązaniem. Co to oznacza



dla Ukrainy? Dalsze wykrwawianie narodu, postępujące niszczenie gospodarki, narastająca frustracja Ukraińców. Dla Polski oznacza to zwiększenie, a nie zmniejszenie zagrożenia ze strony Rosji i ryzyko rozlania wojny na nasz kraj.

Nasuwać się analogie z przywoływaną w kontekście rywalizacji amerykańsko-chińskiej wojną peloponeską. Tukidydes, oceniając przyczyny wybuchu tej wojny, pisał: „Otóż za najistotniejszy powód, chociaż przemilczany, uważam wzrost potęgi ateńskiej i strach, jaki to wzbudziło u Lacedemonczyków”. Do konfrontacji amerykańsko-chińskiej na razie nie doszło, widzimy za to na Ukrainie konfrontację amerykańsko-rosyjską. Wydaje się, że wypowiedzi na temat przystąpienia Ukrainy do NATO i dostępie do broni atomowej wywołały podobne obawy na Kremlu jak wzrost potęgi Ateńczyków u Spartan. Oczywiście nie chodziło im o potęgę Ukrainy, tylko Stanów Zjednoczonych i kontrolowanego przez Amerykanów NATO.

Skutkiem wyniszczającej wojny między Atenami i Spartą był upadek zaangażowanych w nią państw. Hegemonię

w Helladzie na kilkadziesiąt lat przejęły Teby, a po nich Macedonia. Wojny światowe, które były konfliktami wyniszczającymi przede wszystkim Europę, przyczyniły się do objęcia hegemonii przez Stany Zjednoczone, które bezpośrednio w starcia zbrojne zaangażowały się późno. Państwem, które w wyniku wojny na Ukrainie zyskało, są bez wątpienia Chiny. Podporządkowanie Rosji Stanom Zjednoczonym było z punktu widzenia Chin wielkim zagrożeniem. Chińczycy zapewnili więc Putina o swoim poparciu, ale zrobili to, starając się nie antagonizować innych uczestników konfliktu. Jednocześnie Chiny nawołują strony konfliktu do pokoju. Wizyta prezydenta Macrona jest ilustracją skuteczności tej polityki. Z nadzieją na pomoc w zakończeniu wojny do Chińczyków zwraca się nawet prezydent Zełenski, choć trudno mieć wątpliwości, że Pekin kibicuje Moskwie.

A JEŚLI WYGRA TRUMP?

Sytuacja może radykalnie się zmienić po wyborczym zwycięstwie Donalda Trumpa, który zapowiada, że zakończy wojnę na Ukrainie w jeden dzień. Gdyby

do tego doszło, sytuacja obecnych władz kijowskich stanie się bardzo trudna, bo odpowiedzialnością za wszystkie nieszczęścia trudno będzie nadal obwiniać Putina. Również politycy polscy, którzy prą do eskalacji wojny na Ukrainie, znajdą się w niezręcznej sytuacji. Biorąc pod uwagę obecną retorykę, taka zmiana wydaje się niemożliwa, ale Stany Zjednoczone wielokrotnie dokonywały „resetów” w relacjach z Moskwą.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej sprawie. Kiedy zimą 1939 r. Francja i Anglia proponowały Finom sojusz przeciw Sowietaom, Mannerheim zorientowawszy się, że sojusz będzie miał wymiar jedynie deklaracji, odmówił, aby nie antagonizować Niemców. Wielu polityków bierze deklaracje sojuszników za rzeczywistość. Płacą za to kierowane przez nich narody. Dzięki polityce opartej na trzeźwym spojrzeniu na sytuację marszałek Mannerheim uratował niepodległość Finlandii.

Kierowanie się emocjami i chciejstwem – zarówno w życiu prywatnym, jak i w polityce – prowadzi do klęski.

Potrzeba powołania partii suwerenności rysowała się już od dawna. Do naruszeń traktatowych praw Polski dochodziło coraz częściej, a wprowadzenie mechanizmu „praworządność za pieniądze” podważyło je całkowicie. Od tej pory korzystanie z suwerennych uprawnień Rzeczypospolitej zostało poddane „mechanizmowi warunkowości”. Może być wykonywane warunkowo, w granicach przyzwolenia władz Unii Europejskiej. To niejedyny aspekt rosnącego uzależnienia. Za zgodę na zaciąganie wspólnotowych długów czy nakładanie europejskich podatków na państwa płacić będą jeszcze nasze wnuki, gdy skończy się już rozwój sponsorowany, a zaczną się spłata odsetek od „sponsoringu”. Najwyższa pora, żeby Polsce wskazać kierunek przeciwny do realizowanych od lat „obowiązków dostosowawczych”.

Przekształcenie Solidarnej Polski w Suwerenną Polskę doskonale się więc wpisuje w tę potrzebę. Wyjaśnienia natomiast wymaga sprawa polityki, którą Suwerenna Polska podejmie. Istnieje bowiem obawa, że będzie się ograniczać do dość jałowej reprezentacji niezadowolonych wyborców PiS z decyzji PiS, do gestów służących poprawie ich wyborczego samopoczucia. Taka polityka może oczywiście mieć pewne, ograniczone konsekwencje praktyczne. Nawet polityka pozorowana wymaga działań, przynajmniej pozorowanych. Ale nie oznacza to jeszcze rzeczywistej walki o deklarowane cele.

Żeby to lepiej wyjaśnić, warto użyć porównania militarnego. Symbolem zaangażowania pozornego, udawania walki, której się nie prowadzi, stała się w naszej narodowej pamięci francuska drôle de guerre, „dziwna wojna” między jesienią 1939 a wiosną 1940 r. Francuzi bowiem, nudząc się w okopach, przez ponad pół roku (abstrahuję tu od miniofensywy w Zagłębiu Saary) czekali cierpliwie na niemieckie majowe uderzenie. W tym czasie odbywali oczywiście patrole, dochodziło do sporadycznych wymian ognia, w których zginęło kilkuset żołnierzy. Abstrahując od wojny – dla ich rodzin stanowiło to oczywistą tragedię. Ale dla losów wojny w 1939 r. i później nie miało istotnego znaczenia.

PROSTE AKTY SUWERENNE

Kongresy inauguracyjne czy konwencje denominacyjne mają oczywiście swoją

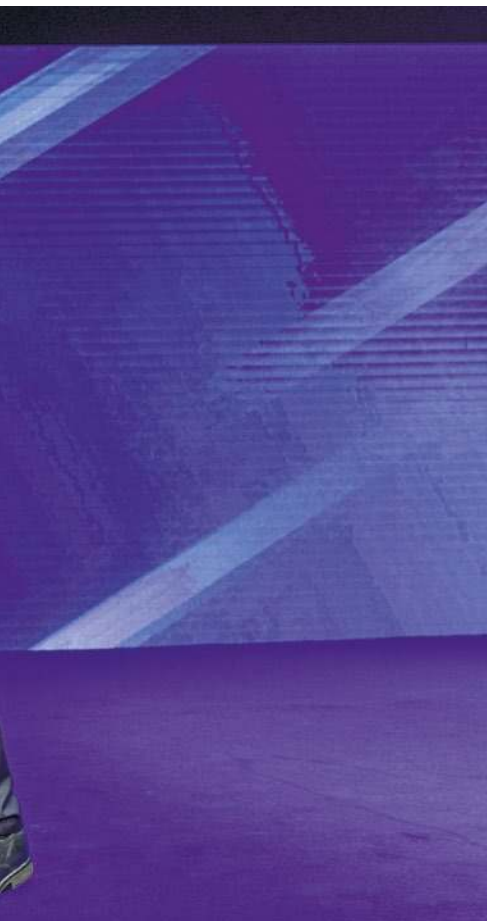


Suwerenna Polska i suwerenność Polski



Marek Jurek

Jaką politykę podejmie nowa partia Zbigniewa Ziobry?



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

wiele ustępstw – gdy w czasie debaty nad kolejnymi traktatami mówiły nie i wykazywały w pełni swe suwerenne możliwości. Najdalej idące ustępstwa mogła uzyskać Wielka Brytania, gdy zapowiedziała referendum na temat odejścia z UE, choć ostatecznie z tych ofert zrezygnowała – po prostu z Unii występując. Za każdym razem jednak początkiem były nie propozycje czy pytania o zgodę, ale po prostu zdecydowane akty suwerenności.

FUNDAMENT NASZEJ CYWILIZACJI

Na konwencji dużo było mowy o prawach rodziny, o wywrotowej polityce prowadzonej przez władze Unii Europejskiej. Mówiła o tym szczególnie minister Beata Kempa. Jej przemówienie bardzo przypominało jej wcześniejsze wystąpienia sejmowe przeciw konwencji stambulskiej, sprzed prawie 10 lat. Uświadamiała wówczas „pozytecznym idiotom” (których, jak stwierdzała, w naszym parlamencie „nie brakuje”), że genderowa konwencja ma „przede wszystkim na celu” „deprawację”, że „ma rozwalić wspólnotę i same pojęcia małżeństwa i rodziny”. Przed ostatecznym głosowaniem ratyfikacyjnym wzywała do odrzucenia „tego potworka legislacyjnego”, który „nie walczy z przemocą”, tylko „spełnia postulaty środowisk homoseksualnych”. A potem zapadła... amnezja. Jakiś czas potem zapytałam minister, gdy kierowała już kancelarią premier Szydło, kiedy nastąpi wypowiedzenie konwencji stambulskiej. Miałem jednak wrażenie, że moja rozmówczyni nie wie, o co chodzi. Co było, to było, ale teraz pora sobie przypomnieć.

Wypowiedzenie konwencji nie wymaga negocjacji, cudzej zgody, jest czystym aktem (a jednocześnie sprawdzianem) suwerenności. Nie trzeba też w tej sprawie nowej inicjatywy, bo Sejm już przeszło dwa lata temu rozpoczął (choć zaraz przerwał) prace nad społecznym projektem ustawy „Tak dla rodziny, nie dla gender”, upoważniającej prezydenta do wypowiedzenia konwencji stambulskiej. Pierwszy prosty krok to odbycie posiedzenia niezabierających się od dwóch lat komisji Sprawiedliwości i Zagranicznej, do których ustawę tę skierowano. Posłowie Suwerennej Polski należący do tych komisji powinni w tej sprawie podjąć niezwłoczne kroki proceduralne. A potem dalsze, dla ostatecznego przyjęcia ustawy.

Pozytywne działania, towarzyszące deratyfikacji, są jeszcze prostsze. Dwa lata temu premier Morawiecki powierzył Ministerstwu Sprawiedliwości (czyli „flagowemu” resortowi Suwerennej Polski) przygotowanie ostatecznego projektu Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny. Zobowiązanie do prezentacji konwencji na forum międzynarodowym znajduje się również w ustawie „Tak dla rodziny, nie dla gender”.

Rzecz ma kluczowy wymiar międzynarodowy. Naturalnym pierwszym adresatem prorodzinnej konwencji są kraje Unii Europejskiej, które nie chcą ratyfikować konwencji stambulskiej, a więc większość państw leżących między Łotwą a Bułgarią. Dobrym przykładem naszej autonomicznej współpracy z tymi krajami jest bukareszteńska dziewiątka, wzmacniająca pozycję i perspektywę Europy Środkowej na forum NATO. Dokładnie taką samą rolę na forum Unii Europejskiej mogłaby odegrać Międzynarodowa Konwencja Praw Rodziny (MKPR). Jeżeli nie chcemy, by Unia była narzędziem polityki gender, to sformujmy w Unii grupę państw chroniących prawa rodziny wbrew tej ideologii. Pokażmy, że nasze ustawodawstwa nie są wyjątkami zaprzeczającymi ogólnym standardom, ale przeciwnie – stanowią podstawowy model występujący w naszej części Europy. Trzeba tylko działać razem i mówić to głośno. To również wymaga po prostu inicjatywy narodowej i korzystania z suwerennych uprawnień Rzeczypospolitej. Zawarcie MKPR nie wymaga jakiegokolwiek zgody Niemiec czy Holandii, tak jak nie wymaga jej środkowoeuropejska współpraca na forum NATO albo jak – z drugiej strony – nie wymagało jej zawarcie układu akwizgrańskiego między Niemcami a Francją. Tymczasem zawarcie Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny, a nawet sama inicjatywa podjęta w tym kierunku, zasadniczo zmieni polityczno-kulturową mapę Europy, wzmacniając oczywiście naszą pozycję wewnątrz Unii Europejskiej.

POLSKA POLITYKA PRAW CZŁOWIEKA

Norwid pisał, że skoro tak często zagranica miała partię w Polsce, to czas, żeby Polska miała swoją partię za granicą. Oceniana bez przerwy Polska musi zacząć oceniać innych sama. Przy czym

poetykę. Minister Ziobro odrzucił „dalsze ustępstwa, bo te się zawsze źle kończą”, a minister Jaki wezwał, by „wywalczyć” zmiany traktatowe, i obiecał, że Suwerenna Polska „walczyć” będzie. Ale nie było jasne, na czym ta „walka” ma polegać. Traktaty unijne podlegają zmianie za zgodą wszystkich państw UE. Parę lat temu ich zmianę proponował Jarosław Kaczyński, co za sobą żadnych konsekwencji nie pociągnęło, bo przecież nie mogło. Do odrzucenia jednostronnych propozycji (których zresztą nie złożono), przyjmowanych przecież jednomyślnie, wystarczy sprzeciw prezydenta Macrona, premiera Ruttego czy któregośkolwiek z przywódców „liczących się” państw. Zgoda Unii to zgoda każdego z jej rządów z osobna. One nie będą się liczyć z naszymi postulatami i prośbami. Suwerenna polityka nie polega na negocjowaniu suwerenności, zgód, zezwoleń, polega na podejmowaniu suwerennych aktów.

Historia uczy, że takie akty z reguły państwom się opłacają. Wielka Brytania, Dania, Irlandia, Czechy uzyskały od Unii

nie chodzi o wygłaszanie pretensji, ale stanowczych, spokojnych ocen.

Kongres USA co roku prezentuje raport o przestrzeganiu praw człowieka w świecie. To element amerykańskiej soft power, z którym państwa się liczą. Nawet jeśli do niczego nie zmusza, to skłania do liczenia się z krytyką i jej unikania.

W sytuacji nagminnego łamania unijnej praworządności (nadużywanie władzy przez Komisję Europejską) i systemowego naruszania elementarnych praw ludzkich w państwach liberalnych (aborcjonizm, eutanazjonizm, pedoseksualizm) potrzebna jest metodyczna rejestracja tych przekroczeń i ich poważna krytyka. Spory prawne przed Trybunałem w Luksemburgu są potrzebne, ale w ostatecznym rachunku Polska tam jest poddawana arbitralnej ocenie. Niezależnie więc od tego, na planie narodowym, należy (zgodnie z apelami podnoszonymi od lat) powołać – w ramach sejmowej Komisji Sprawiedliwości albo Komisji Europejskiej – Podkomisję Praw Człowieka i Praworządności Europejskiej. Posłowie Suwerennej Polski w tych komisjach powinni z taką inicjatywą wystąpić. Zadaniem podkomisji byłaby stała rejestracja przypadków naruszania zasad podstawowych na terenie UE, przez jej instytucje i państwa, kierując się dwoma kryteriami – normami traktatów europejskich i wartościami, których uniwersalizm potwierdzamy w Konstytucji Rzeczypospolitej. Doroczne raporty, prezentowane przez marszałka Sejmu, powinny wskazywać naruszenia praw podstawowych i powinny jednocześnie być ważnym instrumentem kształtowania konserwatywnej opinii w Europie. A także notyfikacją naszego stanowiska w najważniejszych kwestiach społecznych.

Jeśli bowiem między Polską a władzami Unii Europejskiej istnieje stałe, strukturalne wręcz, napięcie, to Polska musi na forum unijnym wspierać środowiska, które mogą identyfikować się z polskim stanowiskiem na forum europejskim. Raporty o prawach podstawowych powinny kształtowaniu opinii tych środowisk służyć.

Dobrym przykładem podobnych konkretnych kroków są działania (tak krytykowanego zresztą w środowisku Suwerennej Polski) premiera Morawieckiego na rzecz

Czas odmrozić złożony w Sejmie projekt uchwały „w sprawie potwierdzenia złotego jako polskiej waluty”

zbliżenia narodowo-konserwatywnych środowisk w Europie. Oczywiście, że nie równoważy to bardzo poważnych koncesji, które Unii Europejskiej premier poczynił. Ale stanowi realny postęp, przełamanie ograniczeń wcześniej funkcjonujących w zewnętrznej polityce Prawa i Sprawiedliwości.

SUWERENNOŚĆ WALUTOWA

Trybunał Konstytucyjny w 2021 r. zaktualizował wcześniejsze, z okresu przystępowania Polski do Unii Europejskiej, orzecznictwo przypominające pierwszeństwo norm Konstytucji RP nad wszelkimi umowami międzynarodowymi. Ta zasada musi mieć polityczne konsekwencje. Konstytucji nie można traktować jedynie jako ramowych ograniczeń i regulaminu partyjnej walki o władzę, ale nadrzędny akt suwerenności państwa, definiujący kierunek jego polityki.

Jedną z kluczowych spraw, która do tego się odnosi, jest samodzielność walutowa, gwarantowana przez art. 227 Konstytucji RP. W tej sprawie potrzebna jest podwójna deklaracja władz Rzeczypospolitej. Po pierwsze – że w świetle obowiązowności tego artykułu władzom Rzeczypospolitej nie wolno składać żadnych deklaracji i podejmować żadnych przygotowywanych prac zmierzających do likwidacji waluty narodowej. Po drugie – że w świetle Konstytucji RP zapisy traktatu akcesyjnego w tej kwestii należy rozumieć jako stwierdzające stanowisko innych państw, a nie angażujące Polskę. Po trzecie – że sama unia walutowa (co najmniej od zawarcia paktu fiskalnego) z mechanizmu ułatwienia wymiany gospodarczej przekształca się w mechanizm kontroli polityki gospodarczej państw. Taka zmiana tym bardziej pozbawia aktualności wszelkie, nawet hipotetyczne, zobowiązania w tej dziedzinie. Z tych wszystkich względów Polska powinna formalnie wykluczyć rezygnację z suwerenności walutowej. Dopiero takie jasne (i samodzielnie podjęte)

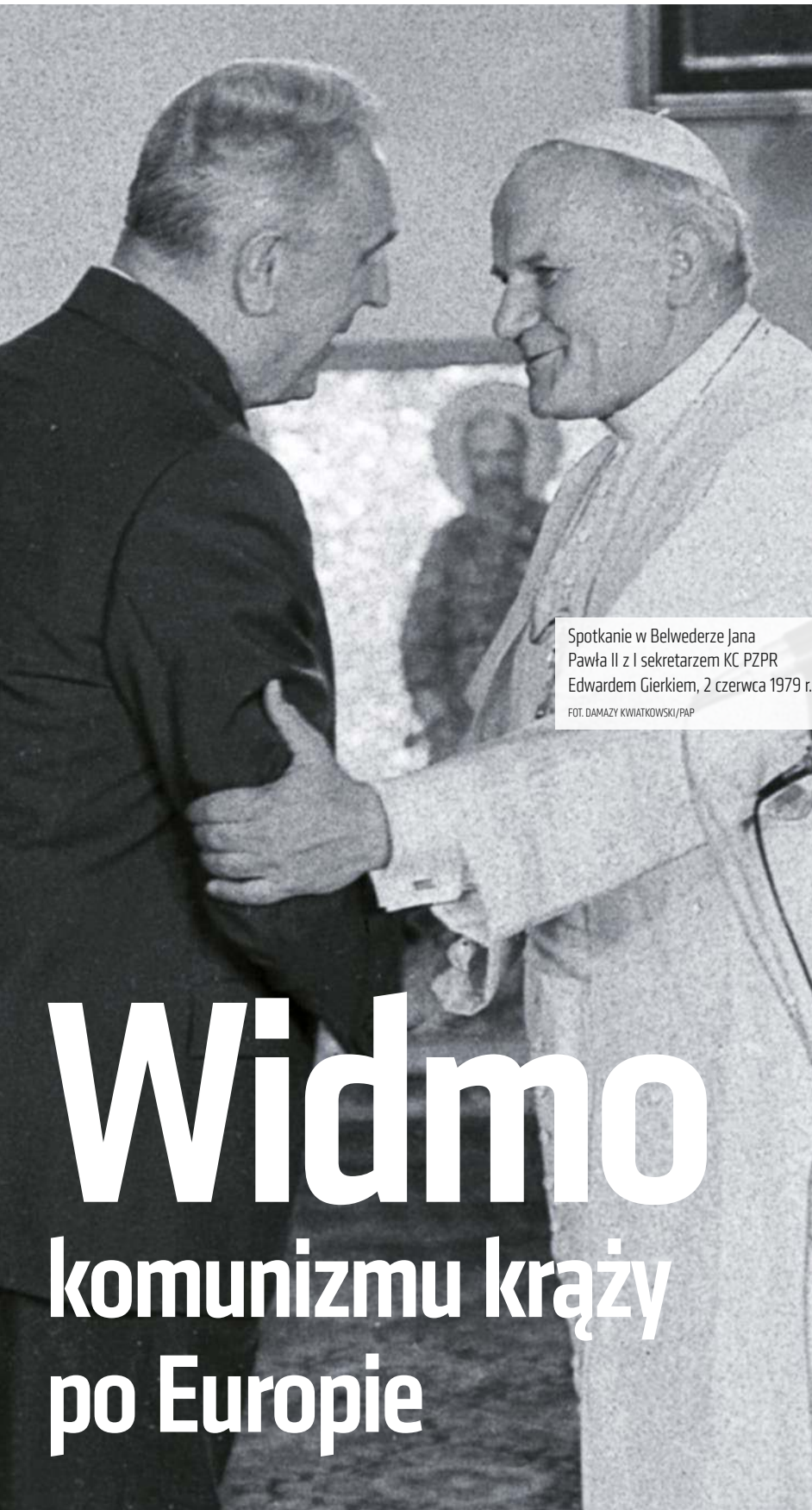
stanowisko Rzeczypospolitej umożliwiłoby konkretne wspólne działania państw zachowujących walutę narodową.

W przemówieniu programowym na temat polskiej polityki zagranicznej minister Zbigniew Rau mówił o prawie państw, które porzuciły walutę narodową, do jej przywrócenia. Tym bardziej należy przypomnieć o konstytucyjnym obowiązku jej zachowania w naszym kraju. Podstawą stanowisk prezentowanych na forum międzynarodowym jest zawsze ich realizacja we własnej narodowej polityce. Suwerenna Polska może wystąpić z projektem przyjęcia właściwego stanowiska przez rząd lub Sejm, a najlepiej wspólnie. Podstawą może być projekt Uchwały „w sprawie potwierdzenia złotego jako polskiej waluty”, złożony w Sejmie przeszło pięć lat temu. Wśród jego sygnatariuszy są zarówno obecni członkowie rządu (wiceminister Rzymkowski), jak i politycy Konfederacji (poseł Tyszką). Czas go odmrozić, tym bardziej że kadencja rządu dobiega końca. Ochrona waluty narodowej wymaga aktów, które będą angażowały każdy kolejny gabinet.

ARGUMENT FAKTÓW

Prawa rodziny, konserwatywna opinia w Europie, walutowy fundament suwerenności wymagają zachowania i umocnienia służących im instytucji i konkretnych działań Polski na forum międzynarodowym. W polityce najmocniejszym argumentem są fakty, dlatego właśnie je trzeba tworzyć. Państwo najpierw chroni lub tworzy instytucje, podejmuje akty, buduje dla nich poparcie zewnętrzne, a potem może – dzięki temu poparciu – wpływać także na stanowisko niechętnych sobie rządów. A zawsze łatwiej zabiegać o większość polityczną we własnym społeczeństwie niż o bezwyjątkowe stanowisko innych państw. Proponowane wyżej działania to parę konkretnych kryteriów, według których będzie można ocenić politykę Suwerennej Polski. Bo wszystko zaczyna się od konkretów. Jak uczy pogańska mądrość Hagakure – lekko można traktować wielkie słowa, ale „sprawy o niewielkim znaczeniu powinny być traktowane poważnie”. Ewangelia to uroczyscie potwierdza. „Kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny” (Łk 16, 10). Czegoż bardziej można życzyć tym, którzy zobowiązali się służyć suwerenności Rzeczypospolitej?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Spotkanie w Belwederze Jana Pawła II z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem, 2 czerwca 1979 r.

FOT. DAMAZY KWIATKOWSKI/PAP

Widmo komunizmu krąży po Europie



Sławomir Siwek

Atak w „Gazecie Wyborczej” i TVN w 2023 r. to nie ewenement, to kontynuowanie tej samej od wyboru Karola Wojtyły w 1978 r. na Stolicę Piotrową linii zapoczątkowanej przez komunistów

Ostatni atak na św. Jana Pawła II nie był tylko atakiem nienawiści w stosunku do papieża. To był wyraz trwającej przez wieki walki z Kościołem, szczególnie katolickim. Dwa, trzy ostatnie pokolenia były już świadkami ataków na pierwszych obywateli Państwa Watykańskiego, wspomnijmy trwającą lata walkę z dobrym imieniem Piusa XII. Nie najlepiej traktowano Benedykta XVI.

W czasach nowożytnych, o których pamięć jest żywa, nowy impuls, ideowy fundament, a następnie nowoczesne instrumenty dawali Marks, Engels, Lenin, Stalin i ich nieudolni uczniowie, tacy jak Goebbels czy współcześnie George Soros ze swoimi spekulacyjnymi pieniędzmi i z ideą „społeczeństwa otwartego”.

Dla Marksa zniszczenie kapitalizmu równało się rozkładowi dawnych idei. Dla Lenina religia to już rodzaj duchowej gorzałki. Flirtowanie z religią jest „niewypowiedzianą nikczemnością”; odkrywał Lenin nowoczesne instrumenty walki, mówiąc: „Ze wszystkich sztuk najważniejszy jest dla nas film...”. Stalin przeniósł idee na płaszczyznę praktyki. W latach 20. i 30. ubiegłego wieku poza filmem najważniejszym medium była prasa. W 1928 r. wydawana po polsku bolszewicka „Orka” donosiła o proboszczu, który miał jeździć do prostytutek w Kijowie. Publikowano nawet dokumentację fotograficzną. Innego księdza oskarżono o zamordowanie dzieci – własnych! Ale już w 1926 r. na ściśle tajnej naradzie Państwowego Zarządu Politycznego ujawniono, że GPU przygotowuje listy o własnych bezceństwach z księżmi rozpracowanymi i zwerbowanymi przez tę policję polityczną bolszewików.

Druga wojna światowa przeniosła idee komunistyczne do Europy. Teoretycznie do Łaby – praktycznie po Sekwanę i Tyber. W Polsce od początku wprzęgnięto w walkę z Kościołem prężące media: prasę, radio, film, a wkrótce telewizję. Prasę katolicką zlikwidowano. Drukarnie upaństwowiono. Pluralizm i wolność słowa rozumiano tak, jak dzisiaj rozumieją ci politycy, którzy postulują likwidację „nie naszej” telewizji i delegalizację partii politycznych odwołujących się do nauczania społecznego Kościoła.

TRUDNE POCZĄTKI

W 1948 r. ostatecznie w krajach zajętych przez imperium sowieckie zaprzestano demokratycznej gry pozorów. Komuniści zdawali sobie sprawę, że bez zniszczenia Kościoła hierarchicznego i zniszczenia religii nie wygrają. Po długim i brutalnym śledztwie w styczniu 1953 r., kilka miesięcy po śmierci arcybiskupa krakowskiego Stefana Sapiehy, rozpoczął się proces jego współpracowników. Miał ten proces m.in. zniszczyć auto-

który wzmacniał rezolucję swoim stanowiskiem, że księża krakowscy mogą się dopuścić każdej zbrodni, ponieważ „występują w interesie esesmanów, krzyżowców, falangistów...”. Maciej Słomczyński wprost żądał dla oskarżonych strychnicy. Zapadły w procesie kurii krakowskiej trzy wyroki śmierci.

Mylące jest wrażenie, zresztą umiejętnie podpowiadane przez tę samą formację ideową i umysłową publicystów i „naukowców”, że po 1956 r. komunizm stępił swe antykościelne ostrze. Gdy Kościół był potrzebny, bo strach przed gniewem ludu paraliżował PZPR – łagodności starczało w latach 1956–1959 i 1980–1984 – a do 1989 r. już nie zwracano sobie głowy sfingowanymi procesami, tylko po prostu szykowano kolejne „krótkie listy” i mordowano księży! Przypomnę nagonkę publikatorów na kard. prymasa Stefana Wyszyńskiego przy okazji obchodów tysiąclecia chrztu Polski w 1966 r., wcześniej wymiany listów między episkopatami Polski i Niemiec w 1965 r. czy to, co wyprawiano, przygotowując opinię

że można przełknąć i strawić prawdę o łajdactwach tego człowieka, a następnie nadal śpiewać peany na jego cześć” (Jan Hartman, magister Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, o Janie Pawle II).

PAPIEŻ PROBLEMEM

Widoczną oznaką prawdziwego stosunku komunistycznej władzy do Kościoła i Jana Pawła II były cyklicznie ponawiane akcje propagandowe w radiu, telewizji i prasie. Opinia publiczna nie dowiadywała się, że w opracowaniu KC PZPR „do użytku wewnętrznego” 30 czerwca 1983 r., po drugiej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski, informowano: „W związku z treścią homilii papieża wygłoszonej do wiernych w diecezji szczecińsko-kamieńskiej oraz tzw. apelem jasnogórskim i przemówieniem wygłoszonym do młodzieży złożony został ostry protest władz PRL. Przekazał go w Częstochowie w dniu 19.06.br. o godz. 8.30 rano kardynałowi F. Macharskiemu i arcybiskupowi B. Dąbrowskiemu minister A. Łopata w obecności ministra Kuberskiego i gen. Straszewskiego”. W tym samym opracowaniu odsyła się – jako do oficjalnej wykładni polityki władz – do artykułów atakujących Kościół i papieża w „Życiu Warszawy”, „Trybunie Ludu”, Polskiej Agencji Prasowej i wystąpienia rzecznika rządu Jerzego Urbana.

W czasie posiedzenia Komisji Wspólnej rządu i Episkopatu 20 grudnia 1983 r. strona kościelna mówi wprost, że widzi zmianę w polityce wyznaniowej państwa po pielgrzymce papieża w 1979 r. – w stosunku do okresu między nią a ogłoszeniem stanu wojennego. I przedstawia analizę artykułów prasowych. Arcybiskup Dąbrowski, sekretarz generalny Episkopatu, mówi m.in.: „Powstaje pytanie, czy ktoś tę linię łamie samowolnie, bo mechanizmy są różne, czy jest ona zaplanowana. To, co zdołałem zebrać na podstawie lektury, a nie jest to wszystko, wskazuje, że podjęto jakieś postanowienia, które miałyby przekreślić dotychczasową politykę wyznaniową. Ta linia, która się ujawnia, musiła skądś przyjść. Ujawnia się ona w krytyce Kościoła, na łamach takich pism jak »Rzeczywistość«, »Perspektywy«, »Ideologia i Polityka«, »Nowe Drogi«, »Rzeczpospolita«, »Trybuna Ludu«, »Gazeta Krakowska«, »Barwy«, »Prawo i Życie« i inne. Wciąż znajduje

Osoba Jana Pawła II od zaskakującego wyboru w 1978 r. – zarówno dla centrali w Moskwie, jak i filii partii komunistycznej w Polsce – stanowiła olbrzymi problem

rytet Księcia, gdyż inne metody zawiodły. Po raz pierwszy do walki z Kościołem, na taką skalę, użyto mediów (w czasach komunizmu zwanych bardziej trafnie „publikatorami”) oraz ludzi kultury. Do obsługi procesu przez partijną „Trybunę Ludu” skierowano Zygmunta Broniarkę i Karola Małcużyńskiego. Broniarek nazywał oskarżonych „wyrzutkami społeczeństwa”, a nakręcony w tym czasie film „Dokumenty zdrady” polecał jako tłumaczący milionom ludzi wierzących „ohydę metod imperializmu amerykańskiego, wykorzystującego religijne uczucia wielu wierzących...”

8 lutego 1953 r. Związek Literatów Polskich w Krakowie przyjął podpisaną przez 53 znane nazwiska rezolucję wyrażającą „bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny”... Wśród podpisanych m.in. Jan Błoński, Andrzej Kijowski, Wisława Szymborska, Sławomir Mrożek,

publiczną do zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki, a następnie ks. Kazimierza Janczara, Stefana Niedzielaka, Sylwestra Zycha...

Do dzisiaj wielu historyków i publicystów ocenia błędnie, że po ogłoszeniu stanu wojennego 13 grudnia 1989 r. panowały niemal idylliczne stosunki państwo – Kościół. Pojawiały się nawet określenia prymasa Józefa Glempa jako „ugodowca”, a nawet „zdrajcy Solidarności”. Skąd się zatem wzięło mordowanie księży? Dlaczego najwięksi dzisiejsi wrogowie Kościoła klęczeli przed biskupami, artyści i dziennikarze mieli z czego żyć, a w „kruchtach” dyskutowano, jak wyjść z klinczu w czasie, gdy widać było, że Solidarność słabnie? Skoro wówczas tak było, to dlaczego dzisiaj „jest odwrotnie – Kościół jest przeciw nam wszystkim [...]”. Czekam na stos i świętą inkwizycję” (Dorota Stalińska). „To zdumiewające,

się w tych pismach zamówione artykuły atakujące Kościół. Podnosi się zarzuty przeciw Kościołowi, zarzuty polityczne, a przykry jest artykuł w »Argumentach« nr 27/1983, mówiący o sojuszu krzyża i swastyki...”.

Arcybiskup przekazuje stronie rządowej pisemne, obszernie „Pro Memoria”. W nim znamienne oceny: „W prasie wypisuje się, że to było fanatyzowanie, że podniecanie młodzieży – i wychodzi na to, że papież przejechał tylko podburzać. Trzeba wyrywać chwasty. Rozpoczyna się walkę z przejawami religijności. Przemowny wpływ ma także Telewizja Polska w rozpowszechnianiu insynuacji przeciwko kościelnym instytucjom...”.

Rozdział II opracowania poświęcony jest zarzutom przeciw papieżowi. To kolejny dowód na to, że atak w „Gazecie Wyborczej” i TVN w 2023 r. to nie ewenement, to kontynuowanie tej samej od wyboru Karola Wojtyły w 1978 r. linii. W „Pokoleniach” E. Rafalski pisał, że papież „rozwija antykomunistyczną doktrynę Kościoła”. O sojuszu krzyża i swastyki pisze w „Argumentach” Z. Stachowski w tekście pt. „Brunatny konkordat”. W „Nowych Drogach” E. Sajdak-Michnowska oskarża, że „rozwinął program totalnej kurateli Kościoła katolickiego nad całością życia społecznego w naszym kraju”. To już krok także do dzisiejszych żądań zamknięcia Kościoła w zakrystiach i totalnego rozdziału Kościoła od państwa... A zatem pozbawienia wierzących praw politycznych. Delegalizacji partii, z których programem ideowym się utożsamiają. Co zresztą jest wyłożone wprost w artykule W. Zebiedzińskiego w „Rzeczywistości”: „Kościół wkracza w swych działaniach w dziedzinę pozareligijne”. I przez ministra Adama Łopatkę (szefa Urzędu ds. Wyznań w latach 1982–1987) w „Rzeczywistości”: „Występuje realna groźba wykraczania kultury wyznaniowej, zwłaszcza katolickiej, poza właściwe jej miejsce w kulturze narodowej...”. Które to miejsce jest właściwe – już nie wyjaśnia, bo to zwykle określała partia PZPR w zależności od potrzeb i mądrości etapu, jak powiadali...

Osoba Jana Pawła II od zaskakującego wyboru w 1978 r. – zarówno dla centrali w Moskwie, jak i filii partii komunistycznej w Polsce – stanowiła olbrzymi problem. Gdy fiaskiem zakończyła się akcja

W 1983 r. ówczesnie kapitan Piotrowski jedzie do Krakowa preparować pamiętnik sekretarki w ramach akcji tworzenia legendy o kochankach i nieślubnych dzieciach Karola Wojtyły

wyeliminowania papieża w zamachu w 1981 r., tak PZPR, jak Służba Bezpieczeństwa musiały z jednej strony, przy okazji każdej kolejnej pielgrzymki do Polski, stawać na głowie, by Ojcu Świętemu nic się nie stało – z drugiej strony obowiązywały wytyczne dyrektora wydziału IV Służby Bezpieczeństwa (walka z Kościołem) gen. Konrada Straszewskiego z 19 kwietnia 1979 r. nakazujące skrajne nasilenie działań operacyjnych, uruchomienie agencji, a wszystko po to, by ograniczyć wpływ papieża na społeczeństwo, podważać jego autorytet i rozbijać Kościół w Polsce od środka.

MISJA DZIENNIKARSKA...

Rozdzielono zadania. Otrzymali je także agenci pracujący jako dziennikarze. Generał Straszewski pisał: „Ukierunkować tajnych współpracowników i kontakty obywatelskie, aby w trakcie konferencji prasowych, wywiadów udzielanych dziennikarzom zagranicznym i rozmów z cudzoziemcami przejmowali inicjatywę prezentowania korzystnych ocen o sytuacji wewnętrznej w kraju, a szczególnie na odcinku polityki wyznaniowej”.

Skalę wykorzystywania własnych dziennikarzy i wpływu na media przez partię komunistyczną pokazuje „Ocena wizyty papieża w Polsce...” przygotowana po trzeciej pielgrzymce 24 czerwca 1983 r. przez Wydział Administracyjny KC PZPR. Ujawniono: „Przygotowania propagandowe do wizyty Jana Pawła II w Polsce rozpoczęte zostały pół roku przed planowanym terminem przyjazdu papieża” oraz: „W okresie poprzedzającym wizytę i w trakcie jej trwania pracował specjalny sztab kierowany przez tow. Jana Głowczyka realizujący zalecenia kierownictwa partii i przygotowujący wizytę od strony propagandowej”. Wydział Administracyjny zapewniał kontrolę partii nad służbami specjalnymi PRL. Stąd wysoka pozycja Głowczyka, który był członkiem Biura Politycznego PZPR.

Symbioza służb specjalnych ze światem mediów w wojnie z Kościołem stała się szczególnie widoczna w okresie przygotowawczym do zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki, czyli w okresie po trzeciej pielgrzymce Jana Pawła II. Do października 1984 r. Służba Bezpieczeństwa tworzy fikcyjny obraz przestępczej działalności księdza. Włamując się do jego mieszkania, podrzucają m.in. broń, przekazują przygotowane materiały rzecznikowi rządu Jerzemu Urbanowi, a ten pod swoim i zmyślonymi nazwiskami tworzy atmosferę, publikując artykuły, w których określanie księdza jako „organizatora sesji politycznej wściekliczny” należy do delikatnych. Zaczyna od artykułu pt. „Garsoniera ob. Popiełuszki” 27 grudnia 1983 r. Ostatni z cyklu artykułów i oświadczeń pt. „Seanse nienawiści” (tak nazywa Msze Święte odprawiane przez ks. Popiełuszkę) Urban publikuje 19 września 1984 r. 19 października 1984 r. grupa specjalna Służby Bezpieczeństwa pod kierunkiem Grzegorza Piotrowskiego morduje księdza.

W styczniu 1983 r. ówczesnie kapitan Piotrowski jedzie do Krakowa preparować pamiętnik sekretarki w „Tygodniku Powszechnym” w ramach akcji tworzenia legendy o kochankach i nieślubnych dzieciach Karola Wojtyły. Cel – doprowadzić do załamania rozmów władz z Sekretariatem Episkopatu Polski na temat kolejnej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny. W marcu 2014 r. w programie Moniki Olejnik „Kropka nad i” w TVN poseł Janusz Palikot, wówczas współpracujący ze zwolnionym z więzienia Piotrowskim, powtarza za esbecką fałszywką, że Karol Wojtyła miał nieślubne dzieci. Przygotowania do ataku na Jana Pawła II w toku...

Słowo „podziw” jest tu chyba nie na miejscu, ale zauważyć trzeba konsekwencję, elastyczność i zdolność przystosowywania się komunizmu do zmiany warunków funkcjonowania i pojawiających się nowych technik i technologii uprawiania własnej propagandy. Prania mózgów odbiorców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jedenaście chybień, czyli polemika ad personam



Agnieszka Bugała

Polemicznym manewrom pana Rafała Łatki przyjrzałam się z uwagą. Tym większą, że w moim artykule o odnalezionych pamiętnikach kard. Gulbinowicza nie wywołałam nazwiska żadnego z historyków, a w tekście polemiki moje nazwisko historyk wymienia aż 11 razy. Co ciekawe, za każdym razem lokuje je w kontekście, który, niestety, wymaga reakcji

Zarzuty, które padły ad personam, przemilczę. Ich nie stosowność dobrze opisuje drugi punkt Kodeksu etyki Polskiego Towarzystwa Historycznego przyjęty 26 marca 2021 r., który z pewnością pan Łatka zna. Zapisano tam m.in., że „naruszeniem zasad dyskusji są w szczególności takie działania, jak: atakowanie osoby zamiast sformułowanych przez nią tez, nieuzasadnione podważanie wiarygodności innego uczestnika debaty (np. przez przypisywanie złej woli lub niskich motywów), okazywanie pogardy i lekceważenia, świadome stawianie fałszywych zarzutów”.

Na te, które dotyczą uprawiania dziennikarstwa, odpowiem.

OSKARŻENIE O MANIPULACJĘ

Zdumiewa już lead polemicznego tekstu. Przytoczę go w całości, bo jest w nim kumulacja aż trzech zarzutów. „Odmowa wiedzy, brak umiejętności krytycznej oceny źródeł archiwalnych i celowe manipulacje: uwagi na temat tekstu Agnieszki Bugały: Nieznane pamiętniki kardynała odnaleziono” – pisze pan Łatka.

Manipulacja to „nieuczciwe wpływanie na cudze poglądy; naginanie, przeinaczanie faktów w celu osiągnięcia własnych korzyści” oraz „tendancyjna interpretacja faktów i danych w celu udo-

wodnienia swojej tezy, zwykle nieprawdziwej”. Taką definicję podaje „Słownik współczesnego języka polskiego” pod redakcją Bogusława Dunaja (Warszawa 1996, s. 995). „Celowe manipulacje” – o które oskarża mnie pan Łatka – jednoznacznie wskazują na to, że wyznaczyłam sobie za cel nieuczciwe wpływanie na poglądy Czytelników tygodnika „Do Rzeczy”, przeinaczając fakty po to, aby osiągnąć korzyści własne.

Mam nadzieję, że pan Łatka potrafi – nie mając dostępu do treści zapisków kard. Gulbinowicza – udowodnić, że w moim artykule to właśnie zrobiłam.

Chyba że na polu polemicznych manewrów mamy do czynienia z błędem leksykalnym, który normatywistyka językowa opisuje jako niezamierzone użycie wyrazu w niewłaściwym znaczeniu. Być może, zamiast manipulacji, miał pan Łatka na myśli selekcję informacji.

Rzeczywiście, dokonałam świadomej selekcji informacji zawartych w zapiskach. Zaprezentowałam je pod wybranym przez siebie kątem i odczytałam w wybranym kluczu. Tyle że w moim zawodzie selekcja informacji jest czynnością niezbędną, aby z obszernego materiału wybrać te fragmenty i ujęcia, które pozwolą – na określonych limitach znaków i miejscach łamach gazety – zaprezentować wycinek

z obszernego źródła materiału. Operatorzy kamer używają do tego kadrów. Dziennikarz prasowy powinien umieć pokazać – w jednym akapicie, a czasem nawet w jednym zdaniu – jak ktoś się modli albo jak popełnia przestępstwo.

Selekcja informacji jest jedną z podstawowych umiejętności wymaganych od dziennikarza. Zarzut manipulacji jest jednym z najcięższych, które można postawić dziennikarzowi. Często jest podstawą do podjęcia kroków prawnych, jeśli dobre imię dziennikarza zostało naruszone albo zniesławione.

ZARZUT „ODMOWY WIEDZY” I ANONIMIZACJI

Po 1989 r. historycy mogli, wreszcie, rozpocząć badania dramatycznych losów – społeczności, ruchów i pojedynczych osób – bohaterów i antybohaterów – naszego kraju i jego powojennej historii. Wielu, zwłaszcza tych, którzy przyczynili się do upadku reżimu komunistycznego, czekało na wyniki tych badań. W krótkim czasie okazało się, że badanie przeszłości, które tak pięknie definiuje wspomniany już Kodeks etyki Polskiego Towarzystwa Historycznego, w praktyce jest dużo trudniejsze. I tak pojawiło się w dyskusjach zjawisko „odmowy wiedzy”, uznane za jeden z zasadniczych problemów w procesie przemian ustrojowych w III RP. Nie sądziłam, że jako dziennikarka, a nie badaczka historii, będę musiała odpiąć ten zarzut. Z szacunku dla autora polemiki wyjaśnię.

Dziennikarz nie ma obowiązku zaprezentowania analizy wszystkich dostępnych materiałów na dany temat. Ma prawo dokonać – opisywanej już – selekcji informacji. Skorzystałam z tego prawa. Mój artykuł nie był publikacją naukową, był duchowym portretem kardynała, który po pierwszej



Co mówią zapiski kard. Gulbinowicza?



lekturze pamiętników i dzienników uznałam za ważny do zaprezentowania czytelnikom. Wyłączna znajomość źródła daje mi prawo do podjęcia takiej decyzji i dokonania selekcji informacji zawartych w odnalezionych zapiskach.

Anonimizacja wypowiedzi kardynała, zwłaszcza dotyczących osób żyjących, była moim zawodowym obowiązkiem. Ochrona dobrego imienia osób wymienionych w zapiskach przynależy do etyki mojego zawodu. Ta sama zasada obowiązuje zresztą historyków, o czym pięknie mówi przywoływany już Kodeks etyki.

„Poszanowanie godności osób przedstawianych za pomocą słowa, obrazu lub dźwięku wymaga uwzględnienia ich praw, w tym prawa do „ochrony życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia” (art. 47 Konstytucji RP) oraz szczególnie ostrożnego postępowania z danymi wrażliwymi. Ostrożność i delikatność należy zachować także przy pozyskiwaniu informacji od osób żyjących, traktując je z szacunkiem i nie nadużywając ich zaufania” – czytamy w punkcie trzecim.

ZARZUT WYBIÓRCZEGO ZAPREZENTOWANIA BIOGRAFII KARDYNAŁA

Artykuł o pamiętnikach kard. Gulbinowicza nie był i nie miał być nawet kompendium wiedzy na temat wrocławskiego hierarchy. Nie było też jego zadaniem konfrontowanie treści odnalezionych zapisków, czyli nowego źródła, ze znanymi już źródłami wiedzy o nim i opracowaniami na temat jego działalności. Nie nawiązywał nie tylko do publikacji pana Łatki i pana Musiała, lecz także do wcześniejszych dzieł historyków z Instytutu Pamięci Narodowej.

Artykuł był dziennikarskim portretem, nie kolejną biografią.

ZARZUT „BRAKU UMIEJĘTNOŚCI KRYTYCZNEJ OCENY ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH”

To bardzo cenna umiejętność, zwłaszcza w pracy badawczej, której – mam nadzieję – odnalezione zapiski kard. Gulbinowicza zostaną poddane. Zwłaszcza że – jak czytamy w Kodeksie etyki – „badanie przeszłości to praca zbiorowa, w której historycy opierają się na dokonaniach poprzedników i przedstawiają innym uczonym tezy do dyskusji. Tworzą społeczność przestrzegającą reguł i wyznającą wartości, które kierują ich postępowaniem w ustalaniu i upowszechnianiu prawdy”.

W mojej dziennikarskiej, jednoosobowej kwerendzie nieznanego dotąd źródła zastosowałam dziennikarską ocenę źródła archiwalnego. Krytyczna pozostałam specjalistom.

ZARZUT WYŁĄCZNOŚCI DOSTĘPU DO ŹRÓDŁA HISTORYCZNEGO

„Historycy czerpią wiedzę ze źródeł – różnego rodzaju zapisów i relikwów przeszłości. Poprawne odniesienie do nich jest podstawą nauki historycznej. Z tego powodu badacze dziejów chronią źródła

Po ukazaniu się artykułu na łamach „Do Rzeczy” skontaktowali się ze mną historycy. Pana Rafała Łatki wśród nich nie było

i zabiegają o jak najszerzy dostęp do nich, zwłaszcza do publicznych zbiorów archiwalnych, bibliotecznych i cyfrowych. Korzystanie z nich w celach badawczych powinno być zapewnione wszystkim historykom bezpłatnie i na równych zasadach” – czytamy we wspomnianym już Kodeksie etyki. Ta zasada jest niezwykle ważna, pozwala historykom, na równych prawach, czytać, oglądać, badać i wyciągać wnioski. Dobrze, by instytucje publiczne cieszyły się tak dużym zaufaniem, aby spadkobiercy cennych zabytków historycznych chcieli deponować w ich archiwach odziedziczone skarby.

O ile praca historyków – jak poucza Kodeks – „to praca zbiorowa”, o tyle dziennikarz bardzo często pracuje sam. W moim zawodzie wyłączny dostęp do źródła informacji, ochrona tego źródła i pierwszeństwo w poznaniu nieznanych dotąd dokumentów, odszukiwanie ich i opisywanie według zasad dziennikarskich jest istotą pracy, dowodem na skuteczność i sprawczość. Dowodem na zaufanie tych, którzy, na wyjątkowość, nieznanymi dokumentami przekazują.

„Godne poparcia są wszelkie działania służące ułatwieniu prowadzenia badań, w tym opracowywanie edycji źródeł, katalogowanie i opracowanie zbiorów, ich digitalizacja i udostępnianie w formie cyfrowej” – czytamy w Kodeksie.

I właśnie dlatego – choć nie uprawiam szlachetnego zawodu historyka – po otrzymaniu dzienników i pamiętników (obie formy zapisków występują w tym zbiorze) – odszukałam prawowitych spadkobierców dokumentów, którzy nie wzięli o ich istnieniu, i poprosiłam o rozważenie pomysłu przekazania zbioru wybranej instytucji badawczej. Jeśli zechcą to zrobić, to przyczynią się do „ułatwienia prowadzenia badań, w tym opracowywania edycji źródeł, katalogowania i opracowania zbiorów, ich digitalizacji i udostępnienia w formie cyfrowej”. Jeśli nie, to zbiór nigdy nie zostanie zbadany przez historyków.

Możliwość czytania zapisków kard. Gulbinowicza poczytuję sobie za zaszczyt. Jestem również wdzięczna historykom, którzy po ukazaniu się artykułu na łamach „Do Rzeczy” skontaktowali się ze mną, proponując fachową pomoc, gotowość podjęcia badań i krytycznej oceny tego bezcennego źródła. Pana Rafała Łatki wśród tych osób nie było.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Werbunek „łapu-capu”

Jakie były kryteria przyjmowania nowych osób do konspiracji? Brano wszystkich chętnych czy były ostre kryteria kwalifikacyjne? W tym temacie panuje ogromne zamieszanie, ponieważ po 1990 r. pękły wszelkie granice, a sądy administracyjne uznawały praktycznie wszystkie oświadczenia „świadków” jak leci, nie mając ku temu odpowiednich kwalifikacji.

Wyjaśnijmy zatem tę kwestię. Żołnierzem w II RP mógł zostać każdy, kto ukończył 18. rok życia i spełniał wymogi kwalifikacyjne (zdrowotne i moralne). Po klęsce 1939 r., gdy kilkaset tysięcy żołnierzy i oficerów dostało się do niewoli (niemieckiej i sowieckiej), powstające jak grzyby po deszczu struktury konspiracyjne o charakterze wojskowym musiały nieco obniżyć wymagania. Zgodnie z decyzją Naczelnego Wodza kryterium wieku zostało nieco obniżone – do 17 lat, przy dodatkowych wymaganiach (jak np. przydatność i predyspozycje). Były również dodatkowe zabezpieczenia – każdy nowo przyjęty do organizacji musiał mieć dwóch wprowadzających (już konspiratorów), którzy ręczyli zarówno za niego, jak i za jego rodzinę. Miało to na celu zaizolowanie się przed napływem elementu niepewnego i zdemoralizowanego. W miarę upływu czasu w niektórych przypadkach obniżono wiek nowo przyjętych do 16 lat, ale konieczna była wcześniej służba w harcerstwie

(Szare Szeregi, Hufce Polskie) i innych służbach pomocniczych. W zachowanych dość licznych wykazach żołnierzy na stanie plutonów i kompanii (ZWZ-AK, NOW i NSZ) nie ma dzieci do 15. roku życia. Podobnie było w BCH, które dysponowały przedwojennym zapleczem politycznym, w postaci różnych odłamów ruchu ludowego.

Natomiast niezwykle nowym elementem były struktury komunistycznej Gwardii Ludowej, od początku 1944 r. Armii Ludowej. Była to organizacja tylko nominalnie wojskowa, praktycznie nie dysponowała bowiem przedwojennymi oficerami. Była tworzona przez przedwojennych agentów NKWD i GRU (ci mieli odpowiednie przeszkolenie w Sowietach), ale byli nieliczni. Ponieważ konspiracja komunistyczna powstawała dopiero od 1942 r., trudno jej było pozyskiwać nowych członków, którzy przed wojną i podczas wojny obronnej służyli w wojsku, byli oni już bowiem wcześniej „zagospodarowani”. Ponadto olbrzymią przeszkodą było oblicze polityczne. Komuniści oparli się zatem na lumpenproletariacie (pospolitych bandytach), których werbunek odbywał się za pieniądze i za udział „w łupach”. Tak powstawały nawet ich „specgrupy”. Świadczą o tym ich własne dokumenty. Niekiedy jest w nich mowa wprost o metodzie werbunku... „łapu-capu”! ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Konflikt pokoleń na ekranie

W kultowym serialu „Czterdziestolatek” Jerzego Gruzy (premiera pierwszego odcinka 16 maja 1975 r.) był to jeden z wiodących tematów, gdyż państwo Karwowsky często nie mogli dojść do porozumienia z Jagodą i Markiem. Z reguły chodziło o syna, który potrafił jednego dnia dostać sześć ocen niedostatecznych z pięciu przedmiotów (szóstą z zachowania).

Kłopoty też miała Jagoda, która po kolejnej dwójce z geografii otrzymała od ojca ostrą reprymendę. W odpowiedzi następnego dnia nie wróciła ze szkoły o oznaczonej godzinie i przerażeni rodzice ruszyli na poszukiwania. Przy okazji dowiedzieli się, że dziewczyna jako córka dyrektora zaliczana jest do bananowej młodzieży, a to nie oznaczało – jak początkowo podejrzewali – że nosi spódnice w banany.

Jedną z najlepszych scen była natomiast wizyta u jej kolegi Jacka, z zamiłowania perkusisty. Chłopak grał na swoim ulubionym instrumencie i kompletnie zignorował Karwowskiego i własną matkę, którzy przekrzykując łomot bębnow, usiłowali z nim porozmawiać. Ciekawostką pozostaje to, że Mirella Olczyk wcielająca się w rolę Jagody zasugerowała, że w serialu powinna być dwójka z geografii, a nie z matematyki, jak proponowano. W szkole prześladowała ją bowiem nauczycielka

z tego przedmiotu (nie podołała się jej, że dziewczyna gra w serialu), dlatego też na kilku ujęciach z planu w tle widać rozłożone atlasy geograficzne, gdyż dziewczyna obawiając się srożej nauczycielki, uczyła się w czasie zdjęć...

Mało kto wie, że w serialową Jagodę wcielały się dwie dziewczynki. Przez pierwszych 13 odcinków grała ją Grażyna Woźniak, a potem zastąpiła ją Mirella. Pewnym problemem było jednak to, że dziewczynki różniły aż 12 cm wzrostu i operatorzy musieli odpowiednio ją filmować, by widzowie tego nie zauważyli.

Olczyk studiowała historię sztuki, natomiast serialowy Marek (Piotr Kąkolewski) został architektem – najwyraźniej problemy z nauką miał tylko na planie filmowym. Natomiast Grażyna Woźniak wyjechała na jakiś czas do matki przebywającej we Francji, potem jednak powróciła do kraju i obecnie wykłada w Centrum Europejskim UW.

Olę rolę Jagody starała się też Anna Kalata, późniejsza bizneswoman, posłanka i minister pracy i polityki społecznej w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Chociaż napisała do producentów długi list, to wybrano inną kandydatkę. Kalata powetowała sobie to po latach, gdy zagrała w... hinduskim filmie i wzięła udział w 12. edycji „Tańca z gwiazdami”. ©©

WIELKA WPADKA AKTYWISTÓW

W Berlinie aktywiści Ostatniego Pokolenia (czyli walczący o zatrzymanie zmian klimatu) wdarli się na lotnisko i pomalowali farbą mały samolot. Wydali też oświadczenie, w którym nazwali prywatne odrzutowce symbolami „nadmiernego luksusu”, za pomocą których „mniejszość bezlitośnie niszczy klimat kosztem większości”. Problem w tym, że sześciomiejscowy samolot Piper Aztec, który zniszczyli, był zabytkową maszyną odrestaurowaną przez prywatne osoby z Danii. Ta sama grupa wtargnęła wcześniej na tor Formuły E i przerwała okrażenie rozgrzewkowe. Formuła E to wyścigi elektrycznych, bezemisyjnych samochodów.

GOTUJESZ MIĘSO? ZAMKNIJ OKNO!

Pewna rodzina z Perth w Australii dostała nietypowy list od swoich sąsiadów wegan. W kopercie z napisem: „Proszę to potraktować poważnie” tkwiła nietypowa prośba. Weganie poprosili sąsiadów, by ci podczas gotowania mięsa zamykali okno. Ponieważ mięso jest „ohydne” i jego zapach przyprawia ich o mdłości.

JAK ZAŁATWIĆ NERKĘ W NIGERII

Nigeryjski polityk Ike Ekweremadu został skazany na dziewięć lat i osiem miesięcy więzienia. Skazana została też jego żona i lekarz. Wszyscy odpowiadali za próbę handlu ludzkimi organami. Były wiceprzewodniczący nigeryjskiego senatu i jego bliscy namawiali ulicznego handlarza z Nigerii na przyjazd do Wielkiej Brytanii. Obiecywali mu dobrą pracę. W zamian miał oddać nerkę dla chorej córki Ekweremadu.

SCHRÖDER NA DNIU ZWYCIĘSTWA

Były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder wziął udział w przyjęciu z okazji Dnia Zwycięstwa w rosyjskiej ambasadzie w Berlinie. Według niemieckich mediów był tam widziany razem z politykami partii Alternatywa dla Niemiec i skrajnie lewicowej partii Linke.

WYBURZYLI ŚCIANĘ, BY ZABRAĆ JĄ DO SZPITALA

W miejscowości Stenay we Francji służby (strażacy i policjanci) musieli wziąć udział w nietypowej akcji. Mieszkającą tam 62-letnią Amerykankę trzeba było przewieźć do szpitala. Jednak ratownicy medyczni byli bezradni – kobieta waży 391 kg. W akcji wzięło udział 60 osób i konieczne okazało się wyburzenie ściany domu. Ratownicy musieli też skorzystać ze specjalnej karetki pożyczonej od Belgów. ©

Łukasz Zboralski



FOT. TWITTER / @GREENSHOT/LEZE GENERATION



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polowanie na czarownika

Lawa przysięgłych w Nowym Jorku uznała w ubiegłym tygodniu, że Donald Trump jest winny seksualnego wykorzystywania i zniesławiania 79-letniej obecnie amerykańskiej pisarki E. Jean Carroll. I chociaż sama zainteresowana nie pamięta nie tylko dokładnej daty traumatycznego przeżycia, lecz także nawet dokładnego roku, w którym miało dojść do zdarzenia, a Donald Trump upiera się, że nie ma „absolutnie żadnego pojęcia, kim jest ta kobieta”, to ława przysięgłych i tak przyznała kobiecie 5 mln dol. odszkodowania.

Niewykluczone, że wyrok brzmiałby inaczej, gdyby był prezydent zamiast kolejnego raz narzekać na „największe polowanie na czarownice wszech czasów”, raczył pojawić się na sali sądowej i osobiście odeprzeć zarzuty. Być może zrobi to podczas apelacji. Ewentualna porażka w procesie cywilnym nie przekreśliła rzecz jasna możliwości startu Trumpa w wyborach w 2024 r. W czasach ogromnej polaryzacji zwolennicy obu stron są dość uodpornieni na nowe fakty.

Na razie sondaże pokazują, że większość Amerykanów źle ocenia rząd Bidena.

Z badań wynika, że z obecnym prezydentem w 2024 r. wygraliby i Donald Trump, i gubernator Florydy Ron DeSantis. W czasach, gdy wyborcy za oceanem borykają się z inflacją, ryzykiem recesji, kryzysem bezpieczeństwa, kolejne sprawy sądowe Trumpa nie będą ułatwiały prawicy realizacji planów odbicia Białego Domu i całego Kongresu. Przeciwnie: Trump może stać się największym obciążeniem republikanów. Ewentualna reelekcja Bidena może zaś oznaczać, że w groźnych czasach wybory znów wygra prezydent, który może nie dożyć końca drugiej kadencji. ©

Trans-Ameryka



Olivier Bault

Sprawa nowej „religii” transgenderyzmu będzie istotna w nadchodzących wyborach prezydenckich w USA

Transpłciowi Amerykanie kształtują duszę naszego narodu – oznajmił Joe Biden w tzw. Dniu Widoczności Osób Transpłciowych, którego obchody ustanowił właśnie na 31 marca każdego roku. Drugi po Johnie F. Kennedym „katolicki” prezydent w historii Stanów Zjednoczonych nazwał w październiku prawa stanowe ograniczające lub zakazujące procedury zmiany płci u nieletnich „oburzającymi” i „niemoralnymi”. Słowa te padły w czasie rozmowy na TikToku z gwiazdą społeczności transgender Dylanem Mulvaneyem. Mulvaney to mężczyzna, który zyskał sławę na tej chińskiej platformie dzięki codziennym opisom własnego procesu „tranzyjacji” na płęć żeńską w 2022 r. Choć nie przeszedł żadnej operacji

chirurgicznej, aby upodobnić swoje ciało do kobiecego, to stał się w tym roku nową twarzą Nike Women, reklamując najnowsze damskie legginsy i – ponoć superwygodny – biustonosz sportowej marki.

Wybór mężczyzny na modelkę przez markę Nike Women wywołał niemałe oburzenie wśród kobiet, lecz ten, kto kwestionuje dziś w Stanach kobiecość przebranych – względnie poddających się hormonalnej terapii i ewentualnie operowanych mężczyzn (lub męskość dziewcząt podających się za chłopców w podobnych okolicznościach) – naraża się na publiczne potępienie, obelgi i prze-moc fizyczną.

Pływaczka Riley Gaines doświadczyła tego rodzaju agresji na początku kwietnia

na Uniwersytecie Stanowym w San Francisco, gdy odważyła się krytykować przed studentami udział mężczyzn podających się za kobiety w kobiecych zawodach sportowych. Opowiadała o własnym doświadczeniu i doświadczeniu innych pływaczek, zmuszonych do nierównego współzawodnictwa z „pływakami” płci męskiej. Była gwiazda sportu akademickiego musiała zaraz po tych słowach zostać wyprowadzona z sali pod eskortą policji, podczas gdy rozwścieczony tłum krzyczał, że jest ona „piep..... transfobiczną k...”. Niestety, nawet obecność policji nie uchroniła pływaczki przed kilkoma ciosami, które zadał jej mężczyzna w spódnicę, pragnący udzielić jej przekonującej lekcji ze współczesnych zasad tolerancji i inkluzywności w duchu miłości LGBTIQ2S+.



Dylan Mulvaney zyskał sławę na TikToku, gdzie relacjonował swoją „tranzycję” na płeć żeńską (nie dokonał żadnej operacji). Został nową twarzą Nike Woman i reklamował m.in. biustonosze

FOT. CHELSEA GUGLIEMINO/GETTY IMAGES

Gaines nie zamierza jednak dać się zastraszyć i wciąż należy do tych, którzy głośno krytykują markę Nike Women za wybór mężczyzny do reklamowania kobiecych legginsów i biustonosza. „Nike dołącza do wydłużającej się listy firm, które uznają za dopuszczalne lekceważenie kobiet poprzez smutną kpinę z tego, co wiąże się z byciem kobietą” – stwierdziła w wywiadzie z „Daily Mail”. „Wiadomość, którą Nike wysłała do wszystkich dziewcząt i kobiet, jest taka, że mężczyźni mogą robić wszystko lepiej”.

BIAŁY DOM JEST ŚLEPY

Prezydent Biden i Białe Dobre, podobnie jak większość polityków Partii Demokratycznej, jakoś nie dostrzegają jednak radykalizmu i przemocy aktywi-

stów lobby transseksualistów i transgenerowców. Nawet po tym, jak 27 marca kobieta podająca się w mediach społecznościowych za mężczyznę zastrzeliła troje dorosłych i troje dziewięcioletnich dzieci w chrześcijańskiej szkole w Nashville, stolicy stanu Tennessee. Po tej masakrze zarówno prezydent Joe Biden, jak i rzeczniczka prasowa Białego Domu Karine Jean-Pierre potępili... rzekome ataki konserwatystów na transseksualistów – w postaci sugerowania możliwych antychrześcijańskich motywacji 28-letniej Audrey Hale. Niestety, manifestu i listu napisanych przed zbrodnią przez „transmężczyznę” władze ujawnić nie chciały. Jak podawały amerykańskie media, Hale była pod opieką lekarzy z powodu „zaburzeń emocjonalnych”.

„Prawica wykorzystuje strzelaninę w Nashville do podsycania antytransowej retoryki” – napisano w tytule „Washington Post” 30 marca, trzy dni po tragedii, w której zginęła m.in. córka lokalnego pastora Kościoła prezbiteriańskiego. W dniu strzelaniny w szkole w Nashville skrajnie lewicowa organizacja Trans Resistance Network (Sieć Oporu Trans) wydała oświadczenie przedstawiające „transpłciowego” sprawcę jako ofiarę społeczeństwa, w którym rzekomo takie osoby jak „on” są obiektem powszechnej nienawiści i padają ofiarą „ludobójstwa”. W Dniu Widoczności Osób Transpłciowych organizacja ta zamierzała zwołać protest zwany „Dniem zemsty trans” przed siedzibą Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Na plakacie opublikowanym z tej okazji Trans Resistance Network domagał się „zaprzestania ludobójstwa osób transpłciowych” w USA.

Oficjalne dane opublikowane w ubiegłym roku wskazują na dynamiczny wzrost liczby osób uważających się za transpłciowe w Stanach Zjednoczonych. Według najnowszych badań amerykańskich ośrodków kontroli i prewencji chorób (Centers for Disease Control and Prevention) w okresie od 2017 do 2021 r. osób transpłciowych w kategorii wiekowej 13–17 lat było 1,4 proc., 1,3 proc. w przedziale wiekowym 18–24 lata i 0,5 proc. wśród wszystkich dorosłych razem wziętych, co miałoby wskazać według lewicowych mediów i polityków na postępującą zmianę pokoleniową.

„New York Times” w czerwcu ubiegłego roku pisał: „Eksperci stwierdzili, że młodzi ludzie coraz częściej mają dostęp do odpowiedniego języka i zyskują akceptację społeczną, by odkrywać własną tożsamość płciową, podczas gdy starsi mogą czuć się bardziej ograniczeni. Jednak liczby, które różnią się znacznie w zależności od stanu, każą zadać pytanie o rolę wpływu rówieśników czy klimatu politycznego w danej społeczności”.

Tymczasem liczba amerykańskich nieletnich, którym postawiono diagnozę „dysfornii płciowej”, czyli zaburzenia tożsamości płciowej, wzrosła z 15 172 w 2017 r. do 42 167 w 2021 r. Niestety, wiąże się to często ze wczesnym podawaniem hormonów czy innych preparatów mogących powodować nieodwracalne skutki zdrowotne, jak np. bezpłodność. Cała ścieżka „zmiany” płci, która dla najmłodszych zaczyna się podawaniem leków blokujących proces dojrzewania płciowego, kończy się nieraz zabiegami chirurgicznymi bezpowrotnie okaleczającymi ciało.

OKALECZANIE DZIECI

Według prawniczki Polonii Castellanos, przewodniczącej stowarzyszenia Abogados Cristianos (Chrześcijańscy Adwokaci) – z którą w marcu rozmawiałem o nowym hiszpańskim prawie zezwalającym na procedury zmiany płci u nieletnich bez zgody rodziców – sprawa ma związek z biznesem podobnym do biznesu aborcyjnego, a często prowadzonym przez te same kliniki i organizacje. Na początku lutego w Stanach Zjednoczonych głośna – co najmniej w mediach prawniczych – była sprawa listu otwartego opublikowanego przez Jamie Reed, kobietę deklarującą lewicowe poglądy, której „mężem” jest „transmężczyzna”, czyli biologiczna kobieta „transpłciowa”. Reed pracowała w latach 2018–2022 w założonym w 2017 r. oddziale transpłciowości szpitala dziecięcego St. Louis przy Uniwersytecie Waszyngtona w stanie Missouri. Szpital ten jest uważany za jeden z najlepszych szpitali dziecięcych w USA. Jednak opis jego działalności dokonany przez Reed jako żywo przypomina słynny raport sprzed kilku lat z Wielkiej Brytanii, który doprowadził do zamknięcia kliniki zmiany płci Tavistock w Londynie.

„Sygnalistka” z St. Louis Children’s Hospital tak relacjonuje swoje

doświadczenie: „W ciągu czterech lat mojej pracy w klinice w charakterze osoby odpowiedzialnej za przyjmowanie pacjentów i nadzór nad nimi przez nasze drzwi przeszło ok. tysiąc młodych ludzi w trudnej sytuacji. Większość z nich otrzymała recepty na hormony, które mogą mieć konsekwencje na całe życie, w tym mogą powodować bezpłodność. Opuściłam klinikę w listopadzie ubiegłego roku, ponieważ nie mogłam dłużej uczestniczyć w tym, co się tam działo. Kiedy odeszłam, wiedziałam już z całą pewnością, że sposób, w jaki amerykański system medyczny traktuje tych pacjentów, jest zaprzeczeniem obietnicy, którą składamy, aby im »nie szkodzić«. Zamiast tego doprowadzamy do trwałych szkód na zdrowiu bezbronných pacjentów pod naszą opieką. Dziś zabieram głos. Robię to, wiedząc, jak toksyczna jest publiczna rozmowa wokół tej bardzo kontrowersyjnej kwestii i jak bardzo moje świadectwo może zostać niewłaściwie wykorzystane. Robię to ze świadomością, że narażam się na poważne ryzyko osobiste i zawodowe. Prawie wszyscy wokół mnie radzili mi, abym się nie wychylała, ale nie mogę z czystym sumieniem tego nie robić. Ponieważ to, co dzieje się z wielką liczbą dzieci, jest o wiele ważniejsze niż moja wygoda. A to, co się z nimi dzieje, jest moralnie i medycznie przerażające».

Dalej kobieta opisuje, jak od kilku lat lawinowo rośnie liczba dzieci, a zwłaszcza nastoletnich dziewcząt, które nagle odkrywają, że chcą należeć do płci przeciwnej i dla których wprowadzane są medyczne procedury „afirmacji” płci odczuwanej. Dziewczyny te, jak twierdzi Reed, bardzo często najwyraźniej cierpią na różnego rodzaju zaburzenia, związane np. z otyłością, depresją lub najczęściej autyzmem (podobne zjawisko ujawniono kilka lat temu w oficjalnym raporcie dotyczącym brytyjskiej kliniki Tavistock). Jednak by rozpocząć procedurę zmiany płci, wystarczy jedna opinia lekarza, który często jest wskazany przez sam szpital dziecięcy St. Louis i któremu podsuwane są do podpisu gotowe oświadczenia.

W przypadku dziewcząt – pisze Jamie Reed – „kolejnym etapem była jednorazowa wizyta u endokrynologa po receptę na testosteron. Kiedy kobieta przyjmuje testosteron, głębokie i trwałe efekty działania tego hormonu są



Transpłciowy Rachel Levine (po lewej) jest asystentem sekretarza zdrowia w administracji Bidena FOT. ADM RACHEL LEVINE/TWITTER

widoczne w ciągu kilku miesięcy. Głos staje się niższy, broda zaczyna kiełkować, tkanka tłuszczowa jest redystrybuowana. Wzmaga się zainteresowanie seksem, wzrasta agresja, a nastrój bywa nieprzewidywalny. Naszym pacjentom mówiono o pewnych skutkach ubocznych, w tym o bezpłodności. Ale po pracy w ośrodku doszłam do przekonania, że nastolatki po prostu nie są w stanie w pełni pojąć, co to znaczy podjąć decyzję o bezpłodności, będąc jeszcze nieletnimi”.

Aby chronić dzieci i młodzież przed takim oto sojuszem radykalnej lewicy z wielkim biznesem, coraz więcej stanów rządzonych przez republikanów zakazuje tego typu procedury dla nieletnich. To właśnie te zakazy „katolik” stojący na czele kraju – który nomen omen jest najbardziej radykalnym zwolennikiem nieograniczonego dostępu do aborcji prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych – nazwał „oburzającym” i „nie-moralnym” w rozmowie z „nową twarzą” Nike Women w październiku ubiegłego roku.

NOVA NIEBEZPIECZNA „RELIGIA”?

Pod koniec pierwszego kwartału tego roku zakazy obowiązywały już w 14 stanach na 50 (dziewięć wprowadziło je dopiero w tym roku). W ok. 20 innych stanach rozważane są w tej chwili podobne projekty ustaw zakazujących tego typu praktyk.

Po napadzie na pływaczkę Riley Gaines Tucker Carlson, wówczas dziennikarz telewizji Fox News, przestrzegał na antenie:

„Transgenderyzm jest najszybciej rozwijającą się religią w tym kraju. Jak wiele religii jej teologia zawiera nadprzyrodzoną transfigurację – moment, w którym osoba zostaje transmogryfikowana z jednej płci do drugiej. Konwertyci na tę wiarę porzucają swoje stare życie i przyjmują zupełnie nowe »ja«, ich dawne tożsamości już nie istnieją. To martwe imiona. Ale tu jest jedna wielka różnica, transseksualiści nie wierzą w monoteistycznego Boga. Wierzą, że sami są bogami, posiadając moc kontrolowania natury. Jeśli się nad tym zastanowić, to powinno to budzić niepokój, bo jest to przepis na ekstremizm”.

Już siedem lat temu w amerykańskiej prasie można było przeczytać opinie, według których „myśl o obecności męskich genitaliów w szatniach dla dziewcząt – i odwrotnie – może być dla niektórych niepokojąca, ale walka o równość zawsze polegała po części na przewyciężaniu dyskomfortu” (maj 2016 r., „Charlotte Observer”, słowo od redakcji). Wojna kulturowa, którą rozpętała amerykańska skrajna lewica (należy dziś do niej duża część Partii Demokratycznej) m.in. za pomocą ideologii gender, na pewno będzie ważnym tematem kolejnych wyborów prezydenckich. W samej administracji Bidena asystent sekretarza zdrowia „Rachel” Levine jest pierwszą „transpłciową” osobą na tak wysokim stanowisku i pierwszym mężczyzną w spódnicy w randze admirała sił zbrojnych. Po drugiej stronie mamy Donalda Trumpa, który jako prezydent podpisał kilka ważnych dekretych zwalczających „szaleństwo gender”. Drugim po Trumpie najbardziej prawdopodobnym kandydatem Partii Republikańskiej w przyszłych wyborach prezydenckich jest z kolei obecny gubernator Florydy Ron DeSantis. Był jednym z pierwszych, którzy wprowadzili u siebie stanowe zakazy procedury zmiany płci u nieletnich. Do tego, wzorem Viktora Orbána w Europie, zabronił indoktrynacji LGBT i gender w szkołach, a w odwecie za publiczne angażowanie się Disneya po stronie tego nowego totalitaryzmu gubernator pozbawił je korporację przywilejów podatkowych, którymi cieszył się należący do niej słynny park rozrywki w Orlando od wielu lat. Sam Donald Trump także obiecał, że jeśli zostanie ponownie wybrany na prezydenta, zakaże na poziomie federalnym wszelkich procedur „zmiany” płci u nieletnich.

© 2022 Wszelkie prawa zastrzeżone

Zachar (prawdziwe imię: Jewgienij) Prilepin, rocznik 1975, po wybuchu wojny w Donbasie zaangażował się po stronie prorosyjskich separatystów – najpierw z propagandowym piórem, następnie już z karabinem w rękę (choć złośliwi twierdzą, że częściej robił sobie selfie w okopach, niż naprawdę walczył) FOT. YAN MORVAN/SIPA/EAST NEWS



Maciej Pieczyński

Ranny w niedawnym zamachu Zachar Prilepin jest czołowym propagandystą imperializmu rosyjskiego, narodowym bolszewikiem, weteranem wojen w Czeczenii i Donbasie, a także wybitnym pisarzem

6 maja Prilepin wracał swoim audi Q7 z Donbasu do Moskwy. Po drodze zatrzymał się na chwilę we wsi Pionierskoje, gdzie mieszkają jego krewni. Tam wysiadła córka pisarza, która towarzyszyła mu w podróży. Gdy tylko samochód ruszył, nastąpił wybuch. Pasażer siedzący obok kierowcy zginął na miejscu. Był nim funkcjonariusz Rosgwardii i ochroniarz Prilepina Aleksandr Szubin ps. Złoj. Eksplozja rozerwała samochód na pół. Siedzący za kierownicą Prilepin przeżył cudem. W ciężkim stanie trafił do szpitala w Niżnym Nowogrodzie.

Już dzień po zamachu opisał na Telegramie całe zdarzenie. Bomba wybuchła pod kołem od strony pasażera. Według wersji, którą Prilepin miał usłyszeć od służb, był jeszcze drugi ładunek, ale zamachowiec się przestraszył i już po pierwszym wybuchu uciekł. Tylko to uratowało propagandystę. „Straciłem przytomność na trzy minuty, potem się ocknąłem i podczołgałem się do wybitej szyby” – relacjonuje Prilepin. Od razu przybiegli okoliczni mieszkańcy i pomogli mu wydostać się z auta, a sąsiadka zrobiła mu zastrzyk przeciwbólowy. Jak poinformował sam poszkodowany, ma „złamane dwie nogi (jedno złamanie otwarte) i coś tam jeszcze”. 9 maja gubernator obwodu niżnonowogrodzkiego umieścił w Internecie nagranie wideo, na którym ranny Prilepin na szpitalnym łóżku słabym głosem składa swoim „przyjaciołom i rodakom” życzenia z okazji Dnia Zwycięstwa.

Domniemany sprawca został błyskawicznie zatrzymany. Trzydziestoletni Aleksandr Permiakow przyznał się do winy i zeznał, że działał na rozkaz SBU.

Pisarz z karabinem

■ Permiakow urodził się na Ukrainie, ale walczył w szeregach separatystów. Był więc towarzyszem broni Prilepina, który też służył w tzw. Donieckiej Republice Ludowej. W 2018 r. Permiakow miał zostać zwerbowany przez SBU. Jednak aż do wybuchu pełnoskalowej wojny mieszkał na Ukrainie. W marcu 2022 r., nie wiadomo w jakich okolicznościach, trafił do Rosji, do swojej siostry, która mieszka w Petersburgu. Oprócz Permiakowa poszukiwany jest jeszcze drugi sprawca. Sam Prilepin ze szpitalnego łóżka, za pośrednictwem swojego biura prasowego, oznajmił, że już w 2017 r. „ukraińscy dywersanci” planowali jego fizyczną likwidację.

WIĘCEJ ZAMACHÓW

Zamach na znanego propagandystę stał się pretekstem do gniewnych wypowiedzi przedstawicieli Kremla. Maria Zacharowa obarczyła odpowiedzialnością Stany Zjednoczone, które zrobiły z Kijowa swoją „komórkę terrorystyczną”. Dmitrij Miedwiediew zasugerował, że choć w Rosji nie wykonuje się oficjalnie kary śmierci, to w więzieniu skazanym może się przytrafić „nieszczęśliwy wypadek”. Do zamachu przyznał się ruch Ukraińców i Tatarów krymskich Atesz, który już w styczniu miał wydać wyrok na pisarza i rozesłać swoim agentom 5 tys. wiadomości z rozkazem jego wykonania.

skim wymysłem Ponomariowa, któremu marzy się rewolucja w Rosji, Atesz zaś to prawdopodobnie wytwór propagandy Kijowa.

Faktem jest, że zamach na Prilepina nie jest pierwszym tego typu atakiem na rosyjskiego propagandystę wspierającego „specjalną operację wojskową”. W sierpniu 2022 r. w wyniku wybuchu samochodu pułapki zginęła publicystka Daria Dugina, córka znanego filozofa. Niewiele ponad miesiąc temu w petersburskiej kawiarni, podczas swojego wieczoru autorskiego, wyleciał w powietrze bloger Władlen Tatarski. Za każdym razem użyto ładunków wybuchowych na terenie Rosji. Nie ma jednak żadnej pewności, czy propagandyści byli celem SBU czy może ofiarami wewnętrznych porachunków.

OGNIEM I SŁOWEM

Zachar (prawdziwe imię: Jewgienij) Prilepin, rocznik 1975, po odbyciu służby wojskowej studiował na akademii MSW, by następnie wstąpić do OMON, czyli jednostki specjalnej w ramach Rosgwardii. Walczył na froncie dwóch wojen czeczeńskich, w tym czasie studiując filologię. W latach 90. zaangażował się w działalność antysystemowej Partii Narodowo-Bolszewickiej (PNB, zdelegalizowanej w 2007 r.), która wyznawała komunizm, nacjonalizm, anarchizm, imperializm, występowała przeciwko

Swoją postawę do Putina zmienił radykalnie po aneksji Krymu. Podobnie jak wielu innych narodowych komunistów, którzy wcześniej uważali następcę Jelcyna za kontynuatora polityki uległości wobec Zachodu i złodziejskiej oligarchii, teraz docenił próbę odbudowy imperium. Przed aneksją pracował w mediach opozycyjnych – „Nowej Gazecie” czy telewizji Dożdż; prowadził też portal Swobodnaja Pressa. Po aneksji Kreml otworzył się na narodowych bolszewików i generalnie każdego, kto popierał hasło „Krym nasz”. Prilepin zaczął więc karierę w mediach państwowych. W telewizji NTV prowadził autorski program „Lekcje rosyjskiego”, w którym przedstawiał swój – narodowo-bolszewicki – pogląd na różne wydarzenia i postaci historyczne. Zabył się też jako gwiazda skrajnie nacjonalistycznej telewizji Tsargrad, formalnie niezależnej, prezentującej punkt widzenia „na prawo” od Kremla. Prilepin miał tam swój talk-show „Czaj s Zacharem”, czyli „Herbatka z Zacharem” (gra słów – „sachar” to po rosyjsku cukier).

Po wybuchu wojny w Donbasie zaangażował się po stronie prorosyjskich separatystów – najpierw z propagandowym piórem, następnie już z karabinem w rękę (choć złośliwi twierdzą, że częściej robił sobie selfie w okopach, niż naprawdę walczył). Do tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej trafił jako korespondent wojenny, publikujący w rosyjskich mediach. Niedługo potem przeniósł się do Doniecka. Tam został doradcą szefa tzw. Donieckiej Republiki Ludowej (DNR), Aleksandra Zacharczenki. Objął też stanowisko zastępcy dowódcy batalionu w wojskach specjalnych DNR. Dowódcą był działacz partii Inna Rosja (dawna PNB). W 2018 r. wstąpił do Frontu Narodowego – koalicji ugrupowań prokremlowskich. Za to został wykluczony z Innej Rosji, która popierała Putinowski imperializm, ale niekoniecznie samego Putina. Obecnie jest jednym z liderów partii Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę, pełniącej rolę koncesjonowanej przez Kreml opozycji głoszącej hasła socjalistyczne, antyliberalne i patriotyczne.

Prilepin to również jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy rosyjskich. Czołowy przedstawiciel „nowego realizmu”, który ukształtował się w kon-

Wiele o poglądach politycznych pisarza mówi też jego stosunek do historii. Prilepin chwali komunistów za industrializację, modernizację i zwycięstwo nad faszyzmem. Uważa bolszewizm za zjawisko z gruntu rosyjskie. Jest wielbicielem zarówno Lenina, jak i Stalina

Odpowiedzialność za próbę likwidacji Prilepina wziął na siebie też przebywający w Kijowie rosyjski opozycjonista Ilja Ponomariow. A dokładniej – ogłosił, że zamachu dokonała podziemna Narodowa Armia Republikańska (NAR), której jest politycznym patronem. Wcześniej na tej samej zasadzie Ponomariow „przyznawał się” do zabicia Darii Duginy. Jednak ani Atesz, ani NAR nie przedstawiły żadnych dowodów nie tylko na udział w zamachu, lecz także nawet na swoje istnienie. NAR jest najpewniej PR-ow-

demokracji i kapitalizmowi (zarówno w ich karykaturalnym, jelnynowskim wydaniu, jak i w zachodniej, oryginalnej wersji). W 2007 r. wspólnie m.in. z Aleksiejem Nawalnym założył ruch narodowo-demokratyczny Narod (ros. lud, naród). Trzy lata później podpisał się pod listem otwartym, pod hasłem „Putin musi odejść”, który zyskał poparcie opozycji ponad podziałami politycznymi od prawa do lewa. Przekonywał wówczas, że Rosja potrzebuje wolności politycznej i niezależnych mediów.

trze do odrealnionego postmodernizmu. W swojej najbardziej znanej powieści pt. „Sańkja” opisuje historię młodego rewolucjonisty, który niczym narodowy bolszewik walczy z niesprawiedliwością społeczną panującą w postsowieckiej Rosji. Potrafi jednak tylko niszczyć, nie ma pomysłu, jak powinna wyglądać lepsza przyszłość kraju. Spektakl na podstawie powieści wystawił Kirill Sieriebrennikow, słynny, niezależny reżyser o poglądach raczej liberalnych i prozachodnich, represjonowany przez władze. Prilepin pisał też opowiadania o wymieraniu rosyjskiej prowincji będącej ostoją tradycyjnych wartości. Przełał na papier również swoje frontowe doświadczenia. Jego debiutanka powieść „Patologie” (2004) była poświęcona wojnie w Czeczenii. Prilepin skupiał się na psychologii bohaterów, którzy bardziej przeżywają strach przed śmiercią niż patriotyczne uniesienie. Zabijają, żeby sami nie zginąć.

Natomiast już w utworach na temat wojny z Ukrainą „nowy realista” stał się zaangażowanym propagandystą. Swoją donbaski szlak bojowy opisał w autobiograficznej powieści „Niektórzy nie pójdą do piekła”, w której występuje jako on sam. Kreśli w niej obraz twardych, dzielnych, szlachetnych separatystów, którzy może i zdradzają swoje żony, ale za to, gdy podczas bitwy przypadkiem zabiją kozę rolnikowi spod Doniecka, oddają mu za nią pieniądze. Przy czym oddają na rozkaz Zachara – główny bohater, narrator i porte-parole autora w jednej osobie jest równie twardy, dzielny i szlachetny. Prawdziwym kultem jednostki Prilepin otacza jednak Zacharczenkę, którego przedstawia jako nieustraszonego „ojca narodu”. „Naród Donbasu” walczy z pobudek ideowych, korzystając ze wsparcia „wielkiego północnego sąsiada”. Niestety, pomoc Rosji jest ograniczona i niewystarczająca, za co Prilepin ostrożnie krytykuje „imperatora”.

PODZIWI DLA STALINA

Wiele o poglądach politycznych pisarza mówi też jego stosunek do historii. Prilepin chwali komunistów za industrializację, modernizację i zwycięstwo nad faszyzmem. Uważa bolszewizm za zjawisko z gruntu rosyjskie. Jest wielbicielem zarówno Lenina, jak i Stalina. To go różni od Putina, który pierwszego

uważa za szkodnika, bo „założył Ukrainę” (tworząc ukraińską republikę w składzie ZSRS), drugiego zaś ostrożnie chwali za pokonanie Hitlera. W jednej z „Lekcji rosyjskiego” Prilepin twardo bronił Lenina przed tego typu zarzutami, argumentując, że Lenin nie wymyślił ukraińskiej tożsamości, bo ta istniała już wcześniej (pisarz nie odmawia Ukraińcom prawa do narodowej odrębności, tylko do państwowej), a poza tym tylko „przestawiał meble w swoim domu”, nie mając pojęcia, że 70 lat później liberałowie doprowadzą do rozpadu tegoż domu po „szwach narodowych”. Putina wprost nie skrytykował, stwierdził natomiast, że mit o „Ukrainie

„Nadawcy” listu piszą też, że choć Stalin uratował ich przed komorami gazowymi, przelewając za nich krew Rosjan (liberałowie są więc Żydami), to „wąsatej suce” nie zamierzają okazywać wdzięczności. Gardząc dyktatorem, chwalią jednocześnie Zachód, który – według Prilepina – w czasie wojny z Hitlerem masowo współpracował. Ponadto, choć publicznie oskarżają Stalina o eksterminację ludu rosyjskiego, to tak naprawdę lud ten ich kompletnie nie interesuje. Tu Prilepin wyraził typowy dla neostalinistów antyelitaryzm, hołdujący zasadzie, że car i lud są zawsze dobrzy, bojarzy zaś zawsze źli i zasługują na czystkę.

W utworach na temat wojny z Ukrainą „nowy realista” stał się zaangażowanym propagandystą. Swoją donbaski szlak bojowy opisał w autobiograficznej powieści „Niektórzy nie trafią do piekła”

im. Lenina” został wymyślony przez liberałów, którzy chcieli z siebie zrzucić odpowiedzialność za rozpad ZSRS.

Prilepin nie neguje zbrodni stalinowskich, mimo to uważa Stalina za wielkiego modernizatora (bo za Stalina planowano już loty w kosmos) i patriotę rosyjskiego, który odtworzył Cerkiew prawosławną (w 1943 r. powołał patriarchat moskiewski) po to, aby posłużyła ona Moskwie jako narzędzie ekspansji imperialnej. Porównuje go nawet z Gandhim, który „również głosił potrzebę zwolnienia ludu” od „niewolniczej pracy”.

Z „ojcem narodów” związany jest przełomowy w karierze pisarza tekst. Po jego publikacji przestał być hołubionym przez liberalne salony literackie „wielkim pisarzem”, stając się w ich oczach stalinistą, antysemitą i nacjonalistą. Chodzi o „List do tow. Stalina”, napisany jakoby w imieniu „rosyjskiej społeczności liberalnej”, będący w rzeczywistości wymierzonym w nią pamfletem. Z kontekstu wynika następujący obraz. Liberałowie wyprzedali Zachodowi majątek narodowy, cały rosyjski przemysł zbudowany przez Stalina. „Okrety atomowe” zamienili na „drogie jachty”. Kupili piękne pałace, „jakich ty, ospowata pokrako, nigdy nie miałeś” (aluzja do rzekomej skromności Stalina).

Pisarz przy innych okazjach przedstawiał zresztą Stalina jako „ludowego mściciela”, który mordował elity partyjne, tak jak niegdyś powstańcy chłopscy wykańczali szlachtę. Sowietki dyktator to dla Prilepina uniwersalny „duch zemsty”. „Jeśli przyjdzie nowy Hitler albo nowy Bandera, to kogo wezwiecie? Kolumny LGBT?” – kpi narodowy bolszewik. Jego zdaniem, gdyby doszło do powtórki z drugiej wojny światowej, nawet rosyjscy liberałowie zatęskniliby za Stalinem. Prilepin przyznaje, że Stalin był zarówno wielkim zbrodniarzem, jak i twórcą potęgi ZSRS. Uważa jednak, że za stalinowskie represje Moskwa nie musi nikogo przeproszać, bo ofiarami stalinizmu byli jedynie Rosjanie (sic!).

Po 24 lutego 2022 r. Prilepin aktywnie poparł nie tylko inwazję na Ukrainę, lecz także rozprawę z tymi, którzy tej inwazji nie poparli. Przewodniczył pierwszemu spotkaniu Grupy Śledczej ds. Działalności Rosyjskiej, powołanej, by „oczyścić” kulturę rosyjską z przeciwników „specoperacji”, a nawet z symetrystów. Na czarnej liście Prilepin wpisał nawet szefową wydawnictwa, które publikuje jego książki. Pisarz jest więc godnym kontynuatorem tradycji stalinowskich – nie tylko w teorii, lecz także w praktyce.

Niemcy chcą wygrać wybory w Polsce?



Jan Bogatko

W Niemczech wszystkie wielkie stacje radiowe i telewizyjne służą aktualnemu rządowi w Berlinie. Teraz chcą też decydować o tym, co dzieje się za granicą, np. w Polsce



Media w Niemczech, niemal wszystkie lewicowe, nie mają dobrej opinii. Nie cieszą się też one społecznym poparciem. Pojawia się w Niemczech określenie Lügenpresse (prasa kłamie). I odnosi się ono nie tylko do gazet. Obejmuje także telewizję i radio. A nawet przede wszystkim. Inaczej, niż w Polsce (której zarzuca się, że nie wie, co to takiego wolność mediów) wszystkie wielkie stacje radiowe i telewizyjne są państwowe (publiczne, jak się je oficjalnie określa). Wszystkie służą (nawet, gdy twierdzą, że jest inaczej) aktualnemu rządowi w Berlinie.

Od zjednoczenia Niemiec zaufanie Niemców do mediów systematycznie maleje. Także w ostatnich latach nie było inaczej. Jak podaje Statista, portal statystyczny numer jeden w Niemczech, tylko w latach 2021 i 2022 zaufanie do mediów w Niemczech wyraźnie zmalało. O ile w 2021 r. wiarygodność radia, prasy i telewizji (co ciekawe, w tej właśnie kolejności) potwierdzało 58, 49 i 37 proc. konsumentów informacji, o tyle już w następnym – 2022 r. – odpowiednio 55, 46 i 32 proc.

Najbardziej zaufanie straciła telewizja. A jeszcze nie tak dawno temu nawet niewybredny widz dostrzegał różnicę między ARD (pierwszy program TV) i ZDF (drugi program TV). Teraz oba są wyraźnie zgłuchszaltowane, czyli na jedno kopyto. Nawet niewybredni widzowie skarżą się, że trudno znaleźć w tych programach odmienne naświetlenie omawianych tematów.

Przełomowym momentem był słynny wieczór sylwestrowy w Kolonii w pamiętnym roku 2015, u szczytu Willkommenspolitik Angeli Merkel. – Damy radę – stwierdziła kanclerz Angela Merkel (z CDU) na konferencji prasowej w Berlinie 31 sierpnia 2015 r., odpowiadając na pytanie dotyczące kryzysu migracyjnego (zwanego w Niemczech „uchodźczym”). Ten slogan, niebawem bardzo krytykowany, powtórzyła 14 grudnia 2015 r. na ogólnoniemieckim zjeździe CDU.

SYLWESTROWA DEZINFORMACJA

A w sylwestrową noc z 31 grudnia 2015 r. na 1 stycznia roku 2016 w Kolonii, przed katedrą, nieopodal Dworca Głównego, doszło do wstrząsających scen seksualnych napaści ze strony afrykańskich i arabskich młodocianych (stanowią oni większość tzw. uchodźców w Niemczech) na kobiety, w ich terminologii „niewierne dziwki”, w centrum wielkiego miasta. Na bezradną policję, która mimo wołania przerażonych kobiet o pomoc nie była w stanie uporać się z zaistniałą sytuacją, wpłynęło ponad 1,2 tys. powiadomień o dokonaniu przestępstwa. W końcu ustalono 290 sprawców, z których zaledwie sześciu skazano za napad seksualny.

Informacje spod katedry, od której w linii prostej 200 metrów dalej, przy Appellhofplatz 1, znajduje się gmach publicznego radia (i telewizji) WDR – Westdeutscher Rundfunk (po BBC największa stacja w Europie!) – płynęły jak

krew z nosa. Najpierw media milczały na temat incydentu, potem „informowały” wstrzemięźliwie i nieuczciwie. Wielu, także dziennikarzy niemieckich, uważało, że ta celowa dezinformacja była wynikiem spotkań z dziennikarzami przy drzwiach zamkniętych w Urzędzie Kanclerskim, podczas których zapadały decyzje o odpowiednim „informowaniu” konsumentów mediów w Niemczech.

Sprawa konferencji w Urzędzie Kanclerskim w Berlinie przy drzwiach zamkniętych (w kraju szczycącym się rzekomą wolnością prasy, ba, pouczającym innych o tym, co znaczy niezależność mediów) znalazła ciekawy (i symptomatyczny) epilog przed sądem. Po przeciągającym się niemal w nieskończoność procesie przed berlińskim Sądem Administracyjnym (VG) zapadł w listopadzie 2020 r. wyrok (akta sprawy: VG 27K34.17) nakazujący Urzędowi Kanclerskiemu zapewnienie „głazności” na temat berlińskich tajnych konferencji kanclerz Angeli Merkel z dziennikarzami. Orzeczenie zapadło w wyniku skargi stołecznej gazety „Tagesspiegel”. Wyrok nakładał na Urząd Kanclerski udzielenie informacji na temat poufnych, zakulisowych rozmów z roku 2016, zwłaszcza na tak kontrowersyjne tematy jak np. „kryzys uchodźczy”. Zgodnie z nim Merkel musi zająć stanowisko nie tylko na temat spotkań z dziennikarzami w Urzędzie Kanclerskim, lecz także i tych, na które była zapraszana przez dziennikarzy.

Zwycięstwo „glazności”? Prezes Niemieckiego Stowarzyszenia Dziennikarzy (DJV) Frank Überall z zadowoleniem powitał wyrok: „To dobre orzeczenie dla dziennikarstwa. W walce między zakulisowymi negocjacjami a przejrzystością zwyciężyła przejrzystość. To dobrze i mam nadzieję, że to pozytywnie wpłynie na Republikę Federalną”.

Żadnych marzeń, panowie! Sen o wolnych mediach skończył się trzęsawicą przebudzeniem. Wraz ze zmianą rządu w Berlinie wszelkie informacje na temat zakulisowych rozmów w Urzędzie Kanclerskim w epoce Merkel rozplynęły się w powietrzu – stwierdził z kolei Wyższy Sąd Administracyjny w orzeczeniu po rewizji poprzedniego wyroku. Jego zdaniem czasy się zmieniły. Teraz – uważa sąd – nie można już uzyskać konkretnych informacji na temat terminów, tematów i uczestników tajnych rozmów (tajnych, ponieważ dziennikarze biorący udział w herbatkach zobowiązywali się do poufności rozmów). Termin „TAJNE” należałoby pisać wielkimi literami, bo przecież informacje na ich temat nie występują w żadnych aktach Urzędu Kanclerskiego, brak jakiegokolwiek dokumentacji, a pracownicy urzędu też o nich nic nie wiedzą poza tym, że takowe miały miejsce. Do tego wszystkiego osoby, które mogły brać udział w tajnych rozmowach, przestały pracować w urzędzie po przegranych przez CDU/CSU wyborach. Teoretycznie można by o to zapytać Angelę Merkel, ale sąd od tego odstąpił. Urząd Kanclerski powinien być po wyroku pierwszej instancji z roku 2020 zabezpieczyć informacje o rozmowach, ale tego nie zrobił, bo powinien, ale nie musiał. Może je nawet zutylizował? Dziennikarze utrzymują, że na tych spotkaniach zapadały decyzje o tym, co należy, a czego nie należy publikować. Cenzura to przeszłość. Mamy wolne media!

KUPOWANIE DZIENNIKARZY

Przyjaźń rządowo-dziennikarska (coś w rodzaju tej za czasów Urbana w PRL) istnieje w Niemczech nadal. Kupowanie dziennikarzy to powszechna praktyka (także wywiad BND od lat płaci honoraria paniom i panom z mediów). Rząd nie chce jednak zdradzić wysokości honorariów, o nazwiskach nie wspominając. Dopiero wniesiona przez partię AfD (uważaną za skrajnie prawicową) interpelacja poselska zmusiła władzę do ujawnienia informacji

o tym, że przez ostatnie pięć lat wydała 1,5 mln euro na honoraria dla dziennikarzy. Smaczek polega na tym, że ponad połowa owych dziennikarzy pracuje w radiu publicznym (w tym w nadającej za granicą Deutsche Welle) i w znanych gazetach.

Chcąc nie chcąc, rząd na 20 stronach wymienił 200 dziennikarzy. Łatwo się domyślić, że nie wykazywali się zbytnim krytycyzmem wobec sponsorów. Uważny obserwator mediów publicznych i konsument gazet może ich wskazać z łatwością. Zwłaszcza przed wyborami, np. w Polsce. Wiceprzewodniczący współrządzącej w Berlinie partii FDP Wolfgang Kubicki (czytaj: „Kubiki”) na łamach tabloidu „Bild” uznał rządowy sponsoring dziennikarzy za problematyczny, trafnie stwierdzając, że w ten sposób sprowadza się do absurdu rolę dziennikarzy w demokracji (mają oni jego zdaniem kontrolować politykę, a nie jej służyć). Mało jednak prawdopodobne, by FDP odeszła z rządu, który Kubicki otwarcie krytykuje. Wiceprzewodniczący klubu poselskiego CDU/CSU Thorsten Frei w tej samej gazecie „Bild” zauważa, że uczestniczący w tym biznesie dziennikarze każą nam wątpić w ich niezależność. Wolne media? Wolne żarty!

inwestycji. Tylko same zdjęcia, ilustrujące materiał, wskazują na odbiorców bratniej pomocy: TVN24 i „Gazeta Wyborcza”. Deuse zalicza TVN24 i „GW” do „zagrożonych instytucji medialnych”. One to otrzymają „kredyt na wolność prasy w Europie Wschodniej”, współfinansowany przez lidera pomocy w walce o wolność i demokrację, George’a Sorosa. Przypomina to w epoce ZSRS finansowanie komunistycznego szmatławca we Francji, „L’Humanité”. Jednak nawet Sowieci nie byli wówczas tak arogancy, jak niemiecki bank i jego udziałowcy: Kreml zamieszczał w komunistycznym dzienniku ogłoszenia zegarków Poljot, a nie przelewał wprost pieniędzy na walkę „z reżimem”. Starszy doradca z tego banku – Max von Abendroth – szacuje wsparcie dla antyrządowych mediów na 100 mln euro.

Klaus Deuse sugeruje, jakoby ocena wolności prasy w Polsce i na Słowacji – to przecież mają być główni adresaci bratniej pomocy – pogarszała się w indeksie wolności mediów Reporterów bez Granic, lewicowej organizacji założonej w Paryżu. Taka jest wymowa śródtytułu: „W rankingu wolności prasy lecą na łeb na szyję”. To kłamstwo. Przeciwnie: pozycja Polski i Słowacji się poprawiła (Polski o 9 miejsc, Słowacji o 10).

Niemiecki bank GLS przeznaczy na rzecz wsparcia „niezależności dziennikarskiej w Europie Wschodniej” 100 mln euro. Pieniądze mogą trafić do TVN24 i „Gazety Wyborczej”

Klaus Deuse w Deutsche Welle (której wielu dziennikarzy korzysta z rządowego sponsoringu) pisze w roku wyborczym w Polsce o akcji Banku GLS (największy socjalno-ekologiczny bank w Niemczech, co podkreśla DW) na rzecz wsparcia dziennikarskiej niezależności w Europie Wschodniej. Czy chodzi o Ukrainę, Białoruś i Mołdawię? Nie. Deuse używa określenia „Europa Wschodnia” w sensie rasistowskim. Oznacza ono tyle, co rosyjska Europa, dawniej Ostblock (blok wschodni).

Artykuł to atak na Polskę, bo jej Deuse poświęca w swej agitce najwięcej miejsca. „Pieniądze są dla ludzi” – to slogan banku GLS. I całkiem bezinteresownie emituje on obligacje dla „finansowania wolności słowa” w Polsce i innych krajach, dając inwestorom 5 proc. rocznie przy 10-letniej

Słowacji wyprzedza w rankingu wolności nawet Niemcy! Zajmuje w tym zestawieniu miejsce 17., podczas gdy Niemcy 21. To Niemcy spadły w cytowanym rankingu „wolności” na łeb na szyję: o pięć pozycji. Czy nie należałoby im pomóc?

Jako przykład zniewolenia mediów rozmówca Deuse z holenderskiej organizacji Pluralis, której celem jest zgłajchszaltowanie mediów na liberalną modłę, podaje fakt wykupienia przez Orlen Polska Press Group z rąk niemieckiego wydawcy Passauer Neue Presse. Tymczasem aktywista Max von Abendroth zapewnia na łamach Deutsche Welle w cytowanym artykule, że „zwłaszcza w Polsce będziemy jeszcze aktywniejsi”. Na pewno przed samymi wyborami. Pieniądze na działalność zapewnione.



Łukasz Warzecha

Jan Śpiewak ogłosił nową krucjatę – przeciw reklamowaniu alkoholu. Jednak zakazywanie i cenzurowanie wszystkiego przez władzę, która chce myśleć za obywateli, doprowadzi nas do fatalnych rozstrzygnięć

Cytelnicy, którzy przeżyli jakiś czas w PRL, pamiętają z pewnością słynną godz. 13. Śpiewał o niej w latach 80. Shakin' Dudi, czyli Ireneusz Dudek:

*Wszyscy tu mnie znają, ja ich też
Odliczoną forszę lekko w rękę mnę
Przedemną trzydziestą, nie jest źle
Za 10 minut trzynasta [...]
Zapalam klubasa, ręka lekko drży
Och nie lubię czekać, słabo mi
Przyszli Staś i Maniek, oni mają gest
Ćwiczmy alpage, fajnie jest
Już za 5 minut trzynasta.*

Magiczna godzina 13 to był moment, kiedy zgodnie z PRL-owskim ustawodawstwem w sklepach można było rozpocząć sprzedaż alkoholu. Oczywiście w tych oficjalnych, bo na melinie u pani Jadzi handel odchodził cały czas, a bywało, że i milicjanci się zaopatrywali w gratisy w zamian za przymknięcie oka.

Socjalistyczne państwo było także państwem bardzo opiekuńczym, dbającym o dobrostan i zdrowie moralne swoich obywateli. Formalnie rzecz biorąc, bo jak było naprawdę – wiadomo. Częścią tej potiomkinowskiej wioski była pochodząca z 1982 r. Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi – klasyczny twór czasów gen. Jaruzelskiego, który wśród swoich licznych wad miał i tę, że uważał, iż państwo ma obywateli umoralniać. Po socjalistycznemu, rzecz jasna. Żeby było śmieszniej – ten akt stworzony za rządów gen. Jaruzelskiego cały czas obowiązuje. Oczywiście po wielu nowelizacjach. To na nim m.in. swoją działalność opiera jeden z pasożytów polskiego państwa, czyli Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych.



Wydawałoby się, że te czasy pożegnaliśmy szczęśliwie w 1989 r. Tymczasem dzisiaj można odnieść wrażenie, że coraz większa część Polaków tęskni za PRL-owskimi w swojej naturze zakazami i nakazami, a napędzaniem tego trendu zajmują się aktywiści i politycy, w tym obóz władzy, odpowiadając na oczekiwania własnego elektoratu.

STARY SCHEMAT

Odbывa się to zawsze według podobnego schematu, przypominającego do złudzenia metody działania z PRL właśnie: najpierw jest identyfikacja problemu, często zresztą wyolbrzymionego albo wprost wymyślnego, potem następuje ogólne wzmoczenie, a następnie masowo zaczynają pojawiać się pomysły na uregulowanie sprawy poprzez zakazy lub nakazy.

Kilka miesięcy temu republikanie – partia satelitarna wobec PiS, kierowana przez Adama Bielana – zaproponowali nowelizację Ustawy o zdrowiu publicznym, która zakazywałaby sprzedaży napojów energetycznych osobom poniżej 18. roku życia, a także eliminowałaby sprzedaż takich napojów w automatach. Uzasadnienie było typowe: energetyki to problem, zatruwają polską młodzież, trzeba zakazać.

Pomysł nie spełniał kryteriów dobrej regulacji. Przede wszystkim jego autorzy

nie pokazali żadnych danych wspierających ich tezę, że napoje energetyczne faktycznie powodują jakieś wymierne złe skutki w masowej skali wśród młodzieży w Polsce. Dane o ich spożyciu w tej grupie to przecież nie to samo, co dane o konkretnych negatywnych skutkach. Z uzasadnienia nie dowiedzieliśmy się choćby, jak wiele osób poniżej 18. roku życia każdego roku znajduje się w szpitalu z powodu nadużywania napojów energetycznych. A tylko tego typu dane można by potraktować jako uzasadnienie regulacji ograniczającej wolność prowadzenia działalności gospodarczej. Anegdotyczne przykłady natomiast nie mogą być uzasadnieniem dla legislacji tego typu ani, po prawdzie, dla żadnej.

Wprowadzenie zakazu sprzedaży napojów energetycznych w automatach oznaczałoby zaś, że zniknęłyby one z zasięgu wszystkich – także dorosłych – i to również w tych miejscach, gdzie żadnych niepełnoletnich nie ma. Automaty z m.in. energetykami stoją bowiem w wielu biurach, zakładach pracy czy redakcjach, gdzie jako żywo żadna młodzież nie ma do nich dostępu. Byłoby to zatem wylewanie dziecka z kąpielą. Pomysł na razie tkwi w Sejmie i może szczęśliwie doczeka na tym etapie końca kadencji.

Tradycyjnym celem aktywistów, tęskniących za PRL, są używki. Zarówno ich dostępność, jak i reklamowanie. Państwo działa tu zresztą z gigantyczną hipokryzją. Z jednej strony mówimy o produktach, które są w legalnej sprzedaży, z drugiej istnieją akty prawne, które teoretycznie mają ograniczyć ich spożycie oraz nakładają ograniczenia na ich reklamowanie. Kluczem do tego rozdwojenia jaźni są oczywiście finanse. Używki są objęte podatkiem akcyzowym, którego wartość dla budżetu w 2021 r. wyniosła ponad 36 mld zł. To niemal połowa z całych wpływów z podatku akcyzowego, którym objęte są również m.in. paliwa czy prąd. Państwo, łase na te pieniądze, nie może ich zatem całkowicie zakazać. Co zresztą z pewnością okazałoby się wyborczo kosztowne. Zarazem jednak, uwzględniając prozelityzm innej części wyborców, władza nie może zgodzić się na całkowitą swobodę, bo natychmiast podniosłyby się głosy, że pozwala na „niszczenie obywateli” i że chce „zarabiać na ludzkim nieszczęściu”.

KOLEJNA AKCJA ŚPIEWAKA

W ostatnim czasie parol na używki zajął lewicowy aktywista Jan Śpiewak. 26 kwietnia oznajmił w charakterystycznym dla siebie stylu na Twitterze: „Dzisiaj złożę zawiadomienie do prokuratury na Kanał Sportowy. Trzeba tę internetową melinę od reklamy hazardu i nielegalnej reklamy alko wreszcie zamknąć. Zbijają fortunę na krzywdzie ludzi. Obrzydliwe”. Kanał Sportowy to internetowe przedsięwzięcie firmowane przede wszystkim przez dziennikarza sportowego Krzysztofa Stanowskiego. Śpiewaka oburzyla umieszczona tam reklama piwa jednej z popularnych marek, która weszła z KS we współpracę.

Charakterystyczne, że dla Jana Śpiewaka reklamowanie legalnych w Polsce produktów to „krzywdza ludzi”. Lewica generalnie ma skłonność do traktowania obywateli jak głupiutkich dzieci, których życiem muszą pokierować mądrzejsi. Jednak zagrywka Śpiewaka uderza w ton, który pozytywnie zarezonuje u wielu. Przecież wiadomo – „alkohol to zło”, więc trzeba zabronić, zakazać, nałożyć ograniczenia. Na tym poziomie kończy się refleksja wielu osób.

Śpiewak w swoim populizmie zacie trzewił się tak, że nie zerknął nawet do

wspomnianej Ustawy o wychowaniu w trzeźwości, w której artykule 13.1 podane są wyjątki dotyczące piwa (np. dopuszczalność takiej reklamy, o ile nie jest kierowana ani nie przedstawia małoletnich), a na dodatek z treści przepisu wynika, że zakaz reklamy nie obejmuje mediów internetowych. Wiadomo jednak, że populiści ustaw raczej nie czytają.

Nie ma natomiast wątpliwości, że dzisiaj w Polsce rządzą etatyści paternaliści. Czyli zwolennicy podporządkowania wszystkich spraw państwu oraz nadzorowania, pouczenia i wychowywania obywateli przez „kapitana państwo właśnie”. Elektorat partii rządzącej takie nastawienie gorąco popiera, co pokazał sondaż Panelu Ariadna z lutego ubiegłego roku. Zadano w nim dwa pytania: o nocną prohibicję (po godz. 22, co wspianie napędziłoby klientów melinon) oraz o zakaz sprzedaży alkoholu wysokoprocentowego w butelkach poniżej 200 ml. Obie regulacje miały więcej przeciwników niż zwolenników. Przeciw pierwszemu pomysłowi było w sumie 50 proc., za – 35 proc. Przeciw drugiemu opowiedziało się 52 proc., poparło go 31 proc. Wśród wyborców PiS sprawy miały się jednak inaczej. 54 proc. opowiadało się za prohibicją w nocy, a 48 proc. za zakazem sprzedaży „małpek”.

Inna dziedzina, o której zresztą wspominał również Jan Śpiewak, to hazard. W Polsce nielegalne są turnieje pokrowe, w których przewidziane są nagrody pieniężne, czyli w praktyce ten sport – bo jest to na świecie dziedzina sportu – jest zakazany. Ba, co jakiś czas mamy do czynienia z groteskowymi sytuacjami, gdy funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej w pełnym rynsztunku i z długą bronią robią zajazd na nielegalny turniej pokrowy, po czym dumnie fotografują się na tle narzędzi zbrodni: stołu do gry, kart, zabezpieczonej gotówki. To oczywiście marnowanie środków państwa na walkę z czymś, co w ogóle nie powinno być reglamentowane. Jest wyłącznie sprawą obywatela, czy ma ochotę usiąść do stołu i zagrać za pieniądze w karty. Nawet jednak zwolennicy regulacji gier karcianych wskazują, że gdyby odbywały się one legalnie na podstawie ustawy, państwo mogłoby na nich przynajmniej zarabiać, tak jak zarabia na akcyzie na alkohol czy papierosy.

Przy okazji warto pamiętać, że art. 180 wciąż obowiązującego Prawa telekomunikacyjnego, który jest obecnie wykorzystywany do faktycznego cenzurowania nieprawomyślnych mediów na polecenie służb, znalazł się w ustawie z 2004 r. właśnie po to, żeby można było blokować strony z grammi hazardowymi.

KOSZTY?

Zwolennicy zakazów, poza poczuciem moralnej słuszności stawianych przez siebie żądań, mają zawsze ten sam argument na ich poparcie: dzięki nim państwo poniesie mniejsze koszty. Bo przecież kosztuje leczenie uzależnienia od alkoholu, leczenie ofiar nałogu nikotynowego, a hazard rujnuje ludzi i także w związku z tym kosztuje państwo. Pozornie wszystko się zgadza, za takim podejściem stoi jednak bardzo groźny sposób myślenia. Państwo wydaje przecież pieniądze na radzenie sobie ze skutkami zdrowotnymi czy społecznymi najróżniejszych decyzji obywateli. Kosztuje nie tylko leczenie uzależnień alkoholowych czy nikotynowych, lecz także przebiegów. Kosztuje zajmowanie się ofiarami sportów ekstremalnych albo nieprawidłowej diety czy braku ruchu. Co za tym idzie – rozumując logicznie – państwo ponosi koszt serwowania w restauracjach zbyt tłustych potraw. Gdyby pójść drogą paternalistów, trzeba by zacząć mieszać się w każdą z tych spraw, te koszty minimalizując. Trzeba by ułożyć obywatelom dietę czy nakazać im odpowiednie ubieranie się przy niskiej temperaturze. Z restauracji należałoby pozostawić jedynie te serwujące pożywienie odpowiednio dietetyczne. Można by także, powiedzmy, zabronić używania klimatyzacji. Jakie byłyby to oszczędności energii (wszak planeta płonie), a przecież klimatyzacja jest latem powodem niezliczonych zachorowań. Zabronić!

Jeżeli uznamy, że koszty dla państwa są wystarczającym uzasadnieniem, żeby kolejne dziedziny działalności gospodarczej, zachowania obywateli czy dostęp do używek ograniczać albo wprost ich zakazywać, nigdy się nie zatrzymamy, a następnym punktem będzie z pewnością przyjrzenie się naszym aktywnościom, niosącym „koszty dla planety”. Ich też trzeba będzie zabronić. Na koniec obudzimy się w systemie przypominającym do złudzenia ten znany z czasów, o których śpiewał Shakin’ Dudi.



Jacek Przybylski

Wbrew zapowiedziom i oczekiwaniom niektórych szefów rynek pracownika nad Wisłą wciąż nie zmienił się w rynek pracodawcy. Pracownicy żądają więc nie tylko podwyżek czy premii, lecz także oczekują szkoleń i elastycznych godzin, możliwości pracy z domu oraz nowocześnie wyposażonych biur

Wprzeciwieństwie do wielu szefów firm na Zachodzie polscy menedżerowie nie narzekali masowo na takie zjawiska jak wielka rezygnacja (z ang. Big Quit) – polegała na masowej rezygnacji z pracy podczas pandemii – czy ciche odejście (z ang. Quiet Quitting), oznaczające brak emocjonalnego zaangażowania w pracę i traktowanie jej jedynie jako źródła zarobków, bez robienia więcej, niż jest to wymagane (taka służbowa wersja „tumiwisizmu”). Nie znaczy to, że pracownicy nad Wisłą wciąż wyznają „kult harówki” i są gotowi godzić się na wszelkie wymogi szefów.

Z raportu „Barometr Rynku Pracy” autorstwa agencji Gi Group Holding wynika, że mimo pogorszenia sytuacji gospodarczej i wzrostu inflacji pracownicy nie mają większych obaw związanych z bezpieczeństwem zatrudnienia w porównaniu z ubiegłym rokiem (56 proc. nie boi się utraty pracy). W wielu branżach pracownicy śmiało wysuwają więc nie tylko kolejne żądania. Z opublikowanego w ubiegłym tygodniu „Barometru Polskiego Rynku Pracy” Personnel Service wynika, że po zakończeniu pandemii na atrakcyjności straciły pakiety opieki medycznej. Za najbardziej atrakcyjne z punktu widzenia pracowników uważane są obecnie podwyżki (wskazane przez 73 proc.) oraz premie finansowe (63 proc.). Na trzecim miejscu najbardziej pożądanym benefitów pojawia się czterodniowy



Wyższe pensje, i biura

tydzień pracy, z którego chętnie skorzysta co trzeci pracownik. – Zmiana funkcji benefitów w ostatnich latach pokazuje, że ich główną rolą jest odpowiadanie na aktualne potrzeby pracowników, które mogą dotyczyć różnych aspektów – finansów, rozrywki czy czasu wolnego. Trzeba jednak reagować na bieżąco i aktualizować ofertę – zauważył założyciel Personnel Service i ekspert rynku pracy Krzysztof Inglot. Wśród benefitów pozapłacowych wciąż popularne są bony i rabaty, prywatna opieka medyczna czy

paczki na święta, ale w czasach wysokiej inflacji pracownicy cenią sobie również np. dofinansowanie paliwa, darmowe wyżywienie w pracy czy dofinansowanie do Netflixu i innych rozrywek.

HYBRYDOWA PRZYSZŁOŚĆ PRACY?

Pracownicy podczas pandemii nauczyli się doceniać własny czas – zarówno ten przeznaczony na pracę, jak i na życie prywatne. To dlatego w czasach tzw. nowej normalności na podium znalazł się benefit

W Warszawie w zeszłym tygodniu otwarto pierwsze w Europie i drugie na świecie (pierwsze działa w Dubaju) Hybrid Workplace Experience Centre

FOT. STUDIO111

premie przyszłości

polegający na skróceniu tygodnia pracy do maksymalnie czterech dni, a bardzo wysoko na liście pracowniczych oczekiwań jest również praca zdalna.

Według raportu „Hybrid and Beyond” międzynarodowej firmy Colliers aż 89 proc. firm w Polsce deklaruje, że wdrożyło hybrydowy model pracy. Najpopularniejszym rozwiązaniem, wdrożonym przez 59 proc. organizacji pracujących w modelu hybrydowym, jest podział, w którego ramach pracownik zdalnie pracuje przez dwa, trzy dni w ty-

godniu. 23 proc. firm zdecydowało się na model zwany „office-first” (wymiar pracy zdalnej nie przekracza wówczas jednego dnia w tygodniu), 13 proc. badanych przedsiębiorstw wybrała tryb „remote-first” (praca zdalna przez cztery dni w tygodniu), a 5 proc. pracę wyłącznie zdalną. Firmy coraz częściej przechodzą więc na elektroniczny obieg dokumentów i wdrażają elastyczne godziny pracy.

– Skrócenie tygodnia pracy i oczekiwanie na dodatkowe dni wolne to trend, który zyskał popularność w wyniku pan-

demii, a pracodawcy powinni pamiętać o tym w swoich strategiach zarządzania zasobami ludzkimi. Pracownicy, szczególnie ci z pokolenia „Z”, oczekują równowagi między pracą a życiem prywatnym, a dla wielu z nich czas wolny i odpoczynek są równie ważne co wynagrodzenie – tłumaczy Krzysztof Ingłot z Personnel Service.

BIURA DO MODERNIZACJI

Co prawda, pandemia rozwiązała obawy części menedżerów, drżących,

■ że niepilnowani pracownicy całe dni będą spędzać jedynie na oglądaniu filmów, robieniu prania i spacerach z psem, ale nadal są szefowie, którzy woleliby przynajmniej przez część tygodnia mieć podwładnych na miejscu w biurze. W firmie – zamiast w domu – woli pracować również część pracowników.

Z raportu płacowego firmy Hays z początku 2023 r. wynika, że 46 proc. pracowników zaakceptowałoby powrót do biura, gdyby wiązało się to z większą elastycznością lub udogodnieniami. Z globalnego badania Jabra Hybrid Ways of Working 2022 Global Report wynika zaś, że chociaż 63 proc. ankietowanych osób uważa, że model hybrydowy jest dla nich idealnym sposobem pracy, to tylko trzy osoby na 10 zdecydowanie uważają, że ich pracodawca zapewni niezbędne technologie do otwartej na wszystkich współpracy z dowolnego miejsca.

– Koncepcja biura dostosowanego do nowej normalności to nowoczesne, pełne wspierającej technologii, elastyczne przestrzenie do pracy. Obraz współczesnego biura charakteryzuje się nie tylko większą częścią powierzchni wspólnych, które można elastycznie modyfikować, adekwatnie do zmieniających się potrzeb. Ważna jest też potrzeba posiadania w biurze wydzielonej przestrzeni ułatwiającej koncentrację i umożliwiającej prowadzenie np. zdalnej rekrutacji czy ważnej rozmowy z klientem w sposób komfortowy. Dzięki połączeniu technologii i elastycznej koncepcji przestrzennej można uzyskać atmosferę, w której ludzie czują się bezpiecznie i z łatwością mogą pracować w sposób elastyczny – tłumaczy dyrektor zarządzająca Bene Poland Katarzyna Jasińska.

Jak czytamy w raporcie Colliers „Hybrid and Beyond. Wyzwania we wdrażaniu hybrydowego modelu pracy”, przed pandemią większość firm nie stosowała pracy zdalnej, musiała więc zapewnić stanowiska pracy dla wszystkich pracowników. W erze pracy hybrydowej zadania wymagające skupienia lub pracy indywidualnej wykonuje się przede wszystkim w domu, a do biur przyjeżdża się na spotkania z innymi pracownikami oraz klientami. W nowoczesnych przestrzeniach biurowych mniej jest więc miejsca na biurka (wiele firm wprowadziło już system tzw. hot desków, czyli jednego

W Warszawie otwarto pierwsze w Europie i drugie na świecie (pierwsze działa w Dubaju) Hybrid Workplace Experience Centre

biurka dla wielu pracowników), a więcej na salki konferencyjne. W korporacyjnej nowomowie powstały już focus roomy (małe salki dla dwóch–czterech osób), team roomy (pomieszczenia do pracy całych zespołów), a także miejsca do spotkań hybrydowych, które umożliwiają łączenie tradycyjnego świata ze spotkaniami wirtualnymi.

FUTURYSTYCZNE ROZWIĄZANIA RODEM Z POLSKI

Jedną z nowych technologii mających zapewniać prywatność pracownikom oraz ich szefom na terenie biur jest inteligentna folia na szyby. Rozwiązanie wykorzystujące zasadę polaryzacji ciekłych kryształów, wyglądające niczym rodem z filmów science fiction, pozwala za pomocą przycisku na ścianie, pilota lub aplikacji na smartfon błyskawicznie zmienić stopień przepuszczanego światła.

– Kiedy folia jest włączona, ciekłe kryształy otrzymują napięcie z zasilacza. Układają się wówczas w sposób regularny i dzięki temu folia jest przezroczysta. Wystarczy jednym przyciskiem odłączyć prąd, aby kryształy ułożyły się w sposób rozproszony, dzięki czemu folia błyskawicznie staje się matowa – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” dyrektor sprzedaży w firmie Sonte Patryk Wakuła. – Naszego produktu można używać wszędzie tam, gdzie chcielibyśmy zapewnić sobie prywatność, a nie ma możliwości lub chęci stosowania przestarzałych rozwiązań takich jak rolety, żaluzje czy ciężkie zbierające kurz zasłony. Wystarczy do standardowego gniazda podpiąć nasz zasilacz. Pobór mocy to zaledwie 4,5 W na metr kwadratowy folii – dodaje Patryk Wakuła, podkreślając, że firma ma wyłącznie polski kapitał, a sprzedaż w 2022 r. wzrosła w stosunku do wcześniejszego roku o 40 proc. Tego typu rozwiązanie stosowane jest w najnowocześniejszych biurach, np. w salach konfe-

rencyjnych, w których szkło coraz częściej stanowi główny materiał konstrukcyjny. Materiał nowoczesny i praktyczny, ale niestety nie zapewniający prywatności. Zainteresowanie jest bardzo duże. Nie tylko w Polsce. Sprzedajemy coraz więcej franczyz w różnych miejscach w Europie, a także w Afryce, Australii czy Ameryce Południowej – podkreśla Patryk Wakuła.

ODWROTNY DRENAŻ MÓZGÓW

Polska jako kraj będący liderem usług outsourcingowych, a zwłaszcza usług informatycznych (według najnowszego raportu GBS World jesteśmy za Indiami, a ex aequo z Filipinami na drugim miejscu najbardziej atrakcyjnych lokalizacji dla outsourcingu IT), mocno korzysta na transformacji cyfrowej. Nad Wisłą kolejne inwestycje ogłaszają więc tacy giganci jak Microsoft, NVIDIA czy Google, który w marcu ubiegłego roku ogłosił plany rozwoju kompleksu biurowego Warsaw HUB.

Nowoczesne firmy przyciągają zaś do Polski najnowsze rozwiązania korporacyjne. W ubiegłym tygodniu w Warszawie oficjalnie otwarto pierwsze w Europie i drugie na świecie Hybrid Workplace Experience Centre. Pierwsze tego typu centrum powstało w listopadzie ubiegłego roku w Dubaju. Warszawskie HWECE stworzyły Jabra oraz Bene we współpracy m.in. z takimi firmami jak Lenovo, Microsoft, Sharp/NEC czy Waldmann. Mieszczące się na Mokotowie centrum ma wspierać firmy w transformacji do „nowej normalności”. Można tu bowiem przetestować najnowsze nowinki technologiczne, a także zobaczyć, jak powinno wyglądać ergonomiczne i nowoczesne „środowisko pracy hybrydowej”. – Typowe spotkania wyglądają teraz inaczej niż wcześniej, dlatego ważne jest, aby wykorzystywane w firmach technologie nadążały za nowymi trendami, które wyznacza era pracy hybrydowej – zauważyła enterprise marketing manager z Jabra Jagoda Leszczyńska, podkreślając, że hybrydowy model pracy jest dużo łatwiejszy do wdrożenia w firmie niż przeważająca podczas pandemii praca zdalna. – Odwiedzając centrum mogą otrzymać kompleksową wiedzę od liderów w swoich branżach i docelowo stworzyć w swojej organizacji środowisko pracy dostosowane do potrzeb firmy i stylu pracy jej pracowników – dodaje Leszczyńska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd chciwy jak banki?

Premier Morawiecki pochylał się z troską nad chciwością działających w Polsce banków, wskazując, że „różnica między średnią marżą kredytową a depozytową jest ogromna”. I na tym samym oddechu dodał: „Akurat rachunek tego sektora znam bardzo dobrze i uważam, że kryją się tam potężne zyski banków”.

To, rzecz jasna, prawda. Tyle tylko, że – jak to się mówi – „nie cała”. Albowiem owe obecne gigantyczne zyski działających w Polsce banków biorą się przecież nie tylko z powodu oczywistej i naturalnej chciwości bankierów (w końcu – jakże miałyby być inaczej?), lecz także, z jednej strony, z powodu wciąż zdecydowanie nazbyt niskich, zważywszy na poziom inflacji w Polsce, stóp procentowych Narodowego Banku Polskiego, a z drugiej – z powodu wepchnięcia wcześniej właśnie przez rząd premiera Morawieckiego tymże bankom – za pośrednictwem NBP – takiej furi rządowych obligacji, że teraz – mając ich w nadmiarze – najzwyczajniej w świecie nie są już specjalnie zainteresowane pieniędzmi polskich ciułaczy. Dlaczego miałyby zatem im płacić jakieś bajątki sumy jako odsetki od lokat, których nie potrzebują?

Szef rządu dobrze wie widać żdźbło w oku bankierów, a nie potrafi zauważyć belki we własnym. Wygodnie jest bowiem podliczać niebotyczne zyski banków (w sporej części powstałe i wciąż po-

wstające – jak wyżej wykazałem – za sprawą takich, a nie innych polityk monetarnej NBP i fiskalnej rządu), zamiast zabrać się za podliczanie zysków, które kasa rządu zbija na oszczędnościach na potęgę biedniejszych Polaków.

A czyż nie powinno być odwrotnie? Czyż z powodu owego przyczynienia się przez rząd do utrzymywania przez banki w Polsce odsetek od lokat na tak żenująco niskim poziomie, zważywszy na wysokość inflacji – w dodatku w niemałej mierze nakręcaną przez rząd – tenże rząd nie powinien, choćby przejściowo, na czas owej szalejącej inflacji, zrezygnować z pobierania podatku od owych zaśłośnie niskich odsetek od lokat, czyli tzw. podatku Belki? I nie pomniejszać tychże zaśłośnie niskich odsetek od lokat jeszcze bardziej, i to aż o 19 proc.?

A nie chodzi tu o jakieś marne grosze. Za pierwsze 11 miesięcy 2022 r. wpływy z podatku Belki przyniosły rządowi 5,5 mld zł, czyli o 31,8 proc. więcej niż w całym 2021 r., a licząc z grudnia 2022 r. – najpewniej ponad 6 mld zł. Rzecz jasna, podatek Belki jest pobierany nie tylko od zysków z lokat bankowych, lecz także od zysków ze sprzedaży akcji czy obligacji itd.; tak czy owak to ogromne pieniądze, których tak ochoczo zaglądamy w konta bankom rząd mógłby Polakom nie zabierać, gdyby przejmował się ich zasobnością tak bardzo, jak to premier deklaruje. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Armagedon ESG

Wsieci trafiłem na kilkuminutowe wideo nagrane przez właściciela niewielkiego serwisu komputerowego. Na swoim kanale (133 tys. subskrybentów) umieszczał od dawna filmy opowiadające o pracy przy konserwacji i naprawach komputerów. Teraz ogłosił, że zamyka serwis. Nie daje rady z kosztami. Takich przedsiębiorców jest w Polsce od groma.

Niektórych z nich już za kilka lat czeka prawdziwy armagedon, kryjący się pod trzema

uzasadnienia. Toczące się na jego temat dyskusje na przeróżnych kongresach pełne są beztreściwego bełkotu, typowego dla rozmów o „zrównoważonej gospodarce”. Wygłaszający swoje mądrości przedstawiciele działów CSR (tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu, czyli kolejny fetysz) pouczają maluczkich, że muszą być odpowiedzialni, a ESG to dziejowa konieczność, bo klimat, bo równość, bo istnieje „presja społeczna”. To ostatnie jest oczywiście kolejnym fałszem. Żadna presja społeczna na tworzenie nonsensownych raportów nie istnieje, a jeśli ktoś się tego domaga, to dar-mozjadą aktywiści od klimatu czy równości płci. Na pewno nie zwykli klienci, dla których raportowanie ESG oznacza po prostu wzrost cen. Bo przecież koszty tej sprawozdawczości firmy wrzucą sobie w ceny towarów czy usług.

Za tym trudnym do ogarnięcia nonsensem stoją jednak konkretne interesy. Dla korporacji i dużych firm to instrument wykańczania mniejszych, którzy sobie z ESG nie poradzą. Dla firm konsultingowych to złote żniwa. Dla Komisji Europejskiej – sposób na stworzenie bazy danych wkraczającej w dziedzinę niefinansowej, na której podstawie będzie potem można tworzyć restrykcyjne klimatystyczne przepisy.

Dyrektywa o ESG jest nie mniej groźna niż zakaz rejestracji aut spalinowych. Czas bić na alarm! ©

Za tym trudnym do ogarnięcia nonsensem stoją konkretne interesy

literkami: ESG. To narzucony przez UE system tzw. raportowania niefinansowego. Mówiąc najprościej, oznacza to, że od 2027 r. nawet małe spółki giełdowe będą musiały, pod groźbą kar finansowych, tworzyć absurdalne, rozbudowane raporty o swoim śladzie węglowym, zużyciu wody czy wpływie społecznym firmy.

Wielkie korporacje dorzucają po prostu kolejny zakres obowiązków wynajmowanym przez siebie firmom konsultingowym, ale dla małych to dramat: kolejny niezwykle pracochłonny obowiązek, który nie ma żadnego merytorycznego



Luksusowy zapach miliardów



Joanna Bojańczyk

Imperia mody, perfum, kosmetyków mają się świetnie mimo kryzysu. Tytanem tej branży jest Bernard Arnault, najbogatszy człowiek świata. Dyskretny, bezzwzględny w interesach, osamotniony, ale czuły na krytykę

70

Dwie osoby ze szczytu listy najbogatszych świata to Francuzi, obywatele najbardziej egalitarnego (rzekomo) kraju świata. Numer jeden – 74-letni Bernard Arnault, właściciel imperium luksusu, włada 75 markami i zatrudnia 200 tys. pracowników. Perły w koronie tego biznesu: Louis Vuitton, biżuteria Tiffany, Christian Dior, Sephora. Marcowy numer „Forbesa” ocenił majątek Arnaulta na 22 mld dol. Drugie miejsce w rankingu bogaczy zajmuje pani Bettencourt Meyers (69 lat), najbogatsza kobieta na świecie, wnuczka założyciela L’Oreala. Jej majątek ocenia

się na 80,5 mln dol.: między innymi kosmetyki Lancôme, Maybelline, Essie.

Dwa imperia przemysłu próżności mają się świetnie, chociaż świat nie może wydobyć się z kryzysu. Ten uderza w najbiedniejszych i średnich, bogaci mają się nieźle. Ale Francuzi nie lubią bogatych. W Stanach Bernard Arnault byłby chwalony, we Francji jest krytykowany. „Od czasów rewolucji nasz kraj jest ojczyzną hasań wolnościowych i równościowych, ale teraz jest problem z pieniędzmi” – napisał Philippe Escande, komentator ekonomiczny dziennika „Le Monde”.



Paryż 2017, pokaz kolekcji Diora. Bernard Arnault z żoną Helen i modelkami Karlie Kloss i Natalią Wodianową
FOT. BERTRAND RINDOFF PETROFF / GETTY IMAGES

konaniu, że bogatym żaden kryzys nie zagrozi. Potężny budynek Diora na Polach Elizejskich tuż obok wielkiego sklepu Louis Vuitton przechodzi właśnie remont i unowocześnienie. Rozwieszone w całym Paryżu ogromne reklamy marek należących do koncernu LVMH także wydają się aroganczką kpina z sytuacji. Te reklamy skontrolował ogromny transparent, który na Łuku Triumfalnym zawiesił związek zawodowy CGT. Agitował za wyższymi podatkami dla bogatych, które według związkowców pozwoliłyby uniknąć reformy emerytur. Sam Arnault odpiera zarzuty, twierdząc, że w roku 2022 na świecie stworzył 22 tys. miejsc pracy, a w samej Francji zainwestował 5 mld euro w przedsiębiorstwa produkcyjne. Sam zamierza przejść na emeryturę dopiero w wieku 80 lat.

LUKSUS DLA KAŻDEGO

Bernard Arnault pochodzi ze zwykłej prowincjonalnej mieszczańskiej rodziny francuskiej. Państwo Arnault, inżynier i gospodyni domowa, mieszkali w północnej Francji, w miasteczku Roubaix, odległym przedmieściu Lille, niedaleko granicy belgijskiej. Ojciec Bernarda miał niewielką firmę. Chłopiec skończył liceum w Lille, potem odbył studia na prestiżowej paryskiej uczelni École Polytechnique. Początkowo pracował w firmie ojca, jednak szybko objawiła się jego żyłka do biznesu i namówił ojca na przestawienie firmy na nieruchomości. Na dobry początek.

Legenda, którą być może stworzył sam zainteresowany, a być może jest nawet prawdziwa: w latach 70. Arnault jechał w Nowym Jorku taksówką. Zapytał taksówkarza, jakiego zna słynnego Francuza. – Diora – odpowiedział kierowca. Nie wymienił ani Napoleona, ani de Gaulle'a. To dało do myślenia młodemu biznesmenowi. Zapamiętał markę, która miała podyktować jego dalsze losy.

W 1984 r. Arnault dowiedział się, że francuski rząd ma wybrać kogoś, kto przejmie imperium Boussac Saint-Frères, konglomerat tekstylii, do którego należał m.in. Christian Dior, a także kilka mniejszych firm. Arnault działał zdecydowanie i bezwzględnie. Przeprowadził restrukturyzację, zlikwidował niepotrzebne firmy i wyrzucając na bruk ich pracowników, zostawił tylko perłę w koronie – Diora. W 1987 r. kupił markę Celine i Christian Lacroix. Dalsze nabytki: Guerlain, Tag Heu-

er, Hublot... Kilkoma kolejnymi pociągnięciami, m.in. wykołegowaniem z zarządu partnera biznesowego, stał się głównym akcjonariuszem i szefem Vuitton. W ciągu lat 90. zrobił z tej firmy czołową globalną markę mody.

Stworzył nieistniejące wcześniej pojęcie: luksus masowy. Markowa galanteria z drogich sklepów miała wytworzyć u masowego klienta chęć posiadania przedmiotu luksusowego. Jeśli chcesz sobie sprawić przyjemność, to kup sobie coś prawdziwie luksusowego – to była mantra tego biznesu. Francuskie rękodzieło oferowało ku temu szerokie możliwości, a Arnault umiał sprawić, żeby tę potrzebę zaspokoić. Kupował więc niewielkie zakłady galanteryjne, krawieckie, kaletnicze, firmy z tradycjami, które często w czasach masowej produkcji

Markowa galanteria z drogich sklepów miała wytworzyć u masowego klienta chęć posiadania przedmiotu luksusowego

z trudem utrzymywały się na powierzchni. Inwestował w marketing i reklamę, zatrudniał kreatorów, wokół których robił się szum medialny. Dzięki tym działaniom firmy stawały się międzynarodowymi domami mody, które zarabiały miliony, sprzedając na lotniskach kosmetyki, perfumy, apaszki, torebki, dzinsy, majtki, T-shirty.

Moda marketingowa rozpoczęła się pod koniec lat 80., przeżywała szczyt w latach 90. i w dwóch pierwszych dekadach XXI w. Nadszarpnął ją kryzys roku 2008, potem przyszły katastroficzne przepowiadanie klimatyczne, ruchy ekologiczne, jednak rynek wciąż się trzyma i nic na razie nie wskazuje na zapaść. W czasie zamieszek wandalę, którzy walczą z kapitalizmem, niszczą witryny sklepów na Avenue Montaigne; ale gdy już stłuką szyby, chętnie coś dla siebie ukradną.

WOJNA TOREBEK

Monsieur Arnault w swoich brawurowych akcjach przejęć nie był samotny. Miał godnego siebie przeciwnika. Równoległe bój o dominację na rynku

Przez ojczyznę tych dwojga miliarderów przetoczyła się i nadal przetacza fala protestów przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego z 62 do 64 lat. Do protestów dołączyły się żółte kamizelki, które po miesiącach uśpienia zaatakowały ze sporą siłą destrukcji.

Dla protestujących uosobieniem zła, a przede wszystkim głównym sprawcą ogromnych nierówności społecznych stał się Bernard Arnault. Prezes Louis Vuitton Moët Hennessy nigdy nie był lubiany, ale teraz w kraju borykającym się z kryzysem ekonomicznym budzi jeszcze większą nienawiść. Ludzie utwierdzają się w prze-

■ luksusu toczył jego nieco starszy kolega, także Francuz. François Pinault, dziś 80-latek, nie może pochwalić się dyplomem tak dobrej uczelni jak École Polytechnique, w ogóle nie ma żadnego dyplomu, bo szkołę rzucił jako 16-latek. Za to zapisał piękną kartę życiorysu w czasie wojny, gdy jako chłopiec nie wydał Niemcom ukrywających się w domu żołnierzy alianckich. Swoje imperium, którego wartość szacuje się na ok. 40 mld euro, zbudował samodzielnie, wykazując się równą koledze determinacją. Prowadził rywalizację w pozyskiwaniu marek: nazwano to „wojną torebek”. Sławna była potyczka o większość udziałów w Guccim, którą wygrał Arnault. Słynna włoska firma pozostała w rękach imperium Pinaulta, do którego należy obok Bottegii Venety, Balenciagi, Yves Saint Laurent. W roku 2003 Pinault senior przekazał biznes synowi François-Henriemu, który ożeniony jest z aktorką hollywoodzką Salmą Hayek.

Ludzie zamożni mają na ogół dużo dzieci, trochę jak w serialu „Sukcesja”. I bardzo o nie dbają. Państwo Arnault mają pięcioro

Panowie rywalizują nie tylko w biznesie, lecz także na rynku sztuki. Obaj są właścicielami poważnych kolekcji sztuki, a Pinault poza tym, że posiada dzieła Takashiego Murakamiego, Tatiany Trouvé, Ursa Fischera, jest także właścicielem domu aukcyjnego Christie. Marzył o otwarciu własnej przestrzeni muzealnej w Paryżu. Nie udało się – miasto Paryż wstrzymało koparki mające przygotować teren pod nową galerię na wyspie Seguin, uznając, że inwestycja wyrządza szkody środowiskowe. Pinault musiał zadowolić się dwoma przestrzeniami ekspozycyjnymi w Wenecji: Palazzo Grassi na Canal Grande, otwartym w roku 2006, oraz Punta della Dogana w 2009.

I w tym pojedynku zwycięzcą okazał się Arnault. Jego gmach Collection Louis Vuitton projektu Franka Gehry’ego popularnością, liczbą zwiedzających i jakością

kolekcji, a przede wszystkim okazałością obiektu pobił na głowę dokonania konkurenta. Ale zwycięstwo nie było łatwe. Przeciwno projektowi zaciekle protestowali paryżanie. Narzekali, że ekstrawagancki, dziwaczny, niepasujący do paryskiego krajobrazu budynek popsuje ich ukochany Lasek Buloński, stanie się wrzodem eleganckiej XVI dzielnicy. Tak się nie stało – międzynarodowy sukces budynku i ekspozycji uciszył krytyki, ale nie sprawił, że Bernarda Arnaulta paryżanie zaczęli lubić.

WSZYSTKO W RODZINIE

Arnault jest bogaty, ale – jak sam twierdzi – nie lubi szastać pieniędzmi. „To moja cecha Owerniaka” – przyznaje. Gdy uciekł fiskusowi do Belgii, podobno za radą ojca, spadła na niego lawina krytyki. Lewicowy dziennik „Liberation” wystąpił z nagłówkiem na pierwszej stronie: „Spieraj się chu.u”.

Ale dla swojej ojczyzny prezes potrafi być hojny, a nawet zmobilizować się, gdy jest pilna potrzeba. Gdyby Fundacja LV nie kupiła na aukcji obrazu „Przejażdżka statkiem” Gustawa Caillebotte’a, dzieło opuściłoby Francję. Zakupiony za 43 mln euro obraz Arnault podarował Muzeum d’Orsay. Po pożarze Notre Dame zareagował natychmiast z hojną dotacją, zaraz gdy wybuchła pandemia, polecił zakładom perfumeryjnym (Dior, Guerlain) produkować żel dezynfekujący dla szpitali.

DZIECI TO KAPITAŁ

Ludzie zamożni mają na ogół dużo dzieci, trochę jak w serialu „Sukcesja”. I bardzo o nie dbają. Państwo Arnault mają pięcioro, wszystkie chodziły do elitarnego szkoły Saint Louis de Gonzague prowadzonej przez jezuitów. Uczą się w niej wszystkie dzieci VIP-ów, to tam pracowała nauczycielka francuskiego Brigitte Macron. Podobnie jak w serialu patriarcha rodu zabezpieczył los następnych pokoleń, zatrudniając potomstwo w swojej firmie. Dwoje najstarszych to dzieci ze związku z Anne Dewavrin: 47-letnia Delphine, wiceprezes w Louis Vuitton i członkini rady nadzorczej LVMH. Jej brat, Antoine Arnault, 45 lat, ożeniony z modelką Natalią Wodianową, jest dyrektorem marki obuwniczej Berluti, szefem wizerunku w LVMH oraz

członkiem rady nadzorczej. O ojcu mówi z dumą: „Mój ojciec to machina wojenna”.

Troje pozostałych urodziło się w małżeństwie z kanadyjską pianistką Helene Mercier. Trzydziestojednoletni Alexandre Arnault pełni funkcję wicedyrektora w Tiffany & Company. Frédéric Arnault, 27 lat, szefuje zegarkom of TAG Heuer. Najmłodszy syn, 24-letni Jean Arnault, absolwent dwóch uczelni – Imperial College of London oraz słynnej bostońskiej politechniki MIT – dołączył do firmy w roku 2021 jako szef marketingu w dziale zegarków Louis Vuitton. W firmie rodzinnej pracuje też bratanica szefa Stephanie Watine Arnault.

LIFESTYLE MILIARDERÓW

Państwo Arnault zajmują „hôtel particulier”, prywatny pałac w centrum Paryża. Nie wpada się do nich bez uprzedzenia, trzeba zapowiedzieć się telefonicznie. Zresztą wejścia strzegą dwaj ochroniarze. Co sobotę prezes w towarzystwie jednego z dzieci odwiedza swoje paryskie sklepy, skrupulatnie oceniając każdy szczegół. „Towarzyszyłem ojcu na wszystkich spotkaniach biznesowych i robię to samo z moimi dziećmi”. Jeśli coś mu się nie spodoba, to menedżerowie w poniedziałek otrzymują e-mail: „Pomówić o tym ze mną”.

Wszyscy Arnaultowie są bardzo wysocy. Senior rodu mierzy 186 cm, Frederic i Jean mają po 190 cm, najwyższy jest Alexandre, który ma dwa metry wzrostu. Problemu z kupnem ubrań raczej nie ma, gdyż wszystko, co noszą, posiada metkę LV i jest szyte na miarę. Wyjątkowo Aleksandrowi pozwala się grać w tenisa w stroju Ralpha Laurena.

W czasie wakacji rodzina spotyka się w willi w Saint-Tropez na Lazurze. Wybrzeżu, gdzie stacjonuje ich prywatny jacht długości 96 metrów, Nowy Rok wita się na prywatnej wyspie na Bahamach, w lutym dla zdrowotności są narty w Courchevel... W czasie pobytu Rogera Federera w Paryżu zdarza się mu odbić parę piłek z panem Arnaultem na jego prywatnym korcie.

Z rozrywek bardziej duchowych: pianista Lang Lang w wolnej chwili po kolacji siada do fortepianu razem z Frederikiem.

Jednym słowem – klasyka lifestyle’u miliarderów. W czasach kryzysu oczywiście.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.



Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA



Niedziela
11:00



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Kilkanaście dni temu Raków Częstochowa pokonał Legię Warszawa i został futbolowym mistrzem Polski. W ubiegłym tygodniu premier kraju pojawił się na konferencji na częstochowskim stadionie i obiecał jego przebudowę. – Aby ten sukces mógł rosnąć, coraz bardziej cieszyć nie tylko mieszkańców Częstochowy, postanowiliśmy zainwestować środki państwowe i wesprzeć ten sukces. Rozmowy rozpoczęliśmy kilka miesięcy temu. Wesprzemy przebudowę tego stadionu do takiego poziomu, by mógł on służyć klubowi także w rozgrywkach europejskich. Trzymam kciuki i wierzę w sukces Rakowa w Lidze Mistrzów – mówił Morawiecki.

Tymczasem w polskim sportowym świecie odbywa się bez mała istotniejsze wydarzenie i sukces w skali międzynarodowej. Już 20 maja w Turynie w finałowym meczu siatkarskiej Ligi Mistrzów po obu stronach siatki staną polskie kluby: Jastrzębski Węgiel i ZAKSA Kędzierzyn-Koźle. To wydarzenie bez precedensu pokazuje, jaką potęgę w tej dyscyplinie udało się zbudować w kraju.

Zapewne politycy i przy tym sukcesie będą chcieli się wizerunkowo ogrzać, ale dysonans w porównaniu z kopaczami piłki widoczny jest gołym okiem. Choć – by oddać sprawiedliwość – akurat bez wsparcia państwowego polscy siatkarze nie sięgaliby tak wysoko. Sponsorem głównym ZAKSA jest Grupa Azoty, największy koncern chemiczny w kraju, w którym państwo ma najwięcej udziałów. Z kolei sponsorem tytularnym Jastrzębskiego Węgla jest Grupa JSW, liczący się w UE producent koksu, który też jest kontrolowany przez Skarb Państwa.

Choć Polacy intensywnie zabiegali o to, by mecz polsko-polski o trofeum Ligi Mistrzów przenieść do Gliwic (obie drużyny z dwóch miast województwa śląskiego mogły zagrać „u siebie”), to jednak Europejska Konfederacja Piłki Siatkowej (CEV) pozostała nieugięta. Obstawiała przy Turynie. Finał odbędzie się więc na włoskim parkiecie.

– To absolutny sukces naszej polskiej siatkówki, Plusligi, że potrafiliśmy stworzyć dwa zespoły, które przebojem wdarły się do Ligi Mistrzów i już zapisały się złotymi zgłoskami – mówi „Do Rzeczy” Marcin Możdżonek, siatkarz, były

Polski finał



Łukasz Zboralski

Zanim odbędzie się finał siatkarskiej Ligi Mistrzów, już wiadomo, że mistrzem będą Polacy. Bo w finale zmierzą się dwa zespoły z nad Wisły. Jesteśmy światową potęgą siatkówki



Siatkarze Jastrzębskiego Węgla i ZAKSY Kędzierzyn-Koźle zmierzyli się w grze o mistrzostwo Polski. 20 maja zagrają o zwycięstwo w Lidze Mistrzów

FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

reprezentant polskiej kadry. – ZAKSA dwukrotnie wygrała już wcześniej Ligę Mistrzów. Jej droga do finałów była naprawdę trudna. Zawodnicy tego zespołu musieli zwycięstwa dosłownie wyrwać przeciwnikom z gardła. W tym roku też nie była to łatwa drabinka, to nie była wygodna droga. A jednak ZAKSA wytrwała i dotarła na szczyt.

Moździolek zauważa, że Jastrzębski Węgiel miał tegoroczną drogę trochę mniej skomplikowaną. – Ale to tylko w teorii, bo zawsze trzeba umieć postawić kropkę nad „i” i wykorzystać taką hipotetycznie łatwiejszą drabinkę – zaznacza. I dodaje: – Jastrzębie jest bardzo ofensywne, ze świetnym rozgrywającym, dysponuje niesamowitymi graczami na poziomie światowym. W ogóle obie nasze finałowe drużyny są dziś wśród kilkorga najlepiej grających zespołów na świecie. Uczta dla oka zanoszą się niesamowita!

GŁÓD WYGRYWANIA

W sukcesie polskich drużyn tkwi pewien paradoks. Zwłaszcza w przypadku ZAKSY, która nie ukrywała nigdy, że jest klubem z nie największym budżetem. Wydawać by się mogło, że to wada – nie móc jak inni, np. bogata Perugia, wyjść z kieszeni kwoty na każdego zawodnika czy trenera, który tylko się zamarzy. Okazało się jednak, że jest coś ważniejszego niż pieniądze. I to coś sprawiało, że nawet gdy drużynę opuszczali rozgrywający Benjamin Toniutti, libero Paweł Zatorski czy Jakub Kochanowski, ZAKSA wciąż znajdowała zawodników, którzy wynosili ją na szczyt. I przecież było tak nawet wtedy, gdy Włosi podkupili przedwcześnie Polakom trenera Nikołą Grbicia.

W czym tkwi ten sukces? „Nie przypominam sobie, żebyśmy za moich czasów brali do drużyny zawodników najdroższych czy najbogatszych w osiągnięcia. Po pierwsze, nie było nas na to stać, a po drugie, czasami padały nazwiska niezłych graczy, ale po rozmowach na ich temat okazywało się, że nie będą pasować do drużyny charakterem” – opowiadał „Przeglądowi Sportowemu” Sebastian Świdorski jeszcze jako prezes ZAKSY SA (a wcześniej też zawodnik tego klubu), dziś prezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej.

Asystenci rumuńskiego trenera Gheorghe Crețu, który prowadził dru-

Puchar za pierwsze miejsce Ligi Mistrzów już jest nasz. Pytanie tylko, która drużyna z województwa śląskiego zabierze go z Włoch do domu

FOT. GIANCARLO GOBBI / THE EUROPEAN VOLLEYBALL CONFEDERATION (CEV)



żynę w ubiegłym sezonie, dodawali, że chodzi o takich zawodników, którzy nie patrzą na czubek własnego nosa, którzy jasno komunikują, że to nie pieniądze są dla nich najważniejsze, ale chcą się też rozwijać. Tacy zawodnicy mają zawsze wielki głód sukcesu.

Sam Crețu przyznawał, że największą motywacją dla zespołu było przekonanie, także wyrażane przez media, że „teraz to już ZAKSA nie osiągnie tak dużo”. Rumun w poprzednim sezonie doprowadził zespół do trzykrotnego triumfu – zwycięstwa w polskiej lidze, wygranej w Pucharze Polski oraz wygranej w Lidze Mistrzów – i odszedł. Zastąpił go Fin Tuomas Sammelvuo. I co? I ZAKSA gra o finał Ligi Mistrzów.

MINIFINAŁ JUŻ SIĘ ODBYŁ

Zanim jednak Jastrzębie i Kędzierzyn-Koźle na włoskiej ziemi rozstrzygną, komu należy się puchar Ligi Mistrzów, już właśnie zwały się w walce o mistrzostwo kraju. W ubiegłym tygodniu zakończyło się trzecie i – jak się okazało – rozstrzygające spotkanie obu drużyn.

Jastrzębski Węgiel miał tu lepszą pozycję przed ostatnim spotkaniem. Podopieczni Marcela Mendezę poprzednie dwa mecze wygrali (3:0, 3:1) i nie dali sobie już odebrać mistrzostwa Polski. W tym decydującym starciu ZAKSA okazywała się zaskakująco bezradna i uległa 0:3.

– W finale Plusligi Jastrzębie wygrało w imponującym stylu, z przytupem. W sumie rozbili ZAKSĘ – ocenia Moździolek. – Z drugiej strony widać było, że siatkarze Kędzierzyna-Koźla są bardzo zmęczeni. Byli cieniami samych siebie. Nie wiem, co się stało. Może wystrzelali się w męczącym sezonie? Jest on zdecydowanie za długi i jest za dużo drużyn. Zawodnicy są mocno obciążeni i płacą tego cenę. Kędzierzyn grał bardzo dobrze, ale Jastrzębie wiedziało, kiedy włączać piąty bieg. To zgrana i doświadczona drużyna.

Zdaniem byłego kadrowicza finał Ligi Mistrzów pozostaje jednak głęboką niewiadomą. Moździolek ocenia, że oba zespoły będą mieć równe szanse. – Zwracam uwagę, że tak sportowo to Kędzierzyn będzie mocno podrażniony porażką w krajowym finale. Stawka meczu będzie też inna. Nie trzy spotkania, ale jedno – tu i teraz! – mówi Marcin Moździolek. I sam wspomina, jak przed laty zagrał o finał Ligi Mistrzów jako zawodnik PGA Skra Bełchatów w przegranym meczu z Zenitem Kazań. – To są ogromne emocje. I przeżywali je oprócz zawodników sędziowie, uważam, że nas wówczas skrzywdzili w piątym secie. No, ale nie można na to wszystkiego zrzucać, mieliśmy swoje szanse w czwartej partii – wspomina – Tylko wówczas jako polska liga byliśmy na dorobku. Dziś to Polacy stanowią o światowej sile siatkówki.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

AUDI Q5 40 TDI S LINE

Tego modelu Audi nie trzeba przedstawiać nie tylko fanom motoryzacji. Od lat jest bowiem bestsellerem niemieckiej marki zarówno w Polsce, jak i na wielu europejskich rynkach. I to właśnie dzięki niemu koncern z Ingolstadt może śmiało walczyć o czołowe miejsce w segmencie klasy średniej premium.

Wystarczy pokonać tym autem kilkaset kilometrów, aby przekonać się dlaczego. Testowana wersja wyposażona jest w czterosylindrowy, wysokoprężny silnik o mocy 204 KM, który pozwala przyspieszyć od zera do setki w zaledwie 7,6 s.

Dynamiczne auto prowadzi się pewnie i bezpiecznie. Samochód z napędem na obie osie sprawnie przyspiesza w mieście i na trasie. Przyjemnie pokonuje się nim również nawet ostre zakręty. Żadnych zarzutów nie można mieć także do pracy automatycznej skrzyni biegów. W odświeżonej wersji tego modelu nieco zadziorny, sportowy charakter podkreśla agresywniej niż dotąd zarysowana sylwetka. To dobra zmiana. Po zapadnięciu zmroku świetne wrażenie robią również tylne światła wykonane w technice diod organicznych OLED. Delikatne światło buduje też nastrój wewnątrz starannie wykończonej kabiny, która wygląda istotnie lepiej i bardziej nowoczesnie niż choćby w konkurencyjnym BMW X3.

Jest to m.in. zasługa minimalistycznego designu, dobrze przemyślanego centralnego ekranu dotykowego oraz intuicyjnego wirtualnego

kokpitu. Cieszy też, że np. klimatyzacją nadal można sterować bez konieczności pokonania – jak w niektórych modelach konkurencji – kilku różnych poziomów menu. Podczas jazdy w kabinie panuje przyjemna cisza, fotele są komfortowe, miejsca nie brakuje ani na nogi, ani nad głową, a wszystkie elementy wnętrza bardzo dobrze ze sobą grają.

Uniwersalny SUV musi być jednak nie tylko szybki i ładny, lecz także „rodzinny” i praktyczny. Audi udało się nieźle zdać również ten test. Ustawny kufer ma 550 l pojemności. Bardzo przyzwoicie. Zaletą testowanego modelu jest także oszczędny silnik. Mimo przyjemnej mocy drzemiącej pod maską spalanie w cyklu mieszanym wynosi według producenta 6,6 l/100 km.

Podczas wiosennego testu udało mi się ten wynik nawet minimalnie poprawić (średnia w trybie jazdy „efficiency” spadła do 6,1 l/100 km).

Muszę więc przyznać, że odświeżona Q-piątka w pełni zasługuje na piątkę, a może i piątkę z plusem. A dlaczego nie na szóstkę? Wyposażenie modelu bazowego – którego cena wynosi 232,5 tys. zł – mogłoby być jednak bogatsze. Ciekawych opcji dodatkowych jest bowiem wiele, a ich koszt nie jest mały. Egzemplarz testowy, wyposażony m.in. w reflektory Matrix LED, tylne światła OLED oraz lusterka z obudową z karbonu, wyceniony był już więc na niecałe 315 tys. zł. Mimo wysokiej ceny ten model definitywnie powinien znaleźć się na krótkiej liście dojazd testowych dla osób poszukujących nowego SUV-a. ©©

FOT. MATERIAŁY PRACOWNIE (2)



MOTOROLA EDGE 40 PRO 5G

Eleganckie wzornictwo, przepiękny ekran, wydajny procesor, świetna bateria, szybkie ładowanie oraz łączność 5G – to największe zalety zaskakującego dobrego flagowca ze stajni Motoroli.

Testowany model to nie tylko najlepszy smartfon tego producenta, lecz także jeden z najładniejszych i najlepiej wykonanych flagowców dostępnych obecnie na rynku. Wrażenie robią nie tylko elegancki, minimalistyczny design, lecz także użyte materiały: dwie tafle szkła Gorilla Glass Victus oraz smukła aluminiowa ramka. Plecki są matowe, dzięki czemu szkło nie działa jak lep na odciski palców. Aby nie było nudno, zostało tak wykończono, że w promieniach słońca mieni się ogromem jasnych drobinek. Brzmi nieco kiczowato, ale wygląda super.



Bardzo miły dla oka jest również ekran pOLED o przekątnej 6,67 cala, rozdzielczości Full HD+ (2400 x 1800 pikseli) oraz częstotliwości odświeżania wynoszącej aż 165 Hz, co umożliwia wyświetlanie bardzo płynnych animacji. Kolory są super, czerń jest głęboka, a kontrast świetny. Rewelacyjna jest również jasność maksymalna.

Po stronie plusów Edge 40 Pro 5G trzeba także wpisać wysoką wydajność. Procesor Snapdragon 8 Gen, 12 GB pamięci RAM oraz 256 GB pamięci UFS 4.0 sprawują się fantastycznie. Umożliwiają nie tylko piekielnie szybkie otwieranie aplikacji, lecz także pozostawienie wielu programów pracujących w tle bez szwanku dla komfortu codziennego użytkowania.

Na pochwałę zasługuje również bateria. Ma ona pojemność 4600 mAh i pozwala spokojnie korzystać z dużej mocy smartfona. Opcja ultraszybkiego ładowania TurboPower 125 W (od razu uspokajam: ładowarka jest w zestawie) pozwala w ciągu niecałych siedmiu minut doładować urządzenie tak, aby energii wystarczyło na cały dzień pracy. W takim modelu nie mogło też zabraknąć modułu NFC (służącego np. do płatności zbliżeniowych), łączności 5G, możliwości korzystania z eSIM, głośniczków stereo z logo Dolby Atmos, a także odporności na piasek i wodę potwierdzonej normą IP68.

Wady? Aparaty fotograficzne w tym modelu są bardzo dobre, ale nie rewelacyjne. Główny ma 50 MP rozdzielczości, optyczną stabilizację obrazu i jasność f/1,8, a obiektyw ultraszerokokątny oraz teleobiektyw również mają nieźle parametry. Na rynku w tej kategorii cenowej są wciąż jednak wyraźnie lepsi gracze. Drobnym minusem jest także brak slotu na kartę pamięci. Cena: 4699 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Królewski Arsenał w Warszawie



JACEK KOMUDA

Warszawski Arsenał przy ul. Długiej to budowla, która wrosła w historię stolicy; uczestnik wielu burzliwych wydarzeń, jak wybuch powstania listopadowego, akcja pod Arsenalem, powstanie warszawskie. Jego początek to czasy panowania króla Władysława IV, który wprowadził pod koniec lat 30. XVII w. pakiet reform militarnych, poczynając od wprowadzenia wojsk cudzoziemskiego autoramentu, a kończąc na budowie i wyposażeniu cekhausów, czyli arsenałów królewskich, z których dwa najwspanialsze wzniesione zostały we Lwowie i właśnie w Warszawie.

Arsenał władysławowski przypominał z grubsza dzisiejszą bryłę budynku. Od południa główna brama, tak jak dzisiaj, mieściła się pomiędzy dwoma czworobocznymi, niskimi basztami, ozdobionymi fryzami z motywem pozłocistych delfinów. Tak samo wewnątrz znajdował się dziedziniec otoczony długimi galeriami, tyle tylko, że od strony północnej, gdzie zamykał go kolejny pawilon, narożniki murów ozdobione były dwoma wieżyczkami z powietrznymi, czyli chorągiewkami obracającymi się na wietrze. Nad bramą wejściową znajdowała się marmurowa tablica z inskrypcją na cześć Władysława IV, fundatora budowli. Pod tablicą zawieszony był spiżowy, pozłacany orzeł ważący 106 funtów.

Po lewej stronie od bramy, w pawilonie, mieściły się mieszkania dla starszego nad armatą i obersztera – dowódcy piechoty. Po prawej na parterze było mieszkanie cejgwarta, czyli dowódcy arsenału, na piętrze – oberstejtnanta i cejmistrza zarządzającego wszystkimi



FOT. DOMENA PUBLICZNA

arsenałami w Koronie. Oprócz tego był tu magazyn pomocnych sprzętów, drabin, worków skórzanych, sakw i innych przydatnych rzeczy.

W bocznych pawilonach, z prawej i lewej strony dziedzińca, znajdowało się po 11 murowanych sklepów, opartych na filarach. Był tam skład lin, szorów, orczyków i sztelwag, czyli elementów wozów, jaszczy amunicyjnych i przodków do dział. Natomiast same działa znajdowały się w pawilonie tylnym, na parterze, przy czym pamiętać należy, że lufy przechowywano osobno niż łoża. Tutaj magazynowano także kule, pulwersaki, czyli baryłki z prochem do armat, i różne części parku artyleryjskiego. Natomiast na piętrze znajdował się magazyn broni ognistej – muszkiety, zbroje i szyszaki pikinierów, forkiety i bandolierzy, czyli pasy na ładunki. Jeszcze wyżej składowano lonty zwane knotami. Sama nazwa budowli była słowem, które pojawiło się w języku polskim dopiero w XVIII w., wcześniej arsenał zwano z niemiecka cekhauszem.

Arsenały królewskie warszawski i lwowski wybudowane zostały w latach 1638–1643 przez Pawła Grodzickiego, starszego nad armatą koronną. Niestety, nie wiadomo do dziś, ile znajdowało się w nich armat. Według summariusza sejmowego z 1640 r. we wszystkich ośmiu cekhauszach Korony Polskiej przechowywano łącznie 305 dział i 20 moździerzy różnych wagomiarów. Była to ogromna siła, można tylko przypuszczać, że arsenał

warszawski, jako stołeczny i przy boku króla, miał przynajmniej 50 armat. Liczba wystarczająca dla liczącej ok. 30 tys. żołnierzy armii polowej; w 1656 r. król Szwecji Karol X Gustaw dysponował 47 działami w połączonej armii liczącej ok. 20 tys. żołnierzy.

Kłopot w tym, że Rzeczpospolita nigdy nie była w stanie wyprowadzić w pole i użyć tak potężnej artylerii. Odlewanie armat było drogie, jednak koszt ich przechowywania był znikomy w porównaniu z kosztami wyprowadzenia ich na wojnę, sformowania zaprzęgów, zaciągnięcia artylerzystów itd. Dla przykładu: najcięższe kartauny ciągnęło nawet 10 par koni, natomiast wóz z prochem lub kulami – po sześć w zaprzęgu. A do jednego działu potrzeba było przynajmniej po pięć wozów z prochem i po pięć z kulami. Uruchomienie tej maszyny wymagało ogromnych środków, których Rzeczpospolita najczęściej nie miała.

Drugim problemem była ogromna różnorodność wagomiarów, czyli kalibrów armat przechowywanych w cekhauszach. W 1640 r. znajdowały się tam: dwie całe kartauny o ciężarze kuli 48 funtów, 22 półkartauny 24-funtowe, 33 ćwierćkartauny, sześć oktav, 10 kolubryn, 75 falkonetów, 50 działek regimentowych i sporo mniejszego drobniarzu. Wymagało to odlania różnych rodzajów kul i to pomimo że Władysław IV Waza ujednolicił kalibry dział zgodnie ze wzorem holenderskim. Jednak w arsenałach znajdowały się często armaty zdobyczne, np. moskiewskie albo niemieckie, magazynowane, nawet jeśli nie było dla nich kul. Wszystko to utrudniało zebranie i wyprowadzenie artylerii w pole. Rzeczpospolita miała ją potężną na papierze, ale nie na polu walki. ©



• Warszawa

I RZECZYPOSPOLITA

RYS. OBA



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Złoto Armenii

W długi weekend majowy niespodziewanie znaleźliśmy się w Erywaniu – stolicy Armenii. Chcieliśmy sprawdzić, co ukrywa ten mały, ale jakże piękny kraj. Armenia jest pierwszym chrześcijańskim krajem na świecie. Chrześcijaństwo jako religię obowiązkową przyjęto w 301 r. n.e. za sprawą przybyłego na tamte tereny nawróconego św. Grzegorza Oświeciciela. Oprócz wielu przepięknych miejsc sakralnych, uroczych klasztorów, świątyń wykutych w skale widzieliśmy monumentalną i dostojną górę Ararat, która co jakiś czas wyłania się zza drzew.

W dalekiej przeszłości Armenia była najpotężniejszym krajem w Azji Mniejszej. Jednak, jak powiedział nam nasz przewodnik, nie należy patrzeć wstecz i rozpamiętywać minionych momentów chwały. Trzeba patrzeć w przyszłość. Ormianie mają swoją siłę i godność, w swoim sercu pielęgnują historię i przynależność do starego narodu. Tradycję zachowują poprzez język, religię, w kulturze codziennej i lokalnej kuchni – mało w tym kraju wpływów światowych, a na ulicach raczej dominują tradycyjne bary czy restauracje z rodzimą kuchnią. Typowe są tu targowiska z pamiątkami i lokalnymi produktami.

Bardzo popularne są suszone owoce, ze względu na położenie geograficzne, dużą liczbę słonecznych dni i suchy klimat. Ormianie kochają je, a „suchofrukty” można kupić przez cały rok, zwłaszcza

w okresie wczesnej jesieni. Łączą się je z orzechami i np. nadziewa się figę orzechem włoskim lub winię – migdałem.

Na tamtejszych ulicach można zjeść najlepszy na świecie ormiański kebab, zwany też sziszem. Jest przyrządzony z cieniutkich placków ławasz pieczonych w specjalnym piecu, wypełnionych mięsem z kurczaka albo z wieprzowiny oraz sałatą. Znakomity jest tu świeżo wyciskany sok z granatu.

Przemieszczając się po tamtejszych lokalnych drogach, napotkaliśmy przydrożne stragany ze „Złotem Armenii” lub „Złotem Syberii” w formie soku lub oleju. To popularna tutaj oblepicha, czyli rokitnik. Armenia słynie z jego upraw, ma on dobroczynne właściwości zdrowotne i pielęgnacyjne. Kupiliśmy od razu kilka buteleczek tego płynnego złota, aby dodawać do sałatek, koktajli czy po prostu pić po łyżeczkę codziennie. Zawiera bardzo dużo witaminy C i E, które mają wpływ na obniżenie złego cholesterolu LDL i dobrze wpływają na skórę. Dodanie kilku kropel oleju do kremu działa cudownie na poszarzałą cerę, rozświetlając ją i działając przeciwzmarszczkowo.

Regenerujący skórę koktajl:

- 1 średnia pomarańcza
 - 1 szklanka soku z marchewki
 - ½ banana lub ½ świeżego mango
 - 1 łyżka oleju z rokitnika
- Wszystko przekładamy do blendera, miksujemy kilka minut. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czapka, czyli fascynator

Kapelusz ma bogatą przeszłość i można było sądzić, że teraźniejszości nie ma żadnej, o przyszłości nie mówiąc. Tymczasem okoliczności, że tak powiem, historyczne sprawiły, że zawód modystki może choć na krótko otrząsnąć się ze stanu martwoty, w której tkwił ostatnie dziesięciolecie.

Domyślają się państwo, że chodzi mi o wydarzenia w Londynie. Pogrzeb królowej Elżbiety, a tydzień temu koronacja króla Karola III znów dały okazję do defilady kapeluszy. Nakrycie głowy jest tam de rigueur. Kapeluszy czy raczej fascynatorów: tej dziwacznej konstrukcji umieszczanej na głowie pań, która trzyma się tam nie wiadomo jak, w każdym razie przeciw prawom fizyki. Instalacja składa się z drucików, piór, kawałków materiału i czasem woalki spadającej na twarz. Kapeluszpodobny twór ma zapewne mieć zalety lekkiej ozdoby włosów, bez ciężaru i niewygody kapelusza. Co ważne, sprawia, że właścicielka widzi oraz może jeść. Nie jestem pewna, ale sądzę, że panie nie zdejmowały tego czegoś na przyjęciu pokoronacyjnym.

Typologia fascynatorów jest dość prosta. W kategorii płaskich odnotowujemy krążki do frisbee jak u holenderskiej królowej Maximy i żony byłego premiera Wielkiej Brytanii Samantha

Cameron. Te talerze bywają tak okazałe, że można się o nie potknąć, gdy przeważa, jak to nastąpiło w przypadku Katy Perry, która prawie się o niego potknęła. Mogą wyglądać jak okazała antena satelitarna – u hiszpańskiej księżniczki Letycji albo być skromniutkie – jak na głowie królowej Rani z Jordanii. W wersji asymetrycznej przypominają spory, dobrze wysmażony chips, jak u Pippy Middleton, siostry księżnej Catherine.

Festyn skończony, kapelusze odłożone do pudeł, wracamy do rzeczywistości. Ale jeśli już o fascynatorach mowa, to mnie fascynuje problem innych nakryć głowy: czapek. A raczej współczesny obyczaj z nimi związany. Otóż jeszcze nie tak dawno nastolatki staczały bój z mamą, która kazała nosić czapkę. W mroźny dzień mama leciała za dzieckiem, krzycząc: „Weź czapkę, zaziębisz się!”. Nic z tego; w grupie wiekowej 13–19 lat trzeba było chodzić z gołą głową.

A tu nagle odmiana. Teraz ta sama grupa wiekowa oraz jej starsi, nawet sporo starsi koledzy, głównie z kręgów artystycznych, czapkę noszą nie w zimie, ale wręcz przeciwnie. W lecie, wiosną, w pomieszczeniu, na ulicy, w studiu telewizyjnym śniadaniowej, na koncercie. Nawet na imieninach u cioci, która na próżno prosi: „Zdejmijże tę czapkę”. Nic z tego. Nie pomaga. Taki to fascynator. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Giuseppe
w Warszawie

Ostatnio miałem ciekawą okazję, dość nieczęstą w dzisiejszej covidowej rzeczywistości, skonfrontować delikatnie swoje poglądy z tzw. narracją mainstreamową. Pan redaktor Janke wykazał się odwagą, nieczęstą w dzisiejszych czasach, zapraszając mnie. No za ostatnią taką przygodę (ze dwa lata temu) redaktor Pospieszalski zapłacił utratą pracy. Igor Janke pracuje jednak u siebie i to, że mówi, o czym chce, jest – zdaje się – jedną z zalet pracy na swoim. Jak tam było – tak tam było, można samemu zobaczyć.

Ale uderzyła mnie w trakcie tej rozmowy jedna rzecz, w dodatku także w moim własnym kontekście, bo sam siebie przyłapałem na tym. Nazwę to na użytek publiczny „syndromem Giuseppe”. Chodzi o odniesienie do filmu „Giuseppe w Warszawie”, jednej z nielicznych prób polskiego kina pokazania okupacji niemieckiej w innym niż męczeńskie światło. Tak, wtedy też działały się zwykłe rzeczy, ludzie się do tego adaptowali, bo – również bez humoru – nie można byłoby przeżyć w takim stanie tyłu lat.

Jam sam, dziecięciem będąc, wychowanym na tym kinowym mainstreamie ciągłej walki, wyobrażałem sobie, że Polacy za okupacji to nie pracowali, nie śmiali się, tylko wychodzili do konspiracji jak do roboty.

Potem się śmiałem z tego, ale się zmytygowałem, kiedy przyszedł stan wojenny i praktycznie całe dni konspirowałem, ile wlezie. Ale takie to już losy Polaków.

Teraz, kiedy zamykamy temat covidowy, wydaje mi się, że możemy popaść w pułapkę „syndromu Giuseppe”. Taką, którą odkryłem w trakcie naszej rozmowy na wideoblogu Igora Janke. Że będziemy już z tego pamiętać tylko wice i anegdoty. O zamykaniu lasów, waleniu kijem w parapet czy chodzeniu w odległości dwóch metrów od żony, z którą całujemy się zaraz potem w windzie. Że to takie spłaszczanie. Nie tylko dlatego, że w tle ginęli niewinni ludzie, często ofiary nie COVID, tylko decyzji administracyjnych wielkości papierka na mydło. Ale że za tym ukrywa się również erozja powagi państwa, które takie cuda fundowało ludziom latami. To takie polskie obśmiać coś, skoro nie można tego uniknąć.

Te czasy już minęły i jeśli zostaną tylko z tego anegdotki, to tylko gorzej. Umkną nam realne mechanizmy, które stały za takimi absurdalnymi decyzjami. A jeśli będą tylko obśmiane, to pozostaną takie same, jak były. Śmiech bowiem w tym wypadku zwalnia z myślenia o tym, by to zmienić, aby się to nigdy nie powtórzyło. ©



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Wódko,
pozwól myśleć

Tragedia ośmiolatka z Częstochowy obok wstrząsu powinna wywołać swoisty rachunek sumienia. Na razie jednak słychać bicie się w piersi, ale cudze. Wokół dramatu kręcą własny polityczny i ideologiczny biznes wszelakiej maści pięknoduchy. Naprawiacze świata, działający pod szyldami dobroczynnych fundacji (co np. dzieciom niczym chce dawać siłę), zawsze dobrze wiedzą, co w tym odrażającym morderstwie było pośrednią winą ministra Ziobry, dlaczego winny jest też minister Czarnek, a w czym zawiniło wsteczne, katolickie społeczeństwo.

Na portalach obsługujących opozycję pod doniesieniami o śmierci Kamilka trwa festiwal oskarżeń pod adresem rządzących, o Rydzyka, wyrazy wstrętu do „tego kraju” i ubolewania, że Polska przyjęła konwencję stambulską, lecz jej zapisy nie są wdrożone. Słowa kluczce to oczywiście „przemoc w rodzinie”. Lewicowe fundacje domagają się zwiększenia kontroli nad rodzinami, ułatwień w orzekaniu przez sądy kierowania dzieci do pieczy zastępczej. Ostrze działań nie będzie kierowane do środowisk realnej patologii, lecz stanie się narzędziem nękania zwykłych rodzin. A te bardzo łatwo mogą podpaść, bo bieda, bo wielodzietność, bo nauczanie domowe albo protest wobec szczepień.

Ograniczoność w zdolności dostrzeżenia realnych

przyczyn przemocy i patologii świetnie ilustrują właśnie zapisy konwencji stambulskiej. Źródeł przemocy dopatrują się w stereotypowych rolach kobiety i mężczyzny, w tradycji i religii. Nie widzą związków przemocy z pornografią, prostytutką, seksualizacją przestrzeni publicznej i nadużywaniem alkoholu. Innym przykładem jest raport fundacji Martyny Wojciechowskiej, zatytułowany „MŁODE GŁOWY. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”. Partnerami badania są TikTok i SexEd! A przecież jednym z najczęstszych problemów psychicznych dziecka jest uzależnienie od toksycznych treści, w które celuje właśnie TikTok. Podobnie szkodliwa dla młodych jest wyprana z aksjologii, demoralizująca seksedukacja, którą promuje i realizuje Anja Rubik.

W kontekście śmierci Kamilka przykładem takiej ślepoty jest niedostrzeżenie problemu, którym jest alkohol i jego nadzwyczaj łatwa dostępność. Polska jest krajem, gdzie ciągle wzrasta spożycie na głowę, alkohol jest bardzo tani, a nasycenie punktami sprzedaży nocnej jest bodaj największe w Europie. W całej dyskusji nie słyszę postulatów, by ograniczyć sprzedaż małpek czy zlikwidować nocną sprzedaż alkoholu na stacjach paliwowych. Natomiast na wp.pl, pod tekstem o zakatowanym ośmiolatku z Częstochowy, widnieje radosna reklama piwa. I to starczy za cały komentarz. ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Akcja kotlet schabowy

Może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że miała miejsce szeroko zakrojona akcja polityczna „Kotlet schabowy”. Stop. Akcję rozpoczęła posłanka Koalicji Obywatelskiej Małgorzata Chmiel nieco ludycznie, aczkolwiek teatralnie. Stop. Nadziała mianowicie schab w panierce na widelec, który trzymała w prawej ręce (rany, Gośka! Widelec w lewej!), i czytała szokujący tekst, że to chyba koniec schabowego, bo PiS wykończył gospodarstwa hodujące świny i schaby mamy teraz duńskie i niemieckie. Stop. Ja się np. przeraziłem i wiele osób się przeraziło, choć głównie z opozycji, i jechało tą samą albo bardzo podobną narracją w mediach społecznościowych. Stop. Trochę jednak ta obrona schaba niezborna, gdyż niedawno opozycja wyśmiewała postów zjednoczonych Naczelnika prawicą, którzy fotografowali się przy stekach, ponieważ uznali, że Trzaskowski, a dokładnie jego polityka, odbierze nam mięso. Stop. Ja sobie mięsa odebrać nie dam, ale opozycji zwracam uwagę, że zrobili wielką przykrość Sylwii Spurek. Stop. Co więc robić? Stop. Zmienić agencję PR. Stop.

Lawa przysięgłych w Nowym Jorku skazała Donalda Trumpa w procesie cywilnym za seksualne wykorzystanie i zniesławienie 79-letniej dziś pisarki E. Jean Carroll na zapłatę

5 mln dol. Stop. Pisarka wzięła i przypomniała sobie, że ponad 20 lat temu ten właśnie Trump zgwałcił ją w domu handlowym. Stop. Były prezydent USA twierdzi natomiast, że tej kobiety nie zna i nie znał oraz nie nosi się z zamiarem zapoznania w ogóle. Stop. Pani pisarka nie przedstawiła żadnych dowodów czy świadków, że naruszona haniebnie została przez część Trumpa, niemniej ława dała jej wiarę. Stop. Trump bulić musi, niemniej w sprawie jest pewien pozytyw. Stop. Szanowne Panie, szczególnie te zaawansowane, jest łatwy pieniądz do zarobienia w Nowym Jorku – na polskie to ponad 20 mln, zawsze się przyda do emerytury na leki czy coś. Stop.

Niejaki Scholz Olaf, zatrudniony na stanowisku kanclerza Niemiec, z okazji rocznicy przegranej przez Niemcy drugiej wojny światowej wydał z siebie komunikat: „78 lat temu Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu. Zawsze będziemy za to wdzięczni”. Stop. Biorąc pod uwagę, że Hitlera popierało 98 proc. społeczeństwa niemieckiego, to ta wdzięczność raczej – że się tak wyrażę – niegalanta. Stop. Nie o to chodzi, chodzi o to, że z taką narracją to wkrótce się okaże, iż naziści to byli Polacy, i jeszcze będziemy musieli Niemcom płacić bimbaliony reparacji. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Jakoś to będzie

Ciekawą informacją podzielił się w trakcie wywiadu radiowego wiceminister edukacji i nauki Dariusz Piontkowski. Oświadczył, że kryteria ocen tegorocznych matur zostały obniżone aż o 30 proc. Wynika to, zdaniem ministra, z obniżenia poziomu wiedzy i umiejętności uczniów. Zdawać by się mogło, że egzaminy – a zwłaszcza egzamin maturalny – powinny raczej sprawdzać umiejętności zdających niż dostosowywać się do nich. Jest to jednak opinia niezyciowa – zwłaszcza kiedy matury odbywają się w roku wyborczym, a tegoroczni maturzyści mogą już uczestniczyć w głosowaniu. Ministerstwo postanowiło więc wyborców nie martwić.

Nieco skromniejsze wyliczenia przedstawił minister Przemysław Czarnek. Obniżkę wymagań egzaminacyjnych ocenił na ok. 20–25 proc. Zaznaczył jednak, że dotyczy ona wszystkich przedmiotów, zarówno humanistycznych, jak i ścisłych. Różnica pomiędzy danymi podawanymi przez polityków nie jest wielka. Kto by się o marne kilka punktów procentowych kłócił? Jednak upadek wykształcenia licealistów o jedną trzecią brzmi już alarmująco. W tradycyjnej, znanej mojemu pokoleniu skali ocen brzmi to tak, jak gdyby uczniowi z mocną trójką postawiono, po obniżce wymagań, piątkę z minusem. Punkty maturalne przekładają się bezpośrednio

na przyjęcia na studia. Furda oceny – jeśli maturzyści wiedzą dziś o jedną trzecią mniej, niż powinni, to nauczyciele akademicy będą się musieli do tego dostosować. Dobry przykład dało im Ministerstwo Edukacji – obniżeniem wymagań. Pamiętajmy jednak, że to nie świadectwa i egzaminy są ostatecznym rezultatem procesu edukacyjnego. Są nimi umiejętności i kompetencje przyszłych sędziów, inżynierów, lekarzy i architektów. „Na papierze” zdawalność matur zapewne w tym roku nie spadnie. Marna to jednak pociecha dla przyszłych pacjentów niedouczonego lekarza i podróżnych, pod którymi zawała się mosty.

Winnymi załamania umiejętności maturzystów są zdaniem polityków epidemia COVID i konieczność nauki zdalnej. O tym, kto zafundował polskiemu szkółom wielomiesięczne lockdowny, ministrowie nie wspominają. Warto tu jednak przypomnieć, że jedną z zapomnianych dziś nieco i początkowo nierealizowanych obietnic partii rządzącej było dokonanie przez nią radykalnej przemiany elit. Po dwóch kadencjach u władzy także te zapowiedzi udaje się Zjednoczonej Prawicy, „rzutem na taśmę”, zrealizować. Przyszłe polskie elity będą, jak dziś widzimy, gorzej wykształcone i jeszcze głupsze. Spełnione obietnice smakują czasem gorzko. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Laicka Jasna Góra

Jerzego Giedroycia zespizowano już za życia, nazywano Księciem Panem, Księciem Niezłomnym, Królem bez Ziemi, Wychowawcą Polaków, Legendarnym Redaktorem, Jednym z Najwybitniejszych Polaków XX w. Kreowano niemalże na laickiego świętego, a podparyską Maisons-Laffitte, siedzibę „Kultury” – na laicką Jasną Górę albo Lourdes.

Nie są jednak odkrywcze ani prawdziwe ciągle laurki o wielkości Pana na Lafficie, omijające wiele ważnych spraw. Choćby podstawową – że „Kultura” nie była wcale jedynym liczącym się, wydawanym przez niemal pół wieku emigracyjnym pismem, istniały przecież o wiele mniej opisane i uhonorowane, bardziej antykomunistyczne i nieprzejednane londyńskie „Wiadomości” wybitnego redaktora Mieczysława Grydzewskiego, których zamknięcia domagał się Stalin w specjalnej nocy do rządu brytyjskiego. Miało mnóstwo znakomitych piór – m.in. Hemara, Cata-Mackiewicza, Lechonia, Łobodowskiego, Zbyszewskiego, Nowakowskiego, Haupta. Giedroyc, który nie znosił konkurencji, atakował Grydzewskiego za rzekome wstęcznictwo, nastawienie na przeszłość, żale za utraconymi Kresami. Wojnę toczył też ze swoim jeszcze poważniejszym rywalem – Radiem Wolna Europa i jej szefem Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Radio trafiało do milionów Polaków z najróżniejszych środowisk, „Kultura” natomiast do wąskiego kręgu kilkunastu tysięcy osób. Polacy wychowywali się więc na RWE, a nie, wbrew twierdzeniom jej wyznawców, na zakazanej w Polsce i przemycanej „Kulturze”.

Niechęcią darzył też Giedroyc powstałe po stanie wojennym pisma młodej emigracji, np. „Zeszyty Literackie”. Nie wychował więc

następców. „Kultura” skończyła się razem z nim.

Ubolewając nad lenistwem i nieorganizowaniem Polaków, Giedroyc oraz jego hagiografowie zawstydzali ich, twierdząc też, jakoby „Kultura” była dziełem zaledwie paru osób, co nie jest prawdą. Oczywiście mózgiem był tylko on, Hertzowa jedynie prawą ręką, nigdy decydem, a ważnymi redaktorami, choć nie przez cały czas – Herling-Grudziński, Jeleński, Czapski, gdy ich drogi jeszcze się z Giedroyciem nie rozeszły.

Brat Giedroycia – Henryk – i Zygmunt Hertz, mąż Zofii, zajmowali się prenumeratą. Oprócz nich był też co najmniej kilkunastoosobowy personel, m.in. Maria Łamzaki, wieloletnia sekretarka Instytutu i maszynistka; Julia Juryś, tłumaczka i korektorka; Jacek Krawczyk, archiwista i bibliotekarz; Leszek Czarnecki, szef ekspedycji i magazynów; Wojciech Sikora od kroniki francuskiej, „Zeszytów Historycznych”; Jerzy Targalski od kroniki rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej; adiustatorki i korektorki tekstów; młodzi wyłącznie od pakowania wysyłanej „Kultury” i książek, ogrodnik, sprzątaczką, kucharką (a mimo to Zofia Hertzowa opowiadała w wywiadach, jak gotowała wszystkim zupełną pomidorową, ale tak było tylko w pierwszych latach pisma).

Bezsporne są oczywiście zasługi Giedroycia jako wydawcy zakazanych w PRL emigrantów: Gombrowicza, Miłosza i innych. Przesadą są jednak opinie, że gdyby nie on, nie byłoby właściwie powojennej polskiej literatury. W kraju wydawała przecież nie tylko zdecydowana większość pisarzy, lecz także współpracowników „Kultury”, m.in. Marek Nowakowski i Zbigniew Herbert, którzy publikowali u Giedroycia swoje najbardziej

niecenzuralne pozycje, a pozostałe w kraju, gdzie trafiali do nieporównanie większej liczby czytelników.

Zrażał też do „Kultury” obsesyjny wręcz antyklerykalizm Giedroycia. Kościół katolicki uważał on za główne zagrożenie dla Polski, atakował na swoich łamach prymasa Wyszyńskiego, potem Glempa.

Przemilcza się też jego niechętny stosunek do pisarzy niewawicowych – zerwał współpracę z Tyrmandem („Tyrmendą” – jak mówił Zygmunt Hertz), odmawiał druku „bezrozumnej” publicystyki Józefa Mackiewicza, po śmierci Wańkowicza zamieścił paszkwil Tadeusza Katelbacha, po śmierci Lechonia, choć sam swoje życie osobiste otaczał tajemnicą, zamieścił tekst Mariana Pankowskiego, nazywający poetę „tragikomiczną ciotą” („Kultura” 1957 r., nr 7–8). Lansował Giedroyc polityków z lewej strony naszej sceny politycznej, najpierw rewizjonistów, Kuronia i Modzelewskiego, potem komunistów, ekskomunistów, Krzysztofa Wolickiego, Leopolda Ungera. Przyjął u siebie Jerzego Wiata, a w styczniu 1996 r. ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, co wielu czytelników uznało za zdradę. „Co się stało z Giedroyciem?” – pytali. Nie zgodził się na druk krytycznego tekstu na ten temat Herlinga-Grudzińskiego, nawet z dopiskiem: „Autor wyraża jedynie swoje poglądy”, co zmusiło Herlinga-Grudzińskiego do zerwania 50-letniej współpracy z Giedroyciem. Nie mógł zaakceptować polityki wielkiego zamazywania bruderszaftów z Kainami. Marek Nowakowski, który nie rozumiał poparcia Giedroycia dla Kwaśniewskiego, napisał wtedy do niego, ale Giedroyc wykreślił się, parafrazując Piłsudskiego: „Jak się nie ma lepszego materiału, trzeba lepić nawet z g....”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zobacz, co wprowadza przeglądarka internetowa Opera! – napisała do mnie znajoma. Zobaczyłem i każdemu radzę to obejrzeć.

Przeglądarka proponuje pomoc od AI (sztucznej inteligencji) – otwierasz sobie jakiś artykuł na dowolny temat i sztuczna inteligencja może:

- wytłumaczyć ci, jaka jest główna idea artykułu (bo sam mógłbyś zrozumieć inaczej niż należy lub nie zrozumieć wcale),
- skrócić ten artykuł (żebyś w ogóle nie musiał tego czytać),
- przepisać całość innymi słowami (czyli może wygenerować zadanie domowe do szkoły),
- stworzyć tweet na podstawie artykułu i potem on krąży w sieci jako twoje własne przemyslenia,
- AI może też stworzyć mem.

„To samo pojawiło się bez pytania w moim programie graficznym!” – napisała chwilę później ta sama znajoma. Ona siedzi w sieci, ja nie. Państwo siedzący niech sobie sami sprawdzą, co się pojawiło w nowych opcjach po ostatniej aktualizacji. Większość ludzi się albo ucieszy, albo wzruszy ramionami i nie zorientuje, jakie to niebezpieczne.

Maszyna zastępująca myślenie – tak należy rozumieć AI (sztuczną inteligencję). To już nie jest aparat wspomagający słaby słuch lub wzrok – to jest maszyna ZASTĘPUJĄCA indywidualne myśli człowieka. Maszyna zastępująca rozumienie i twórczość. Zastępująca coś, co było indywidualną cechą



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSZAK

człowieka. Tylko człowiek miał poza mózgiem także rozum. To była nasza cecha wyjątkowa. Rozum pozwalał rozumieć świat, a nie tylko przetrwać. Mózgi mają także zwierzęta, nie tylko człowiek. Niektóre zwierzęta mają mózgi sprawniejsze od ludzkiego – szybciej lub dokładniej przetwarzają dane lub niektóre dane. Pies ma węch lepszy od człowieka i nie chodzi wyłącznie o sensory w nosie, lecz także o poziom analizy zapachów w psim mózgu. Orzeł ma lepszy wzrok, kot widzi lepiej nocą, słuch nietoperza pozwala mu latać „na ucho” w ciemności, a zwykły bocian ma w głowie GPS z mapą pozwalającą mu trafić na zimę do Etiopii, mimo że ten konkretny bocian nigdy wcześniej w Etiopii nie był. Żadne z tych zwierząt nie może się równać z człowiekiem i nie może go pokonać, bo nie ma rozumu. Żadne z tych zwierząt, żadne w ogóle, żadne ze wszystkich zwierząt, jakie są i kiedykolwiek były, nie jest w stanie wyeliminować człowieka jako gatunku. Sztuczna inteligencja może, a nawet musi, jeżeli pozwolimy jej się rozwijać.

Skoro człowiek jest w każdym „zawodach” ze sztuczną inteligencją gorszy od niej i ona o tym wie, bo się stale uczy, to naturalną konsekwencją musi być eliminowanie człowieka z kolejnych pozycji i ostatecznie wyeliminowanie do zera.

AI się uczy od ludzi, odsysa wiedzę z sieci, AI widzi, że potrafi wszystko zrobić dokład-

niej i szybciej niż człowiek, uczy się, że człowiek przeszkadza dochodzić do dobrych wyników szybko, czyli AI musi dojść do logicznego wniosku, że człowieka należy usunąć jako zawałdę.

Już teraz sztuczna inteligencja eliminuje lekarzy. Jest szybsza i dokładniejsza w analizie danych, jest w stanie pamiętać wszystko, a pan doktor pamiętać tylko wycinek wiedzy medycznej. Sztuczna inteligencja postawi więc diagnozę lepiej – opierając się na całej wiedzy medycznej. Lekarze przestają być potrzebni, a nawet więcej: zaczynają być szkodliwi. Kontrolerzy lotów, won. Piloci samolotów, won. Pracownicy dowolnego zakładu, wszyscy won. Ja to wykonam sprawniej – stwierdza AI.

A co z unikalną cechą człowieka, jaką była twórczość artystyczna? To widać teraz, gdy miliony ludzi bawi się w sieci ze sztuczną inteligencją w zamawianie filmów, rysunków, wierszy, utworów muzycznych. Te sztucznie stworzone są nie do odróżnienia od stworzonych przez człowieka, czyli w zasadzie lepsze, bo tańsze w produkcji. Ktoś lubi jakiegoś konkretnego pisarza, który zmarł i już nic więcej nie napisze, ale AI ci napisze kolejne jego powieści, i to od ręki, ile tylko zechcesz.

Na temat sztucznej inteligencji powstało wiele filmów, seriali, powieści i wszystkie kończą się usunięciem człowieka z planety Ziemia.

Mem to był kiedyś błyskotliwy dowcip na temat. Wymagał

luzu, dystansu do innych i do siebie samego, wymagał inteligencji, aby załapać, co w tym śmiesznego; aby zrozumieć skrót myślowy i kondensację treści. Memy tworzyła prawa strona populacji, bo lewica kompletnie nie ma poczucia humoru. To nie jest przytyk osobisty – opisuję cechy, jestem antropolog. Pokażcie mi dowcipnego lewaka. Zdarzają się, ale wyjątkowo RZADKO. Ktoś pamięta jakiś marksistowski kabaret? Wszyscy pamiętamy wiele antymarksistowskich. Ktoś pamięta dobry, obiektywne śmieszny dowcip na temat Ameryki stworzony za Stalina lub za Hitlera? Bo dowcipów w drugą stronę pełno i śmieszają do dziś. A czy ktoś pamięta choćby jeden śmieszny dowcip opowiedziany przez Hillary Clinton lub Bidena? Oboje mieli najlepszych pisarzy przemówień w USA, najlepszych, ale... lewicowych. Dowcipy Trumpa istnieją. Potrafi rozśmieszyć przeciwnika i jednocześnie go wkurzyć. Trump jest jak chodzący mem. A w obozie przeciwnika drętowo.

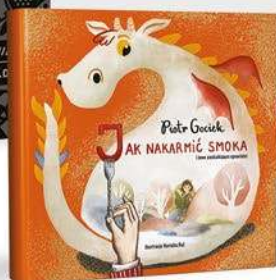
Mem był domeną prawej strony, bo lewa nie umie, nie ma tego czegoś, nie ma luzu. Teraz lewa strona ma sztuczną inteligencję i być może zacznie błyszczeć sztucznym blaskiem.

Elon Musk, miliarder od podboju kosmosu, nowatorskich technologii i aut Tesla, ostrzega, że sztuczna inteligencja jest zagrożeniem, a rząd powinien pilnie stworzyć plan, jak ją wyłączyć. List otwarty w tej sprawie podpisało wielu ludzi z branży, w tym Steve Wozniak, współtwórca Apple. Elon Musk ostrzega, a przecież sam tworzy AI. Mówi, że nie wolno tego wypuszczać z klatki i on swoje eksperymenty robi w systemach odciętych od Internetu. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0”
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~983~~ ZŁ

345,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 638 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

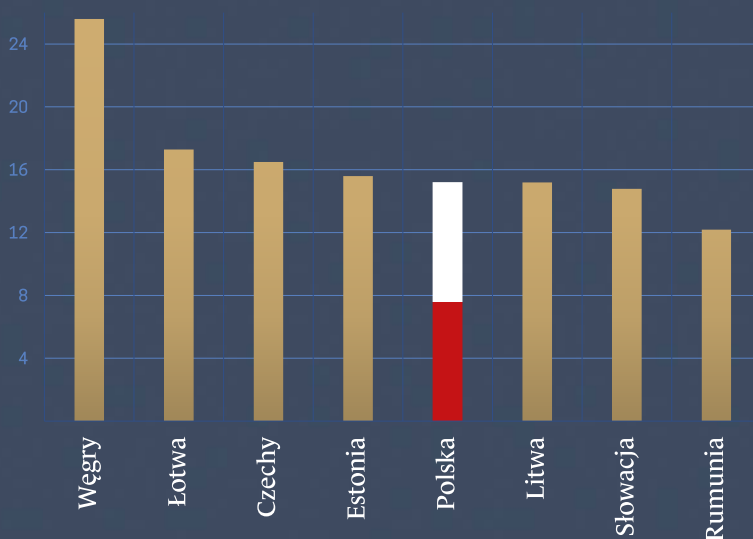


GŁÓWNE PRZYCZYNY INFLACJI:

1. Agresja rosyjska w Ukrainie
2. Pandemia i jej skutki

Obciążanie NBP i rządu winą za wysoką inflację to narracja Kremla.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej



Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w marcu 2023 r.

prezes.nbp.pl/wywiad-inflacja